



PISMO PG

PISMO PRACOWNIKÓW I STUDENTÓW POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ

GRUDZIEŃ 2001

ISSN 1429-4494

NR 9 (76)/01 ROK IX



Koncert świąteczny
Oratorium „Stworzenie Świata” Josepha Haydna
8 grudnia 2001 r.



Orkiestra i soliści



Gratulacje dla Maestro Bohdana Jarmolowicza



*JM Rektor Wyższego Seminarium Duchownego w Pelplinie
ks. dr Wiesław Mering otrzymuje
Medal za Zasługi dla Politechniki Gdańskiej*



Dostojni goście

KONCERT ŚWIĄTECZNY

Gdańsk, 8 grudnia 2001 r.
hol Gmachu Głównego
Politechniki Gdańskiej

Oratorium „Stworzenie Świata” Josepha Haydna

wykonawcy:

Państwowa Orkiestra Kameralna
w Słupsku
i
Chór Politechniki Gdańskiej

oraz soliści:

Tatiana Szczepankiewicz - sopran
Marcin Koziół - tenor
Grzegorz Kołodziej - bas

pod dyrekcją
Bohdana Jarmolowicza

przygotowanie Chóru
Mariusz Mróz

Koncert częściowo sponsorowany
przez Ministerstwo Edukacji
Narodowej i Sportu



Zespół Redakcyjny
życzy wszystkim
Czytelnikom
PISMA PG,
aby Świąta Bożego Narodzenia
przyniosły radość z tego, co jest,
nadzieję na to, co przed nami,
uśmiech i życzliwość
na każdy dzień nadchodzącego roku.

„Pismo PG” wydaje Politechnika Gdańska
za zgodą Rektora i na zasadzie pracy społecznej
Zespołu Redakcyjnego.

Autorzy publikacji nie otrzymują honorariów.

Wszelkie prawa zastrzeżone

Adres Redakcji
Politechnika Gdańska
Dział Organizacyjno-Prawny
Zespół ds. Informacji i Promocji
ul. G. Narutowicza 11/12, 80-952 Gdańsk
pok. 205, Gmach Główny B,
tel. (48 58) 347 17 09, fax 341 58 21

Zespół Redakcyjny
Waldemar Affelt (sekretarz),
Tomasz Klajbor, Jerzy Kulas,
Jadwiga Lipińska, Joanna Szłapczyńska
Stefan Zabieglik

Opracowanie techniczne i typograficzne
Skład komputerowy w programie Ventura Publisher
Janina Poćwiardowska
Zespół ds. Informacji i Promocji, e-mail inprom@pg.gda.pl

Opracowanie okładek
Janina Poćwiardowska
Pomysł 1. strony okładki: Jerzy Kulas
Zdjęcia 1. i 2. strony okładki: Tadeusz Chmielowiec

Stala współpraca
Zespół Technik Multimedialnych

Korekta:
Joanna Szłapczyńska

Druk:
Zakład Poligrafii Politechniki Gdańskiej

Numer zamknięto 24 listopada 2001 r.

Zespół Redakcyjny nie odpowiada za treść ogłoszeń i nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo zmiany, skracania i adiustacji tekstów. Wyrażone opinie są sprawą autorów i nie odzwierciedlają stanowiska Zespołu Redakcyjnego lub Kierownictwa Uczelni.

Spis treści

Polskie Wigilie	
<i>Jadwiga Lipińska</i>	4
Nie rozmieniamy się na drobne	6
Politechnika Gdańska na IV Międzynarodowej Wystawie Wynałazków „INNOWACJE 2001”	
<i>Czesław Popławski</i>	8
Posiedzenie plenarne KAUT – 9 listopada 2001 r.	
<i>Alicja Konczakowska</i>	10
Jeszcze raz tamte gorące dni!	
<i>Antoni Nowakowski</i>	13
Jeden z okrętowców Politechniki Gdańskiej	
<i>Jerzy Girtler, Władysław Wojnowski</i>	17
Praktyki okrętowe studenta PG	
<i>Tadeusz Witalewski</i>	19
Moje Serendipity	
<i>Teofil (Ted) Kwiatkowski</i>	21
Wykopaliska	
<i>Stanisław Szczerek</i>	23
Studencka Agencja Radiowa w sieci	
<i>Tomasz Klajbor</i>	24
Uczelniane korytarze	
<i>Marek Biedrzycki</i>	25
Odwieczny temat	
<i>Marek Biedrzycki</i>	25
Z „Taśmoteki Szefa”, czyli jak to w Studenckiej Agencji Radiowej bywało	
<i>Wojciech J. Wójciak</i>	25
U progu przygotowań do 100-lecia Almae Matris	
<i>Wacław Dziewulski</i>	27
Jesienne impresje, czyli etyka w nauce i technice	
<i>Zbigniew Cywiński</i>	29
Lek na frustrację	
<i>Marek Biedrzycki</i>	30
Programowanie zespołowe	
<i>Mieczysław Serafin</i>	31
Opinia zwycięskiego zespołu o mistrzostwach	
<i>Jakub Białogrodzki, Jacek Dąbrowski, Adrian Kosowski</i>	31
Przedsiębiorczy student	
<i>Tomasz Klajbor</i>	31
Nowy Parlament Studentów PG	
<i>Tomasz Klajbor</i>	32
Szalone andrzejki	
<i>Tomasz Klajbor</i>	32
Turniej Tańca	
<i>Bartosz Bukowski</i>	33
Sztuka planowania	
<i>Mieczysław Serafin</i>	34
Wiarygodność finansowa zamawiającego czy oferenta?	
<i>Ryszard Burchard</i>	35
Jak ocenić ryzyko pracy przy komputerze (6)	
<i>Jerzy Grabosz, Marcin Sikorski</i>	36
Magister (cd.)	
<i>Edward Kaczmarek</i>	37
Hipoteza Gai	
<i>Elżbieta Suchenia</i>	38
„Obieżyświat” (cd.)	
<i>Emilia Żmuda-Trzebiatowska, Ula Kampowska, Michał Małafiejski</i>	40
Legenda oliwska	
<i>Marcin S. Wilga</i>	43
Krakowskie klimaty	
<i>Waldemar Affelt</i>	44
Mongolia i Chiny 2001	
<i>Maciej Kurant, Marta Rybczyńska, Marcin Omernik</i>	47

Polskie Wigilie

*Jest w moim kraju zwyczaj, że w dzień wigilijny
Przy wejściu pierwszej gwiazdy wieczornej na niebie
Ludzie gniazda wspólnego łamią chleb biblijny
Najtkliwsze przekazując uczucia w tym chlebie.*

Cyprian Kamil Norwid „Oplątek”

Boże Narodzenie, a przede wszystkim Wigilia jest w naszej kulturze, i dla większości Polaków, bez wątpienia najradośniejszym świętem w ciągu całego roku. Jest świętem składającym się z czegoś niecodziennego, jakby z aury wzniosłości i obrzędów religijnych, z czegoś świeckiego, codziennego, zwyczajnego i rzeczywistego. Można by to określić jako sacrum i profanum. Tutaj codzienność i święto dopełniają się wzajemnie, będąc równocześnie dla siebie pewnego rodzaju przeciwieństwem.

W sumie cały czas Świąt Bożego Narodzenia jest czasem wyjątkowo pięknym, pełnym radości, niecodziennych przeżyć i religijnego niepokoju. Zaś granicą między codziennością a świętem, między profanum a sacrum jest dzień wigilijny, a ściślej mówiąc: sama wieczerza wigilijna. Dzień wigilijny jest rytualnym wstępem do Świąt Bożego Narodzenia, które kiedyś w polskiej i słowiańskiej tradycji nazywano Godami. Boże Narodzenie jest świętem czysto chrześcijańskim, choć wiadomo, że w ciągu wieków zdążyło się nałożyć na siebie wiele różnych elementów świeckich pochodzących z różnych tradycji, obyczajów i kultur. A jednak chrześcijaństwo potrafiło nadać tym świętom nową, swoistą wymowę, religijne znaczenie i interpretację. W Polsce Wigilia z uroczystą wieczerzą obfitującą w wiele obrzędów wyodrębniła się prawdopodobnie dopiero w XVIII wieku, choć niektóre zwyczaje praktykowane były dużo, dużo wcześniej. Wigilia – to czas wspomnień o najbliższych, których już nie ma wśród nas, to nadzieja na szczęście, przyjaźń i miłość w rodzinie. Polska Wigilia jest czymś niepowtarzalnym, głównie dzięki wielkiemu bogactwu, a nawet pewnego rodzaju atmosferze i poezji tradycji rodzinnych.

Często jednak bywa i tak, że główny wymiar religijny Świąt Bożego Narodzenia w praktyce zepchnięty jest na plan dalszy, lub w ogóle go nie ma, i wtedy przeważa profanum nad sacrum. Zastanawiamy się też wtedy, czy dużo jeszcze pozostało nam dziś z magii dawnych świąt, dziś, na progu dwudziestego pierwszego wieku. Jak dzisiaj odbieramy ten przedziwny świat dawnych tradycji, przy wtórze ciągle narastających wokół nas zmian związanych z postępem technicznym, z wszechogarniającą nas cywilizacją i zmianami ustrojowymi? Jestem pewna, że jednak mimo wszystko nadal czujemy się związani z tym czasem oczekiwania i z tą szczególną magią całych Świąt Bożego Narodzenia. A na pewno nie potrafimy już, a raczej może nie chcemy zrezygnować z zakorzenionej w nas głęboko tradycji polskiej Wigilii, Wigilii naszych przodków. Tradycja Wigilii zmienia już dzisiaj, niestety, swoją intensywność i niewiele też już zachowuje dawnych treści, ale ciągle jeszcze jest – jako całość – „czymś” z naszej najdalszej przeszłości. Wierzymy w to głęboko i to właśnie łączy nas z nią i pozostanie dla nas najważniejszą cechą tej naszej polskiej tradycji. Jaką więc Wigilię przygotowujemy dziś w naszych domach, pamiętając o tym, że mamy bardzo bogatą przeszłość historyczną, a także wielką różnorodność wigilijnych tradycji – regionalną, społeczną, etniczną i nawet religijną? Na pewno treścią naszej Wigilii będą przekazywane nam z pokolenia na pokolenie indy-

widualne wzory jej świętowania, takie, w jakich wyrosliśmy w naszych domach rodzinnych. A tych domów mamy tak wiele, od morza do Tatr, wzorów przez całe lata nakładających się na siebie i dokładnie wymieszanych.

Każdy region Polski posiada swoje charakterystyczne tylko dla niego zwyczaje, obrzędy i potrawy wigilijne. Począwszy od Pomorza i Wileńszczyzny, skończywszy na Krakowie i Beskidzie Śląskim czy Wschodnim, nie wyłączając Kurpiów, Podlasia i Wielkopolski. Ale we wszystkich tych zakątkach naszego kraju zauważyć można dużo wspólnych elementów związanych zarówno z obrzędami religijnymi, jak i z magicznymi zwyczajami regionalnymi. Na przykład wszędzie spotyka się siano na stole i snopy zboża symbolizujące biedną stajenkę, oplątek lub chleb, zieloną gałąź czy choinkę, a także niektóre charakterystyczne i powtarzające się potrawy, takie jak mak, miód, orzechy, grzyby, jabłka, ziarna zbóż, a wszystkie mówiące o obfitości, plenności i szczęściu dla rodziny, zagwarantowane na cały nadchodzący rok. Prawie wszędzie pozostawia się też puste miejsce przy stole dla zbłąkanego wędrowca i dzieli się opłatkiem i jadem wigilijnym z domowymi zwierzętami. Rozpoczyna się także wieczerzę wigilijną z pojawieniem się pierwszej gwiazdki na niebie, śpiewa się wspólnie kolędy i wspólnie wędruje się na Pasterkę. Równocześnie jednak każdy region Polski ma sobie tylko właściwe i charakterystyczne elementy obrzędów i wierzeń, ważne na cały czas Świąt Bożego Narodzenia, a szczególnie na dzień Wigilii. Nieco inne będą u ludności katolickiej z Puszczy Kurpiowskiej, inne dla prawosławnych chłopów z Podlasia, a jeszcze inne u ewangelickich górali z Beskidów czy grekokatolickich Hucułów ze Wschodnich Karpat, albo rybackich rodzin kaszubskich z nadmorskich terenów.

Różnice w poszczególnych Wigiliach zależały też bardzo od statusu rodzinnego. Inaczej kiedyś świętowała szlachta, inaczej ludność włościańska czy mieszczańska. Okres międzywojenny i wiek XX także zaznaczyły się wyraźnie w charakterze polskiej wieczerzy wigilijnej. Obecnie zwraca się uwagę głównie na możliwości materialne rodziny, jej skład i potrzeby. Wybiera się przede wszystkim takie potrawy, jakie pamiętamy z dzieciństwa, a więc z tradycji przechowywanej wewnątrz rodziny; także niekiedy ważne są upodobania kulinarne poszczególnych członków rodziny.

Jedno jest pewne, że w tym dniu nikt nie powinien czuć się opuszczony i samotny. I jeszcze to, że mimo ciągle zachodzących na świecie zmian, Wigilia pozostaje na zawsze punktem kulminacyjnym nie tylko Świąt Bożego Narodzenia, ale całego roku świątecznego i obrzędowego. Zajmuje ona w kulturze polskiej bardzo ważne miejsce, którego nie da się porównać z niczym innym na świecie.

Współcześnie, obok świętowania Wigilii w domach, organizowane są przez różne instytucje spotkania wigilijne, na które zapraszani są głównie ludzie samotni, starsi, często bezdomni, którzy nie mają własnych rodzin, lub o których własne rodziny zapomniały. Dzieli się oni opłatkiem, składają sobie życzenia i posilają się wigilijnymi potrawami.

Klub Seniora Politechniki Gdańskiej w tym roku już po raz piąty zaprasza na taką wieczerzę wigilijną wszystkich naszych samotnych seniorów oraz tych spośród pracowników, którzy chcieliby podzielić się z nami swoją samotnością. I tak się dzieje, że z roku na rok na naszą politechniczną Wigilię przychodzi ich coraz więcej. Przychodzą często ze swoimi opiekunami,

ubrani odświętnie, wzruszeni i uśmiechnięci. Zasiadają godnie przy stołach nakrytych białymi obrusami, a przed każdym czeka na zapalenie biała świeczka na stojaczkę wyciętym artystycznie z brzoźowego pieńka, a obok leży plastikowa torebeczka z miedzianym grosikiem i łuska karpia. To na szczęście, by według dawnych wierzeń i obrzędów nie brakło w całym roku grosza na chleb... Niestety, czasami się to nie sprawdza, choć wróżby i życzenia płyną z ogromną życzliwością z głębi serca. Świeczki zapalamy zwykle od płomienia dużej świecy, który przybył do nas z Betlejem, a który przekazał na naszą wieczerzę JM Rektor prof. Aleksander Kołodziejczyk. Honory domu i gospodyni wieczerzy pełni jak zwykle nasza niezrównana przewodnicząca pani Gizella Bober, której to zawdzięczamy wprowadzenie do naszego Klubu tego pięknego zwyczaju – tradycyjnej wieczerzy wigilijnej. Rozpoczynamy ją modlitwą i odczytaniem odpowiedniego ustępu z Biblii, by zaraz po tym łamać się opłatkiem, tym bożym chlebem, o którym tak pięknie powiedział nasz niezapomniany kardynał Stefan Wyszyński: „Dlatego Bóg stał się człowiekiem, słowo stało się ciałem i padło w ziemię w Krainie Chleba, na pokarm dla wyżywienia wszystkich pokoleń ludzkich. Oto tajemnica Betlejem, ziemi chleba, gdzie objawił się najwspanialszy Pokarm, który z nieba zstąpił. Przyszedł On do nas przez żyźne łono Matki Boskiej.”

Nie chcemy, żeby ktokolwiek dnia tego był pozbawiony tego chleba – opłatka. Co młodsze i sprawniejsze koleżanki z Zarządu Klubu Seniora serwują wigilijne potrawy. Jest barszczyk czerwony z pasztecikiem, pstrąg w galarecie, śledź w oleju, bułka, masło, chrzan. Jest kompot z suszonych owoców, makowiec i sernik. Pijemy kawę i herbatę. Radosny gwar wraza z godziny na godzinę. Melodie wspólnie śpiewanych kołęd płyną jedna za drugą. Czas upływa mile i ciepło. Atmosfera jest prawdziwie rodzinna i niepowtarzalna. Opowiadamy sobie o różnych zwyczajach i obrzędach nocy wigilijnej, czytamy wiersze i śpiewamy, śpiewamy coraz to nowe kołedy ze specjalnej książeczki. A oto słyhać za drzwiami szuranie ciężkich kroków i dzwonek. Wkracza św. Mikołaj i rozdaje wszystkim słodczyce, ale przezornie nie egzaminuje nikogo z katechizmu. Na pewno niejednemu z nas coś tam z tego na drodze życia wypadło z pamięci. Za oknem sypie śnieg, ale biesiadnicy nie martwią się tym. Do domów zostaną odwiezieni wigilijnym zaprzęgiem przez pana Józefa Ogoźała. W sercach naszych samotnych seniorów robi się coraz rzewniej i cieplej. Wiedzą dobrze, że nie są sami w tym świętym dniu i w tym miejscu, i że ktoś myśli o nich najserdeczniej. Tu możemy sobie przypomnieć prosty, lecz jakże głęboki treścią wiersz Jana Kasprowiczka:

*„Przy wigilijnym stole
łamiąc opłatek święty
pomnijcie, że dzień ten radosny
w miłości jest poczęty
Że jak mówi wam wszystkim
Dawne, odwieczne orędzie
Z pierwszą na niebie gwiazdą
Bóg w naszym domu zasiędzie.”*

Echo naszej klubowej wieczerzy oraz późniejszego spotkania wszystkich seniorów w politechnicznej auli dogania nas szybko w korespondencji, jaką przynosi nam po świętach poczta, pełnej słów wzruszenia i podziękowań za możliwość uczestniczenia w tych spotkaniach. Oto fragmenty niektórych z tych listów i pocztówek. Są one potwierdzeniem tego, że to, co robimy, jest wszystkim bardzo potrzebne. Wszak nie samym chlebem człowiek żyje...



SZANOWNI PAŃSTWO

Zarząd Klubu Seniora PG organizuje w dniu 24 grudnia br. (poniedziałek) o godz. 17.00 w Klubie Pracowniczym

WIECZERZĘ WIGILIJNĄ

dla osób samotnych z naszego grona

**ZAPRASZAMY SENIORÓW
I PRACOWNIKÓW UCZELNI**

Osoby zainteresowane prosimy o szybkie zgłoszenie się w Klubie Seniora w godzinach 11.00-14.00 najpóźniej do 18.12.2001 r.

„... Z całego serca dziękuję Pani (to adresowane do pani Gizelli Bober) za łaskawe zaproszenie mnie, jako samotnej, na kolację „wigilijną”. Atmosfera była tak przyjemna, że zupełnie zapomniało się o swej starości, o swojej samotności i o wszystkich nękających nas kłopotach. Były to chwile tak urocze, że z żalem rozstaliśmy się. Nie mam słów, by wyrazić Pani moją wdzięczność. Kolacja była nadzwyczajna, jak w naszym wieku mogłybyśmy to wszystko urządzić w swoim domu? Było tyle pysznych rzeczy, a na zakończenie dostałyśmy jeszcze paczki, które zapewniły nam dalsze święta w domu. Jak mam wyrazić Pani słowa wdzięczności za trud i ciężką pracę, jaką Pani poniosła i poświęciła swoje siły i czas dla nas? Jestem bardzo wdzięczna – święta tak miło spędzone, dzięki Pani wysiłkowi na długo zostaną w mojej pamięci

Zofia Adel”

„... do Zarządu Klubu Seniora

Pisząc te słowa pragnę podzielić się radością i wzruszeniem, których za Państwa udziałem doświadczam już od kilku lat w każdym świątecznym czasie. Co roku wszyscy przeżywamy przedświąteczny niepokój, przepelnieni nadzieją na ciepło, bliskość, wzajemną ludzką pamięć i szczęście tych paru krótkich chwil Bożego Narodzenia i Nowego Roku. Dla mnie, a z pewnością także dla wielu z nas, Państwa troska jest spełnieniem świątecznych nadziei. Dziękując za to serdecznie, chciałabym jednocześnie życzyć Państwu zdrowia, pogody ducha i wielu dobrych szczęśliwych dni w nadchodzącym roku.

Henryka Machała”

I coś z mowy wiązanej...

„...Jak obyczaj stary, według naszej wiary, pragnę złożyć szczerze życzenia w dniu Bożego Narodzenia. Niech ta Gwiazdka Betlejemska, która świeci Ci o zmroku, zaprowadzi Cię do szczęścia w nadchodzącym nowym roku. Jak nadejdzie dzień Wigilii i opłatek weźmiesz w rękę, choć ja będę gdzieś w oddali, z Tobą będzie moje serce.”

Słowa te dedykuje JM Rektorowi, Klubowi Seniora i Działowi Socjalnemu pani Maria Smoleńska.

To tylko niewielka część pisanych do Zarządu Klubu Seniora serdecznych słów przysyłanych przez naszych Seniorów. Są one dla nas prawdziwą radością i mobilizują nas do jeszcze większej pracy i wysiłku tak długo, jak na to pozwolą nam siły. Wszak naszą dewizą klubową jest stwierdzenie, że **człowiek tyle jest wart, ile może uczynić dla drugiego człowieka**. Pragniemy być zawsze wierni tej dewizie.

*Jadwiga Lipińska
Klub Seniora*

Nie rozmieniamy się na drobne*

Z prof. dr. hab. Janem Godlewskim
prorektorem ds. nauki Politechniki Gdańskiej
rozmawia Przemysław Rot

Czy polska nauka jest w stanie współpracować z przemysłem i gospodarką?

Na wstępie trzeba odpowiedzieć sobie na pytanie, jakie zadania stoją przed uczelniami. Po pierwsze, jest to kształcenie kolejnych pokoleń kadr dla przemysłu i nauki. W tym zakresie nie ma jeszcze dramatu, chociaż obecna kadra dydaktyczna szybko się starzeje. Niedobory kadrowe pojawiają się zwłaszcza w naukach eksperymentalnych, gdzie obok aparatury konieczny jest zespół młodych, dobrze wykształconych i wyedukowanych językowo ludzi. W tych dziedzinach nauki, które są atrakcyjne rynkowo, odczuwa się znaczący niedobór naukowców ze stopniami doktorskimi. Młodzi ludzie uciekają coraz częściej nie tylko do przemysłu, ale też do zagranicznych placówek naukowo-badawczych, które obok bogatszego zaplecza laboratoryjnego oferują zdecydowanie lepsze warunki finansowe. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że układ ten nie ma charakteru statycznego i z czasem będzie się zmieniał na korzyść uczelni krajowych.

Zdecydowanie gorzej realizowany jest drugi cel, a więc działalność środowisk naukowych na rzecz rozwoju gospodarczego kraju.

Czy nie jest to pochodną wspomnianego wcześniej braku kadr naukowych?

Niedostatki kadrowe to tylko jeden powodów niskiego zaangażowania krajowej nauki w badania stosowane, i wcale nie najważniejszy. Wielkim wyzwaniem dla środowisk naukowych jest brak zainteresowania pracami badawczymi ze strony przemysłu. Nie mówię, że takiego zainteresowania nie ma wcale, ale jest ono nawet w stosunku do naszych skromnych możliwości symboliczne. Powodem takiego stanu rzeczy jest struktura polskiej gospodarki, jaka wytworzyła się w ostatnim 10-leciu. Przemysł w dużej mierze dysponuje dzisiaj nowoczesnymi technologiami produkcji i jego wyroby są na średnim europejskim poziomie. Dotyczy to zwłaszcza tych firm, które dzięki inwestorom zagranicznym uzyskały dostęp do know-how w dziedzinie zarządzania i produkcji. Niestety, w znaczącej mierze technologie stosowane w tych przedsiębiorstwach są w całości implementacjami rozwiązań bazujących na wynikach prac badawczo-rozwojowych realizowanych przez należące do koncernów międzynarodowych zagraniczne placówki badawczo-rozwojowe. Współpracy krajowych ośrodków naukowo-badawczych z przemysłem, zwłaszcza opartym na kapitale zagranicznym, nic sprzyja poufność wielu prac wdrożeniowych. Dotyczy to szczególnie etapu ich komercjalizacji.

Czy naszym atutem może być konkurencyjność cenowa pracy polskich naukowców?

Cena pracy naukowca to tylko jeden i wcale nie najważniejszy składnik kosztów prac badawczo-rozwojowych. Decydującym czynnikiem jest dzisiaj koszt aparatury naukowo-badawczej. Tej tymczasem, w Polsce już prawie w ogóle się nie produkuje, a na kosztowne zakupy za granicą poszczególnych placówek po prostu nie stać.

W naszym kraju brakuje też tzw. dużych urzędzeń badawczych. Niepowodzeniem skończyła się na przykład próba budowy synchrotronu, dającego podstawę do badań nad zastosowaniem fal rentgenowskich w wielu dziedzinach nauki i techniki, w tym w diagnostyce medycznej.



Prof. Jan Godlewski, prorektor ds. nauki PG

Co zatem należy zrobić, aby stworzyć warunki do finansowania zaawansowanej działalności badawczej?

Dzisiejszy system finansowania nauki powoduje, że uczelnie, ośrodki naukowe i badawczo-rozwojowe otrzymują symboliczne kwoty, które pozwalają z grubsza na realizację zadań statutowych oraz na częściowe pokrycie kosztów ich utrzymania.

System finansowania nie zabezpiecza środków do realizacji określonych działań badawczych oraz inwestycyjnych w sferze nauki, i to nawet tych, o których mówi się głośno, że mogłyby stać się kołem zamachowym naszej gospodarki i nauki. Wydaje się, że nieporozumieniem jest również finansowanie ze środków publicznych jednostek badawczo-rozwojowych będących pozostałością po funkcjonujących do końca lat 80. strukturach przemysłowych. Tak dzisiaj finansuje się z budżetu jednostki badawcze przemysłu motoryzacyjnego, który w całości bazuje na technologiach i rozwiązaniach pochodzących z importu. Podobnie ma się sprawa z ośrodkami badawczymi przemysłu włókienniczego i górnictwa oraz innych resortów, które praktycznie nie mają już dzisiaj prawie żadnych powiązań z przemysłem. Placówki te zamiast poszukiwać dla siebie miejsca na rynku, co robią zresztą w mniej lub bardziej udany sposób, konsumują skromne środki publiczne, które mogłyby zostać wydatkowane na realizację listy priorytetowych celów. Należałoby oczekiwać, że to przemysł powinien finansować jednostki naukowe i badawczo-rozwojowe, nie odwrotnie.

Coraz więcej w Unii Europejskiej i Polsce mówi się o regionalnych systemach innowacji i klastrach, które mają być receptą na aktywizację regionalnych środowisk naukowych i gospodarczych. Czy dzisiejsza struktura i lokalizacja ośrodków naukowo-badawczych odpowiada takim wymaganiom?

Sytuacja jest bardzo zróżnicowana. Niektóre jednostki faktycznie współpracują z przemysłem zlokalizowanym w regionie lub kraju. Są też i takie, które szukają możliwości współpracy z partnerami zagranicznymi, m.in. w ramach 5. Programu Ramowego UE. Bariery jest natomiast brak programu dotyczącego badań naukowych na rzecz przemysłu. Standardem jest, że w wielkich koncernach nawet do 15 proc. budżetu przeznaczają się na prace naukowo-badawcze. W Polsce takimi statystykami pochwalić się niestety nie można. Skoro w naukę się nie inwestuje, to trudno oczekiwać na spektakularne wyniki.

Można to chyba wytłumaczyć tym, że u nas takich pieniędzy po prostu nie ma, albo że są niepotrzebnie rozpraszane między wiele agend rządowych zajmujących się pokrewną działalnością, jak np. Agencja Techniki i Technologii?

Z tego, co wiem, ATT dysponuje skromnym budżetem sięgającym kilkudziesięciu milionów złotych. Nie jest to zatem budżet, który w sposób znaczący mógłby wpłynąć na wyniki osiągane w placówkach naukowo-badawczych,

Ale takich agend jest przecież więcej?

Zgadzam się, że rozproszenie pieniędzy między wiele agend nie sprzyja ich racjonalnemu wykorzystaniu. Ale podkreślam raz jeszcze – nie tylko zasoby finansowe, zwłaszcza środki publiczne, decydują o efektywności nauki. W przemyśle musi być zapotrzebowanie na naszą działalność. Tymczasem przemysł, jeśli już zwraca się do naukowców o pomoc, czyni to najczęściej w obliczu kryzysu. Naszym zadaniem jest przygotowanie ekspertyz, na bazie których w krótkim okresie udaje się zrealizować określone cele doraźne.

Czy przyczyną niskiego wykorzystania potencjału naukowego nie jest przypadkiem brak marketingu po stronie środowisk naukowych, który służyłby wskazywaniu, jakie dziedziny są najbardziej potrzebne gospodarce?

Marketing w nauce ma rację bytu, jeśli mamy do zaoferowania gotowy produkt do wdrożenia. W przypadku badań naukowych długi czas realizacji, do tego bez gwarancji na udany efekt końcowy, nie zachęca przedsiębiorstw do wikłania się w ich finansowanie. Niełatwo przekonać przemysł, że nawet prowadzenie badań na dość ogólnym poziomie przynosi wiele ubocznych efektów, które szybko znajdują zastosowania komercyjne. Przykładem może być rozwój elektroniki, od lamp elektronowych do układów w skali nano. Efektem pobocznym tych badań jest wiele odkryć i wynalazków, które już znalazły zastosowanie w elektronice powszechnego użytku. Jak wspomniałem, badania naukowe z powodu swojej natury są długookresowe, a ich komercyjne efekty nierzadko widać po kilku, kilkunastu latach. Niewiele jest w Polsce firm, które myślą aż tak perspektywnie, a tym samym są zainteresowane finansowaniem działalności badawczo-rozwojowej. Dużą część przedsiębiorców, zwłaszcza reprezentujących sektor małych i średnich przedsiębiorstw, nie dojrzała jeszcze do myślenia, że bez rozwoju, stałego unowocześniania i wprowadzania nowatorskich technologii ich produkty stają się coraz mniej konkurencyjne na rynku. Proszę zwrócić uwagę na wyniki kończącego się właśnie 5. Programu Ramowego UE, mającego owocować współpracą środowisk przemysłowych i naukowych, a którego efektem miało być komercyjne wdrażanie wyników badań. W ramach tego programu udało nam się uzyskać z UE zaledwie 17 proc. środków przeznaczonych na finansowanie tego programu w Polsce. To potwierdza, jak nikłe jest zainteresowanie przemysłu wdrażaniem nowoczesnych krajowych oraz zagranicznych technologii.

Czy nie jest też tak, że część działalności naukowców na rzecz przemysłu nie podlega po prostu oficjalnej ewidencji?

Z pewnością tak. Mamy dziś pracowników, którzy poza uczelniami i ośrodkami badawczymi prowadzą albo własną działalność gospodarczą, albo pracują lub najmują się jako konsultanci w firmach doradczych i zakładach przemysłowych. Ma to oczywiście swoje dobre i złe strony. Złe, bo dodatkowe zajęcia odrywają naukowców od ich podstawowych zajęć – dydaktyki i badań naukowych. Dobre, bo dzięki takim kontaktom naukowcy zyskują wiedzę praktyczną, którą kiedyś nabywało się w ramach praktyk studenckich. Działalność ta ogranicza się niestety przeważnie do usług eksperckich, a więc nie wnosi zbyt wiele nowych wartości do zasobów polskiej nauki.

Jak skłonić przemysł do współpracy ze sferami naukowymi?

Być może zachętą do korzystania z krajowego zaplecza badawczo-rozwojowego byłyby obligatoryjne odpisy na działal-

ność badawczo-rozwojową. Nie sądzę, aby firmy, które zmuszono by w ten sposób do finansowania działalności naukowo-badawczej i wdrożeniowej, nie interesowały się, na co wydatkowane są te pieniądze i jakie z tego mogą mieć korzyści.

Czy przejście na wyższy poziom technologiczny oraz rozwój innowacyjnych dziedzin przemysłu może w Polsce zapewnić koncepcja tworzenia parków technologicznych?

Wydaje się, że to słuszny kierunek działań. Wstępem mogłaby tu być reforma nieefektywnych, rozrzuconych po całym kraju jednostek badawczo-rozwojowych. Te, które mają dziś oparcie w przemyśle lub których zasoby naukowo-badawcze mogą być praktycznie wykorzystane, powinny zostać wzmocnione i stać się zalążkami przyszłych parków technologicznych. Z pewnością wśród tych jednostek są i takie, które straciły rację bytu i powinny zostać zlikwidowane. Tak radykalne reformy w sferze funkcjonowania, a zwłaszcza finansowania, spotkały się z oporem silnego lobby jbr, które wspólnie walczą dziś o zachowanie status quo, i o środki na działalność statutową. Bez tak radykalnych decyzji obecne finansowanie nauki w Polsce nie będzie służyło jej rozwojowi.

Czy można w Polsce stworzyć uczelnie na wzór amerykańskiego Massachusetts Institute of Technology (MIT)?

To bardzo istotna kwestia, czy w Polsce należy tworzyć uczelnie elitarne, kształcące kadry twórcze, podczas gdy pozostałe uczelnie kształciłyby kadry utrzymania ruchu. Już kilkakrotnie dyskutowano nad taką koncepcją, ale dotąd nie trafiła ona na grunt na tyle podatny, aby wcielić ją w życie. Cieszyłbym się, gdyby takie uczelnie powstały w Polsce przy współudziale wszystkich zainteresowanych, więc także sfer gospodarczych, które oczywiście miałyby prawo głosu w kwestii kształcenia i kierunków prowadzonych badań.

Co zatem możemy zrobić dla dobra nauki i gospodarki w Polsce?

Przy tak skromnych środkach kontynuować możemy jedynie kształcenie nowej kadry naukowej, i to na coraz gorszym poziomie. Ze względu na brak nowoczesnej infrastruktury badawczej nie da się po prostu prowadzić w Polsce badań na światowym poziomie. Jak na razie jedynym, aczkolwiek radykalnym sposobem pokonania barier finansowych mogłaby być systemowa zmiana finansowania nauki i koncentracja środków na kilku najbardziej rozwojowych dziedzinach nauki. Moim zdaniem mogłyby to być nauki medyczne, elektronika i teleinformatyka oraz nanotechnologie. Wszystkie te dziedziny są ze sobą ściśle powiązane, co z pewnością wpłynęłoby także na łączne koszty badań. Konieczna jest również reforma infrastruktury pośredniczącej w kontaktach między sferami nauki i biznesu, która ułatwiałaby transfer technologii do przemysłu, a z drugiej strony – zabiegała o zlecenia i źródła finansowania dla nauki. Wydaje się, że właśnie na tym polu jest wiele do zrobienia, bowiem z jednej strony w środowiskach naukowych, ze względu na specyfikę działalności, brakuje specjalistów o zdolnościach menedżerskich, z drugiej zaś – mam wrażenie, że w środowiskach biznesowych brakuje nie tylko przeświadczenia o potrzebie prowadzenia badań, ale także wiedzy o ofercie krajowego zaplecza naukowo-badawczego.

Dużą rolę w aktywizacji sfery naukowej powinny odegrać władze samorządowe. Uczelnie finansowane z budżetu centralnego funkcjonują często w oderwaniu od lokalnych realiów gospodarczych. Tę wiedzę mają właśnie samorządy, które powinny uczestniczyć w finansowaniu nauki i decydowaniu o kierunkach jej rozwoju.

* Przedruk z Biuletynu KBN „Sprawy Nauki” nr 6/2001

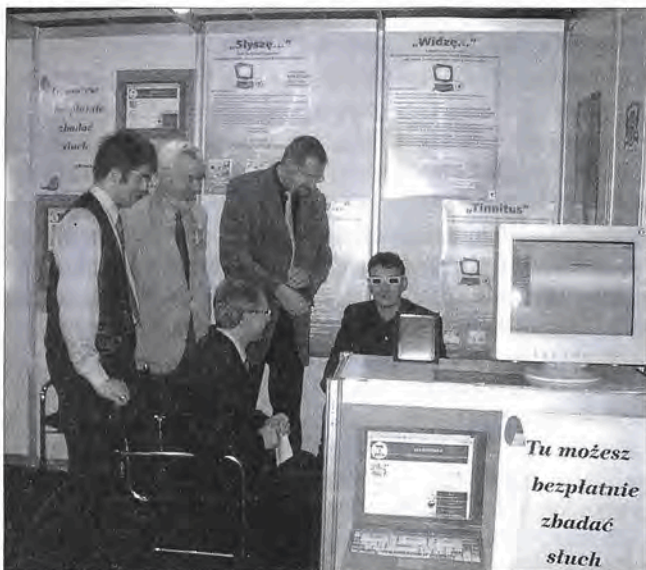
Politechnika Gdańska na IV Międzynarodowej Wystawie Wynalazków „INNOWACJE 2001”

W dniach 17-19 października 2001 r. w Gdańsku odbyła się IV Międzynarodowa Wystawa Wynalazków „INNOWACJE 2001”. Organizatorem Wystawy były Międzynarodowe Targi Gdańskie SA, a współorganizatorem Stowarzyszenie Polskich Wynalazców i Racjonalizatorów. Patronat nad wystawą sprawowali: Minister Gospodarki, Przewodniczący Komitetu Badań Naukowych – Minister Nauki, Marszałek Województwa Pomorskiego, Wojewoda Pomorski. Głównym celem Wystawy była promocja myśli naukowo-technicznej, wynalazczości i innowacyjności.

W trakcie uroczystego otwarcia „Innowacji 2001” prof. J. Doerfferowi został uroczystie wręczony Medal Honorowy im. Tadeusza Sendzimira. Medal ten przyznawany jest najwybitniejszym polskim wynalazcom przez Krajową Radę Stowarzyszenia Polskich Wynalazców i Racjonalizatorów. W Wystawie uczestniczyło 32 wystawców z kraju i zagranicy, w tym Politechnika Gdańska. Imprezie tej towarzyszyło seminarium, na którym przedstawiciele Urzędu Patentowego RP omawiali nowe prawo własności przemysłowej, obowiązujące w Polsce od sierpnia tego roku. Zagraniczni eksperci przedstawiali, na przykładzie swoich krajów, problemy promocji innowacyjności w gospodarce.

Koordynatorem przedsięwzięcia przedstawiającego naszą Uczelnię i jej niektóre osiągnięcia był prorektor ds. rozwoju prof. W. Przybylski, a jego pełnomocnikiem ds. organizacyjnych – mgr Cz. Popławski, zaś w organizacji stoiska na Wystawie pomógł jak corocznie Dział Gospodarczy PG.

Równoległe z Wystawą prowadzony był konkurs na najlepsze rozwiązania innowacyjne, a dla twórców tych rozwiązań ustanowiono medale, jak również ufundowano prestiżowe puchary, których fundatorami byli m.in. Minister Gospodarki, Minister Nauki, Marszałek Województwa Pomorskiego, Wojewoda Pomorski, Prezydent Miasta Gdańska, Rektor Politechniki Gdańskiej.



Stoisko Katedry Inżynierii Dźwięku i Obrazu Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki (fot. A. Czyżewski)



(fot. A. Czyżewski)

Jury konkursu składało się z 13 osób, w tym 4 profesorów z różnych wyższych uczelni w Polsce.

Na Wystawie zostały zaprezentowane innowacje dokonane na trzech Wydziałach PG:

- Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki,
- Elektrotechniki i Automatyki,
- Mechanicznym.

Twórcy z Katedry Inżynierii Dźwięku i Obrazu: prof. A. Czyżewski (kierownik) i dr B. Kostek przedstawili powszechny system diagnostyki wad widzenia, badań i rehabilitacji mowy i słuchu, który został opracowany we współpracy z twórcami z Instytutu Fizjologii i Patologii Słuchu w Warszawie: prof. H. Skarżyńskim i prof. J. Szaflikiem. System ten został wyróżniony **Złotym Medalem** w kategorii: „elektronika i informatyka”.

Mgr inż. K. Suchocki z Katedry Elektroniki Medycznej i Ekologicznej, kierowanej przez prof. A. Nowakowskiego, przedstawił rozwiązanie zatytułowane „Sposób pomiaru tlenu rozpuszczonego w roztworach wodnych”.

Mgr inż. T. Kowaluk przedstawił pracę magisterską pt. „Mikrosystem pomiarowy na bazie mikrokontrolerów z magistralą SMP”, której promotorem był dr W. Tłaga, wykonaną w Katedrze Miernictwa Elektrycznego, kierowanej przez prof. R. Zielenko.

Dr P. Hempowicz z Katedry Energoelektroniki i Maszyn Elektrycznych, którą kieruje prof. M. Ronkowski, zaprezentował ogranicznik prądów zwarciovych do ochrony przeciwzwarciowej w obwodach prądu przemiennego. Rozwiązanie to zostało nagrodzone **Brazowym Medalem** w kategorii: „bezpieczeństwo pracy”.

Katedra Technologii Maszyn i Automatykacji Produkcji przedstawiła sposób obróbki stali hartowanych i narzędzie do nagniatania ślizgowego wewnętrznych powierzchni obrotowych. Twórcami rozwiązania są: prof. W. Przybylski i dr J. Zieliński.

Na stoisku Politechniki Gdańskiej przedstawiona również została oferta wdrożeniowa prezentująca wynalazki i wzory użytkowe dokonane przez pracowników PG w okresie 1992 - 2001 r. oraz oferta w zakresie możliwości kształcenia na naszej Uczelni, korzystania ze zbiorów Biblioteki Głównej, a także oferta wydawnicza Wydawnictwa PG, jak również propozycje Regionalnego Punktu Kontaktowego V Programu Ramowego Unii Europejskiej oraz Programu Socrates.



*Stoisko Wydawnictwa Politechniki Gdańskiej
(fot. A. Czyżewski)*

Na zakończenie Wystawy odbyła się miła uroczystość, na której twórcom powyżej wyróżnionych rozwiązań, w tym twórcom z PG, zostały wręczone medale.

W trakcie tej uroczystości prof. Włodzimierz Przybylski otrzymał **Złoty Medal WIPO** (*the World Intellectual Property Organisation*) Światowej Organizacji Własności Intelektualnej z siedzibą w Genewie, za sposób obróbki przez nagniatanie stali hartowanych (opracowany wspólnie z dr. inż. Jerzym Zielińskim) oraz za wkład w popularyzację ruchu wynalazczego i rozwój Międzynarodowych Wystaw Wynalazków „Innowacje”.

Ponadto dr inż. Paweł Romanowski oraz doc. dr inż. Ryszard Maciakowski z Politechniki Gdańskiej wraz z dr. hab. Janem Rogowskim z Akademii Medycznej w Gdańsku otrzymali wspólnie nagrodę główną Wystawy (Grand Prix) za urządzenie do unieruchamiania pola operacji chirurgicznej wykonywanej



*JM Rektor PG prof. Aleksander Kołodziejczyk w towarzystwie prorektorów PG przy stoisku Wydziału Mechanicznego
(fot. J. Zieliński)*

na pracującym sercu. Urządzenie to zostało wystawione przez AMG.

Puchar Rektora PG otrzymało Stowarzyszenie Węgierskich Wynalazców (MAFE) za prezentację węgierskich wynalazków na tej Wystawie.

Koszty udziału wystawców z Politechniki Gdańskiej pokrył JM Rektor PG ze swojej rezerwy finansowej.

Kolejna V Międzynarodowa Wystawa Wynalazków „Innowacje 2003” odbędzie się za dwa lata w Gdańsku.

Zapraszamy już dziś do udziału w „Innowacjach 2003” wszystkich wynalazców i innowatorów z Politechniki Gdańskiej.

*Czesław Popławski
Rzecznik patentowy PG*



Prezes Stowarzyszenia Polskich Wynalazców i Racjonalizatorów, Władysław Kóleczo, w towarzystwie członków Komisji Konkursowej, wręcza prof. Włodzimierzowi Przybylskiemu Złoty Medal WIPO (fot. SPWiR)



Posiedzenie plenarne KAUT – 9 listopada 2001 r.

Na posiedzeniu plenarnym Komisji Akredytacyjnej Uczelni Technicznych, które odbyło się we Wrocławiu w dniu 9 listopada 2001 r., wszczęte zostały procedury akredytacyjne dla następujących kierunków studiów:

Architektura i Urbanistyka,
Automatyka i Robotyka,
Elektronika i Telekomunikacja,
Elektrotechnika,
Informatyka,
Mechanika i Budowa Maszyn.

W załączeniu lista wszystkich zgłoszonych do akredytacji kierunków.

Komisja ustaliła, że dla ww. kierunków istnieje jeszcze możliwość zgłoszenia kierunku do akredytacji, pod warunkiem, że **do 16 listopada 2001 r. do Biura KAUT** zostanie przesłany wniosek o wszczęcie procedury akredytacyjnej. Do wniosku muszą być dołączone zwięzłe dane o kandydatach do Grupy Ekspertów i Zespołów Oceniających oraz ich pisemne zgody na kandydowanie. Proponowani przez jednostkę uczelni wyższej kandydaci będą brani pod uwagę tylko przy powoływaniu Zespołów Oceniających, ponieważ Grupy Ekspertów zostały już powołane.

Dla ww. kierunków na posiedzeniu plenarnym Komisja, z grona kandydatów zgłoszonych we wnioskach, powołała Grupy Ekspertów. Jeżeli nie było pisemnej zgody kandydata na podjęcie się funkcji eksperta, kandydatura ta nie była brana pod uwagę w czasie procedury tworzenia Grupy Ekspertów. Poniżej przytoczono skład Grup Ekspertów dla kierunków, na których wszczęto proces akredytacji.

Kierunek: Architektura i Urbanistyka

- prof. dr hab. inż. arch. **Wacław Seruga** – Politechnika Krakowska (przewodniczący)
- prof. dr hab. inż. arch. **Nina Juzwa** – Politechnika Śląska
- prof. dr inż. arch. **Wiesław Anders** – Politechnika Gdańska
- prof. nadzw. dr hab. inż. arch. **Elżbieta Trocka-Leszczynska** – Politechnika Wrocławska
- prof. zw. dr hab. inż. arch. **Stefan Wrona** – Politechnika Warszawska
- mgr inż. **Bogdan Kaczmarzyk** – dyrektor Biura Projektów we Wrocławiu
- mgr inż. arch. **Tomasz Taczewski** – Biuro Architektoniczne „Taczewski” w Katowicach

Kierunek: Automatyka i Robotyka

- prof. dr hab. inż. **Krzysztof Kozłowski** – Politechnika Poznańska (przewodniczący)
- dr hab. inż. **Andrzej Balawender**, prof. nadzw. PG – Politechnika Gdańska
- prof. zw. dr hab. inż. **Tadeusz Kaczorek** – Politechnika Warszawska
- prof. dr hab. inż. **Tadeusz Uhl** – Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie
- mgr inż. **Antoni Zbudniewek** – wiceprezes Zarządu ABB ELTA, Łódź
- prof. dr hab. inż. **Józef Lisowski** – Wyższa Szkoła Morska w Gdyni
- prof. zw. dr hab. inż. **Jan Koch** – Politechnika Wrocławska

Kierunek: Elektronika i Telekomunikacja

- prof. dr hab. inż. **Krzysztof Wesolowski** – Politechnika Poznańska (przewodniczący)

- prof. nadzw. dr hab. **Bogdan Majkusiak** – Politechnika Warszawska
- prof. nadzw. dr hab. **Andrzej Pach** – Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie
- dr hab. inż. **Jerzy Jakubiec**, prof. nadzw. PŚ – Politechnika Śląska
- dr **Edward Sędek** – Przemysłowy Instytut Telekomunikacji, Warszawa
- płk prof. dr hab. inż. **Radosław Trębiński** – Wojskowa Akademia Techniczna
- dr hab. inż. **Zdzisław Drzycimski** – Akademia Techniczno-Rolnicza w Bydgoszczy

Kierunek: Elektrotechnika

- prof. dr hab. inż. **Tadeusz Glinka** – Politechnika Śląska (przewodniczący)
- prof. dr hab. inż. **Kazimierz Mikołajuk** – Politechnika Warszawska
- prof. dr hab. **Bogdan Miedziński** – Politechnika Wrocławska
- prof. dr hab. **Józef Lorenc** – Politechnika Poznańska
- dr inż. **Henryk Majchrzak** – z-a dyrektora ds. technicznych Elektrowni Opole SA, Brzezie k/Opola
- dr hab. **Jan Anuszczyk**, prof. nadzw. PŁ – Politechnika Łódzka
- prof. dr hab. inż. **Michał Szyper** – Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie

Kierunek: Informatyka

- prof. nadzw. dr hab. **Bohdan Macukow** – Politechnika Warszawska (przewodniczący)
- dr hab. **Zbigniew Odrowąż** – Softman SA
- prof. dr hab. **Leszek Rutkowski** – Politechnika Częstochowska
- prof. dr hab. **Dominik Sankowski** – Politechnika Łódzka
- dr hab. inż. **Ryszard Rojek**, prof. nadzw. PO – Politechnika Opolska
- dr hab. inż. **Adam Grzech**, prof. nadzw. PWiR. – Politechnika Wrocławska
- płk dr hab. inż. **Andrzej Najgebauer** – Wojskowa Akademia Techniczna w Warszawie

Kierunek: Mechanika i Budowa Maszyn

- prof. dr hab. inż. **Marian Dudziak** – Politechnika Poznańska (przewodniczący)
 - prof. dr hab. inż. **Wojciech Cholewa** – Politechnika Śląska
 - prof. dr hab. inż. **Stanisław Michałowski** – Politechnika Krakowska
 - prof. dr hab. inż. **Wit Grzesiak** – Politechnika Opolska
 - mgr inż. **Jan Barcentowicz** – Instytut Obróbki Skrawaniem, Kraków
 - prof. dr hab. inż. **Feliks Stachowicz** – Politechnika Rzeszowska
 - mgr inż. **Jerzy Thamm** – Rafako
- Zadaniem powołanych Grup Ekspertów jest przygotowanie, w ciągu dwóch miesięcy od powołania, szczegółowych standardów jakości kształcenia dla danego kierunku studiów.

Pierwsze spotkanie Grup Ekspertów odbyło się w Politechnice Warszawskiej 20 listopada 2001 r.

Komisja przyjęła, że następnym głównym terminem składania wniosków o wszczęcie procedury akredytacyjnej będzie:

22 marca 2002 r.

Komisja przewiduje również możliwość wszczęcia procedury akredytacyjnej, jeżeli liczba dotychczasowych zgłoszeń dla danego kierunku wzrośnie co najmniej do pięciu, a także dla kierunków, dla których liczba jednostek prowadzących jest mniejsza od pięciu, podczas posiedzenia plenarnego KAUT,

które prawdopodobnie odbędzie się w dniach 24-25 stycznia 2002 r.

*Przewodnicząca
Komisji Akredytacyjnej Uczelni Technicznych
dr hab. inż. Alicja Konczakowska, prof. nadzw. PG*

Wykaz kierunków zgłoszonych do akredytacji

Lp.	Liczba	Zgłoszenie dnia	Kierunek	Uczelnia, Wydział
1	8 z 22 kier.	22.10.01	Automatyka i Robotyka	AGH, Wydz. Inżynierii Mechanicznej i Robotyki
2		22.10.01	Automatyka i Robotyka	Pol. Łódzka, Wydz. Elektrotechniki i Elektroniki
3		22.10.01	Automatyka i Robotyka	Pol. Gdańska, Wydz. Mechaniczny
4		25.10.01	Automatyka i Robotyka	Pol. Gdańska, Wydz. Elektrotechniki i Automatyki
5		31.10.01	Automatyka i Robotyka	Pol. Warszawska, Wydz. Mechaniczny Energetyki i Lotnictwa
6		8.11.01	Automatyka i Robotyka	Pol. Wrocławska, Wydz. Elektroniki
7		8.11.01	Automatyka i Robotyka	Pol. Wrocławska, Wydz. Mechaniczny
8		8.11.01	Automatyka i Robotyka (makrokier.)	Pol. Warszawska, Wydz. Elektroniki i Technik Informatycznych
9	3 z 25 kier.	22.10.01	Budownictwo	Pol. Gdańska, Wydz. Inżynierii Lądowej
10		29.10.01	Budownictwo	WAT, Wydz. Inżynierii, Chemii i Fizyki Technicznej
11		12.11.01	Budownictwo	Pol. Wrocławska, Wydz. Budownictwa Lądowego i Wodnego
12	8 z 26 + 1 PJ-WSzTK	22.10.01	Informatyka	Polsko-Japońska Wyższa Szkoła Technik Komputerowych
13		24.10.01	Informatyka	Pol. Wrocławska, Wydz. Informatyki i Zarządzania
14		22.10.01	Informatyka	Pol. Łódzka, Wydz. Elektrotechniki i Elektroniki
15		29.10.01	Informatyka	WAT, Wydz. Cybernetyki
16		30.10.01	Informatyka	Pol. Opolska, Wydz. Elektrotechniki i Automatyki
17		7.11.01	Informatyka	Pol. Warszawska, Wydz. Elektroniki i Technik Informatycznych
18		8.11.01	Informatyka	Pol. Wrocławska, Wydz. Elektroniki
19		8.11.01	Informatyka (makrokier.)	Pol. Warszawska, Wydz. Elektroniki i Technik Informatycznych
20	9 z 24 kier.	22.10.01	Elektrotechnika	Pol. Łódzka, Wydz. Elektrotechniki i Elektroniki
21		22.10.01	Elektrotechnika	Pol. Poznańska, Wydz. Elektryczny
22		25.10.01	Elektrotechnika	Pol. Gdańska, Wydz. Elektrotechniki i Automatyki
23		25.10.01	Elektrotechnika	Pol. Wrocławska, Wydz. Elektryczny
24		26.10.01	Elektrotechnika	Pol. Warszawska, Wydz. Elektryczny
25		30.10.01	Elektrotechnika	AGH, Wydz. Elektrotechniki, Automatyki, Informatyki i Elektroniki
26		30.10.01	Elektrotechnika	Pol. Opolska, Wydz. Elektrotechniki i Automatyki
27		6.11.01	Elektrotechnika	Pol. Śląska, Wydz. Elektryczny
28		16.11.01	Elektrotechnika	Pol. Białostocka, Wydz. Elektryczny
29	2 z 16 kier.	22.10.01	Inżynieria Materiałowa	AGH, Wydz. Metalurgii i Inżynierii Materiałowej
30		31.10.01	Inżynieria Materiałowa	Pol. Wrocławska, Wydz. Podstaw Problemów Techniki
31	1 z 5 kier.	22.10.01	Metalurgia	AGH, Wydz. Metalurgii i Inżynierii Materiałowej
32	14 z 36 kier.	22.10.01	Mechanika i Budowa Maszyn	AGH, Wydz. Inżynierii Mechanicznej i Robotyki
33		22.10.01	Mechanika i Budowa Maszyn	Pol. Śląska, Wydz. Inżynierii Środowiska i Energetyki, Gliwice
34		22.10.01	Mechanika i Budowa Maszyn	Pol. Gdańska, Wydz. Mechaniczny
35		22.10.01	Mechanika i Budowa Maszyn	Pol. Rzeszowska, Wydz. Budowy Maszyn i Lotnictwa
36		22.10.01	Mechanika i Budowa Maszyn	Wyższa Szkoła Morska w Szczecinie, Wydz. Mechaniczny
37		29.10.01	Mechanika i Budowa Maszyn	WAT, Wydz. Mechaniczny

Wykaz kierunków zgłoszonych do akredytacji cd.

Lp.	Liczba	Zgłoszenie dnia	Kierunek	Uczelnia, Wydział
38		30.10.01	Mechanika i Budowa Maszyn	Pol. Opolska, Wydz. Mechaniczny
39		31.10.01	Mechanika i Budowa Maszyn	Pol. Warszawska, Wydz. Samochodów i Maszyn Roboczych
40		8.11.01	Mechanika i Budowa Maszyn	Pol. Wrocławska, Wydz. Mechaniczno-Energetyczny
41		8.11.01	Mechanika i Budowa Maszyn	ATR Bydgoszcz, Wydz. Mechaniczny
42		8.11.01	Mechanika i Budowa Maszyn	Pol. Wrocławska, Wydz. Mechaniczny
43		8.11.01	Mechanika i Budowa Maszyn	Pol. Warszawska, Wydz. Mechaniczny, Energetyki i Lotnictwa
44		8.11.01	Mechanika i Budowa Maszyn	Pol. Warszawska, Wydz. Mechaniczny, Energetyki i Lotnictwa
45		15.11.01	Mechanika i Budowa Maszyn	AMW w Gdyni, Wydz. Mechaniczno-Elektryczny
46	4 z 25 kier.	22.10.01	Inżynieria Środowiska	Pol. Śląska, Wydz. Inżynierii Środowiska i Energetyki, Gliwice
47		25.10.01	Inżynieria Środowiska	Pol. Wrocławska, Wydz. Inżynierii Środowiska
48		30.10.01	Inżynieria Środowiska	Pol. Opolska, Wydz. Mechaniczny
49		8.11.01	Inżynieria Środowiska	Pol. Warszawska, Wydz. Mechaniczny, Energetyki i Lotnictwa
50	1 z 26 kier.	24.10.01	Zarządzanie i Marketing	Pol. Wrocławska, Wydz. Informatyki Zarządzania
51	5 z 9 kier.	25.10.01	Architektura i Urbanistyka	Pol. Gdańska, Wydz. Architektury
52		26.10.01	Architektura i Urbanistyka	Pol. Warszawska, Wydz. Architektury
53		31.10.01	Architektura i Urbanistyka	Pol. Krakowska, Wydz. Architektury
54		5.11.01	Architektura i Urbanistyka	Pol. Śląska, Wydz. Architektury i Urbanistyki
55		6.11.01	Architektura i Urbanistyka	Pol. Wrocławska, Wydz. Architektury
56	1 z 13 kier.	25.10.01	Ochrona Środowiska	Pol. Wrocławska, Wydz. Inżynierii Środowiska
57	1 z 14 kier.	26.10.01	Technologia Chemiczna	Pol. Warszawska, Wydz. Chemiczny
58	2 z 22 kier	26.10.01	Zarządzanie i Inżynieria Produkcji	Pol. Śląska, Wydz. Górnictwa i Geologii
59		8.11.01	Zarządzanie i Inżynieria Produkcji	Pol. Wrocławska, Wydz. Mechaniczny
60	2 z 12 kier.	26.10.01	Fizyka Techniczna	Pol. Warszawska, Wydz. Fizyki
61		5.11.01	Fizyka Techniczna	Pol. Gdańska, Wydz. Fizyki Technicznej i Matematyki Stosowanej
62		31.10.01	Fizyka	Pol. Wrocławska, Wydz. Podstaw Problemów Techniki
63	1 z 7 kier.	26.10.01	Inżynieria Chemiczna i Procesowa	Pol. Warszawska, Wydz. Inżynierii Chemicznej Procesowej
64	2 z 5 kier.	26.10.01	Geodezja i Kartografia	Pol. Warszawska, Wydz. Geodezji i Kartografii
65		29.10.01	Geodezja i Kartografia	WAT, Wydz. Inżynierii, Chemii i Fizyki Technicznej
66	6 z 18 kier.	29.10.01	Elektronika i Telekomunikacja	WAT, Wydz. Elektroniki
67		6.11.01	Elektronika i Telekomunikacja	Pol. Śląska, Wydz. Elektryczny
68		8.11.01	Elektronika i Telekomunikacja	Pol. Wrocławska, Wydz. Elektroniki
69		8.11.01	Elektronika i Telekomunikacja (makrokier.)	Pol. Warszawska, Wydz. Elektroniki i Technik Informacyjnych
70		29.10.01	Elektronika i Telekomunikacja (makrokier.)	WAT, Wydz. Uzbrojenia i Lotnictwa
71		16.11.01	Elektronika i Telekomunikacja	Pol. Białostocka, Wydz. Elektryczny
72	1 z 4 kier.	29.10.01	Chemia	WAT, Wydz. Inżynierii, Chemii i Fizyki Technicznej
73	1 z 2 kier.	29.10.01	Oceanotechnika	Pol. Gdańska, Wydz. Oceanotechniki i Okrętownictwa
74	1 z 9 kier.	31.10.01	Transport	Pol. Warszawska, Wydz. Transportu
75	2 z 11 kier.	31.10.01	Matematyka	Pol. Warszawska, Wydz. Matematyki i Nauk Informacyjnych
76		31.10.01	Matematyka	Pol. Wrocławska, Wydz. Podstaw Problemów Techniki
77	1 z 8 kier.	5.11.01	Górnictwo i Geologia	Pol. Wrocławska, Wydz. Górniczy
78	1 z 1 kier.	8.11.01	Włókiennictwo	Pol. Łódzka, Wydz. Inżynierii Marketingu Tekstyliów



1904 1945 2004/2005
JUBILEUSZ POLITECHNIKI w GDAŃSKU

Jeszcze raz tamte gorące dni!

Gdańsk, 1 września 2001, wspomnienia!

Rok 1980, sierpień, był, jest na Wybrzeżu, jak i w całej Polsce – pamiętny. Właśnie minęła kolejna, już 21. rocznica tego Wielkiego Sierpnia. To był ten moment, który zmienił nasze losy, jak i odwrócił bieg historii. Pokolenie, które przeżyło ten czas na Politechnice Gdańskiej, powoli odchodzi, a dla młodych to już jedynie nudna przeszłość. Jest jednak jeszcze parę osób, które żywo pamiętają te czasy, i właśnie im chciałbym przypomnieć i odświeżyć atmosferę tamtych dni. A młodym też warto pokazać, jak wówczas było. Gdy grzebałem w szpargałach z okazji remontu domu, wpadł mi do rąk artykuł, który napisałem w pierwszej rocznicę wydarzeń sierpniowych, i który ukazał się w „Głosie Nauczycielskim” we wrześniu 1981 roku. Warto go chyba zacytować ponownie, prawie bez skrótów. Szczególnie teraz, gdy tamte wielkie nadzieje błędą w nawale kłopotów codziennego życia, kryzysu ekonomicznego i deprecjacji idei Solidarności.

Najpierw jednak warto przypomnieć, albo pokazać młodym, tło. Życie polityczne skupione było na realizacji jedynie słusznej drogi, wytyczanej przez przewodnią siłę narodu – PZPR. ZSL i SD były nic nie znaczącymi przybudówkami legitymującymi pozory demokracji, a związki zawodowe, z centralą CRZZ, były pod baczną kontrolą PZPR. Jednak właśnie to w związkach zawodowych słabo, ale jednak wyraźnie można było usłyszeć pomruk niezadowolenia z sytuacji ekonomicznej i politycznej.

Już początek roku 1980 wskazywał, że ten pomruk narasta. W Politechnice działał jedyny związek zawodowy – Nauczycielstwa Polskiego. Pomysł, że mogłoby być więcej związków, był czystą herezją! Około 90% załogi należało do ZNP, ponad 3600 osób i dodatkowo ponad 400 emerytów! W marcu odbywały się wybory do Rady Zakładowej ZNP. Poprzedzone były wyborami w radach wydziałowych, gdzie zebrano dosłownie stos postulatów, co należy zmienić, w życiu związkowym, w płacach, warunkach pracy itp. Wiele tych postulatów jest aktualnych i dzisiaj! Po burzliwych, zwiastujących nadchodzenie nowych czasów, wyborach, w skład rady weszło wówczas ponad 50% nowych ludzi. Jak się okazało w najtrudniejszych chwilach przełomu, w przeważającej części byli to wspaniali, w pełni odpowiedzialni koledzy i przyjaciele do dnia dzisiejszego.

W Radzie Zakładowej ZNP działałem już wcześniej, od prawie 10 lat. Poprzednio przewodniczyłem (co wówczas oznaczało po prostu ciężką pracę w „danym resorcie”) komisjom: mieszkaniowej, czasowej, informacyjnej. Zostałem wybrany i tym razem. Widocznym objawem niezadowolenia załogi z sytuacji był przebieg, 9 kwietnia, wyborów przewodniczącego Rady Zakładowej. Normalnie była to osoba cicho wskazywana przez Komitet Zakładowy PZPR, która bez kontrkandydata była ogromną większością wybierana ku chwale związku i partii. Tym razem „namaszczone” Andrzeja Niedzielskiego, a tu niespodzianka, Andrzej Haczewski zgłosił moją kontrkandy-

daturę, osoby, która nigdy nie była zwolennikiem PZPR. Nie wielką większością zwyciężył jednak Andrzej Niedzielski, ale stanął na wysokości zadania i zaproponował mi funkcję wiceprzewodniczącego. Miałem się zajmować sprawami nauczycieli akademickich i współpracą z radami oddziałowymi. Drugim wiceprzewodniczącym został Edmund Brzoska, odpowiedzialny za sprawy nienauczycieli. Do końca semestru były jeszcze tylko 2 miesiące, co oznaczało konieczność uporządkowania ponad setki postulatów i mozolną walkę o ich realizację. Szybko jednak przyszły wakacje i można było zapomnieć o problemach związkowych. Aż do połowy sierpnia 1980!

W poniedziałek **18 sierpnia** wróciłem po urlopie do pracy w Politechnice. Stocznice strajkowały, transport miejski zamarł. W Radzie Zakładowej ZNP prawie nikogo nie było, poza sekretarzem organizacyjnym, Panią Haliną Kuniewską i skarbnikiem, Ryszardem Skarżyńskim. Potwierdzili, że panuje spokój. Już jednak następnego dnia sytuacja zmieniła się.

19 sierpnia Międzyzakładowy Komitet Strajkowy zlokalizowany w Stoczni Gdańskiej donosił w Biuletynie Informacyjnym, że „w poniedziałek do MKS dołączyło się ponad 120 nowych zakładów i reprezentuje on już 240 przedsiębiorstw”.

W tej sytuacji przed garażami Działu Transportu Politechniki Gdańskiej doszło do spontanicznie zwołanego wiecu z udziałem około 360 osób. Zebrani uchwalili list skierowany do MKS, w pełni popierający żądania strajkujących załóg, zebrali sumę ponad 10 tysięcy złotych i wybrali pięcioosobową delegację – w składzie: Ciapka, Gruszecki, Hirsch, Stołyhwo i Żurek, która miała przekazać poparcie Politechniki i zorientować się, co się dzieje w Stoczni Gdańskiej. Informacje te mieli oni przekazać następnego dnia załodze Politechniki. Delegacja została owacyjnie powitana w Stoczni, a MKS zarejestrował Politechnikę Gdańską na **249. pozycji**. W środę, **20 sierpnia** rano cała załoga czekała z niecierpliwością na wiadomości od delegatów. Auditorium MT było zapchane do ostatniego miejsca. Zebrani wysłuchali informacji o żądaniach załóg robotniczych, ponownie je poparli i postanowili pozostać na posterunku pracy.

Bezpośrednio potem odbyło się plenum Rady Zakładowej ZNP, rozszerzone o przedstawicieli rad oddziałowych. Jednocześnie poparło ono treść listu skierowanego przez załogę Politechniki do MKS i uznało 21 postulatów, sformułowanych przez MKS, za podstawowe problemy wyjściowe do dyskusji z władzami. Równocześnie uznało wybraną uprzednio delegację za oficjalne przedstawicielstwo Rady Zakładowej ZNP i udzieliło formalnego upoważnienia wszystkim pięciu delegatom do pełnienia funkcji łącznika pomiędzy MKS a Radą Zakładową, reprezentującą całą załogę Politechniki.

Decyzje te sprawiły, iż w zasadzie cały ciężar dalszych wydarzeń sierpniowych w Politechnice Gdańskiej spoczął na barkach Rady Zakładowej ZNP. Jak się okazało, była to praktycznie jedyna oficjalna organizacja w szkołach wyższych

Trójmiasta, która włączyła się od pierwszego dnia w spontaniczny nurt życia strajkowego, jednoznacznie i aktywnie popierając protest klasy robotniczej. Sama Politechnika jednak nie strajkowała i nie było w niej komitetu strajkowego.

Dla mnie rozpoczął się wyczerpujący, ale też pasjonujący okres życia. W związku z nieobecnością prezesa Niedzielskiego, który spędzał wakacje w NRD, spadł na mnie obowiązek kierowania ruchem związkowym w Politechnice. Oznaczało to uczestnictwo w samym centrum „wiru” i ciążyło ogromnym brzemieniem odpowiedzialności. Choć w momentach ogromnych napięć psychicznych tamtych dni nie wszyscy byli ze sobą zgodni, osobiście bardzo wysoko cenię sobie fakt współpracy z nimi. Wróćmy jednak do podstawowego wątku wydarzeń.

Zgodnie z postanowieniem plenum, następnego dnia, czyli **21 sierpnia**, rady oddziałowe zwołały zebrania załóg, by je poinformować o toku wydarzeń i przedyskutować istniejącą sytuację. Przypomnijmy, że władze państwowe nie chciały prowadzić jeszcze wówczas żadnych rozmów ze strajkującymi, chociaż w Gdańsku był już wicepremier Pyka. Panowała blokada telekomunikacyjna Wybrzeża, wiele osób na tzw. stanowiskach chętnie skryłoby się w przysłowiowej „mysiej dziurze”, a całe społeczeństwo było trochę inne i inaczej widziało rzeczywistość niż dzisiaj.

Jeszcze tego samego dnia odbyło się podsumowujące zebranie plenarne Rady Zakładowej rozszerzonej o przewodniczących rad oddziałowych. Taki skład plenum stał się regułą. Równocześnie wszystkie zebrania były otwarte i często towarzyszyła im ogromna „galeria”. Zebrani uchwalili apel:

„Kierując się troską o najżywotniejsze interesy kraju i działając z woli pracowników Politechniki Gdańskiej, Rada Zakładowa ZNP PG apeluje o podjęcie natychmiastowych rozmów pomiędzy Komisją Rządową a Międzyzakładowym Komitetem Strajkowym. Apelujemy również o wykazanie dobrej woli i podjęcie rozmów bez stawiania warunków wstępnych. W naszym przekonaniu jest to jedyna droga szybkiego rozwiązania trudnej sytuacji Wybrzeża”.

Natychmiast po uchwaleniu tekstu apelu, łącznicy – Ciapka, Gruszecki i Stołyhwo – poszli z nim do MKS, a Wysokiński i Zimny do Komisji Rządowej. Przyjęcie w MKS było entuzjastyczne. Apel został natychmiast przekazany przez wszystkie głośniki stoczniowe, a jednego z łączników – Gruszeckiego – nie wypuszczono już ze Stoczni i dokooptowano jako czternastego członka Prezydium MKS. Kolegów, którzy poszli do Komisji Rządowej, nikt nie przyjął, a pismo kazano jedynie zostawić w sekretariacie.

W piątek **21 sierpnia** odbyło się następne plenum sumujące naszą dotychczasową działalność. Po raz pierwszy nastąpił też kontakt z „górami związkową”. Na zebranie przyszła kierownik Oddziału ZG ZNP w Gdańsku, Zofia Trybul. Warto podkreślić, że środowiskowa Sekcja Nauki w tym czasie jakby nie istniała. Wystąpienie Pani Trybul zostało przyjęte chłodno i krytycznie. Zebrani odrzucili tekst rezolucji z 21 sierpnia, podjętej bez uczestnictwa naszej rady przez przedstawicieli rad zakładowych ZNP Okręgu Gdańskiego, gdyż nie zawierała ona uznania MKS, jako przedstawicielstwa strajkujących załóg.

W związku z brakiem porozumienia pomiędzy władzami a strajkującymi, co do sposobu prowadzenia rozmów, plenum skierowało do Rektora PG, był nim prof. Marian Cichy, delegację z propozycją powołania komisji mediacyjnej złożonej z uznanych autorytetów naukowych. Niestety, nie udało się, ze względu na późne godziny popołudniowe, zaprosić profesorów wcześniej niż na poniedziałek rano.

Na plenum podsumowano też postulaty pracowników Politechniki. Oprócz postulatów szczegółowych, zawartych w uchwale konferencji sprawozdawczo-wyborczej, plenum RZ ZNP PG żądało:

1. podjęcia rozmów z MKS;
2. prawdziwej informacji w środkach masowego przekazu;
3. rozpatrzenia sytuacji w kraju przez Sejm PRL;
4. utworzenia niezależnych związków zawodowych wyposażonych w prawo do organizowania strajków i dostęp do środków masowego przekazu;
5. rozszerzenia skutecznej walki z alkoholizmem;
6. wprowadzenia autonomii i samodzielności uczelni;
7. poprawy organizacji, stanu bazy materialnej i warunków pracy nauczycieli szkolnictwa podstawowego i średniego;
8. zapewnienia pełnego bezpieczeństwa w sensie niewywierania presji lub sankcji z tytułu działalności związkowej i akcji strajkowej wobec pracowników delegowanych przez Radę Zakładową ZNP PG do współpracy z Komitetem Strajkowym.

Ten ostatni punkt był bardzo istotny z punktu widzenia dokooptowania Gruszeckiego do Prezydium MKS. Plenum uznając, że Gruszecki zgodziwszy się wejść w skład Prezydium MKS z głosem doradczym przekroczył udzielone mu przez Radę Zakładową upoważnienie, polegające na roli łącznika, postanowiło jednak dać mu ochronę prawną poprzez uznanie stanu faktycznego. Przypomnijmy! Władze państwowe wciąż nie uznawały strajku w Stoczni za legalny i jego uczestnikom, a szczególnie Prezydium MKS, w skład którego wszedł Gruszecki, groziły poważne sankcje karne. Rada Zakładowa ZNP PG była praktycznie jedyną instytucją formalną dającą w tej sytuacji osłonę prawną naszemu Koledze.

Jeszcze tego samego dnia łącznicy przekazali żądania pracowników Politechniki zarówno Komisji Rządowej, jak i MKS. Równocześnie obu stronom przekazano propozycję wybrania terenu Politechniki Gdańskiej jako miejsca rokowań. Jak wiadomo, strony nie skorzystały z tej propozycji. Następnego dnia, **23 sierpnia**, była wolna sobota; Politechnika nie pracowała, a ja byłem zaproszony do Domu Nauczyciela na spotkanie aktyw ZNP. Spotkanie było zorganizowane dla kolegów z pionu oświaty, gdyż przyjechał wiceminister oświaty i wychowania, wiceprezes Zarządu Głównego ZNP i parę oficjalnych osób z województwa. Można krótko powiedzieć, że zebranie było „w starym stylu”. Dodam jedynie, że wszelkimi sposobami starano się mnie „spławić”, uzasadniając, że zostałem zaproszony przez pomyłkę. Naprawdę zaś chodziło o to, że w uczelniach już wrzało, a tymczasem „oświata” miała jeszcze wakacje.

25 sierpnia, w poniedziałek, spotkaliśmy się w nastroju pełnym optymizmu. Nastąpił przełom. Do Gdańska przyjechał wicepremier Jagielski, a mediacyjna działalność Jerzego Kołodziejskiego, wojewody gdańskiego i równocześnie profesora Politechniki, doprowadziła do podjęcia oficjalnych rozmów z MKS.

Tak więc plenum Rady Zakładowej ZNP PG z udziałem Rektora, prof. Mariana Cichego, oraz zaproszonych do mediacyjnej komisji autorytetów – profesorów Jerzego Doerffera, Kazimierza Kopeckiego, Tadeusza Lipskiego, Roberta Szewalskiego i Kazimierza Grelaka (ilu z nich już nie ma wśród nas!) – miało charakter niemal uroczysty. Zebrani wysłuchali opinii zaproszonych gości, uznając, że mediacja jest już niepotrzebna. Z uznaniem przyjęto deklarację tych spośród zaproszonych gości, którzy wyrazili gotowość, gdyby taka potrzeba zaistniała, służenia swoją wiedzą i doświadczeniem w toczących się roz-

stawach pomiędzy Komisją Rządową a MKS. Następnie wysłuchano informacji delegata RZ ZNP PG do MKS o przebiegu rozmów w Stoczni Gdańskiej. Na koniec, po dyskusji zdecydowano, że w terminie do 15 października odbędą się ponownie wybory do wszystkich instancji związkowych Politechniki Gdańskiej.

Wtorek 26 sierpnia był dla mnie trudnym dniem. Stałem przed problemem rozbięcia prezydium Rady Zakładowej, co musiałoby doprowadzić do rozbięcia Rady Zakładowej, a w efekcie całego ZNP w PG. Analizując sprawę na chłodno, jestem pewien, że nietypowa działalność naszej Rady „psuła” w opinii niektórych osób model „skompromitowanego związku”, a przez to utrudniała formowanie idei nowych, samorządnych i niezależnych związków zawodowych. W każdym razie po niezwykle wyczerpującej dyskusji udało się zachować formalną jedność organizacji.

Tej nocy nie mogłem spać, analizując dotychczasowe działania. W szczególności wracałem do dyskusji o uznaniu działalności kolegi Gruszeckiego. W czasie tej dyskusji na sali obrad obecna była bardzo sugestywnie oddziałująca grupa osób, nie będących członkami Rady, która wywierała presję w kierunku przekazania Gruszeckiemu pełnego pełnomocnictwa w sensie reprezentowania Rady. Był on jednak bliżej nieznanym w środowisku, wybrany na wiecu w sposób przypadkowy. Przekazywanie mu pełnego prawa głosu w imieniu całej załogi, bez konsultacji z tą załogą, wydawało się, w tym jakże dramatycznym okresie, nieuzasadnione. Na zebraniu twardo zwracałem kolegom na to uwagę. Mieli jednak o to do mnie pretensje, dlatego postanowiłem poddać się następnego dnia pod osąd plenum Rady Zakładowej.

Zebranie w środę, 27 sierpnia, okazało się dla mnie jednym z najbardziej dramatycznych. Na początku przekazana została decyzja podjęta poprzedniego dnia przez prezydium.

„Do dnia przeprowadzenia nowych wyborów związkowych w PG obecne prezydium sprawować będzie wszelkie obowiązki formalne, natomiast wszelkie decyzje podejmowane będą w uzgodnieniu i za akceptacją rozszerzonego plenum Rady Zakładowej”.

Następnie złożyłem dość dramatyczne oświadczenie i odbyła się wyczerpująca dla mnie dyskusja na temat mojej osobistej roli w działalności Związku.

Jak podano następnie w wydanym komunikacie nr 133: „...w odpowiedzi na pytanie przewodniczącego plenum, wiceprzewodnika Rady Zakładowej ZNP, kol. A. Nowakowskiego, zebrani zdecydowaną większością głosów (przy dwóch wstrzymujących) wyrazili mu votum zaufania z tytułu dotychczasowej działalności i upoważnili do przewodnictwa zebraniu”.

Następnie wybrano dwóch przedstawicieli, którzy udali się do przebywającego w Politechnice Gdańskiej Wiceministra Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki, byłego Rektora Politechniki Gdańskiej, prof. Tomasza Biernackiego, w celu przedstawienia mu wniosków i postulatów pracowników Politech-

niki Gdańskiej, które wpłynęły zarówno w czasie związkowych zebrań sprawozdawczo-wyborczych, jak również w czasie ostatnich kilkunastu dni.

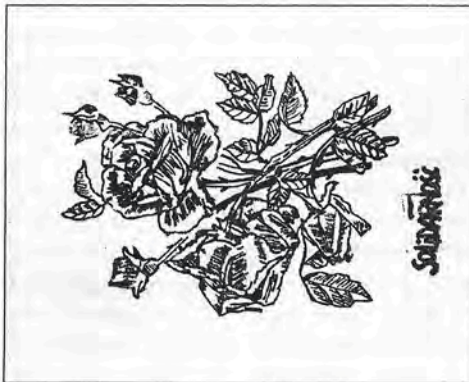
O godz. 12.00 do Klubu Pracowników PG, gdzie odbywało się rozszerzone plenum Rady Zakładowej, przybyli Wiceminister, Rektor PG oraz inni członkowie kierownictwa uczelni. Po kilkunastu minutach okazało się, że sala Klubu oraz sala 154, w której zainstalowano głośniki transmitujące przebieg obrad rozszerzonego plenum, nie były w stanie pomieścić wszystkich uczestników. Padały okrzyki i głosy niezadowolenia, które w konsekwencji uniemożliwiły prowadzenie zebrania. Atmosfera była napięta, gdyż ktoś puścił plotkę, że Minister, Rektor i Rada chcą wyrzucić z Politechniki Gruszeckiego. Było to wierutną bzdurą, tym niemniej spowodowało stan wrzenia załogi i zmobilizowało około tysiąca ludzi do przyścia pod małą salę Klubu, gdzie odbywało się plenum. Oczywiście, nikt nie był

przygotowany do przyjęcia takiego tłumu. W Klubie mogło się pomieścić najwyżej 200 osób, następnie 200 weszło do radiofonizowanej sali 154 (jest tam teraz laboratorium komputerowe), pozostali, nie wiedząc, co się dzieje, byli coraz bardziej rozjątrzeni. Znaleźli się i tacy, którzy wołali: „Dajcie mi łom! Dajcie mi młot! Trzeba wyważyć te drzwi!” A drzwi były otwarte, tylko zatarasował je tłum. Sytuację udało się opanować po obietnicy radiofonizowania auli Gmachu Głównego, dokąd udała się następnie większość zebranych. Opis kursywą, to fragment protokołu z tego posiedzenia:

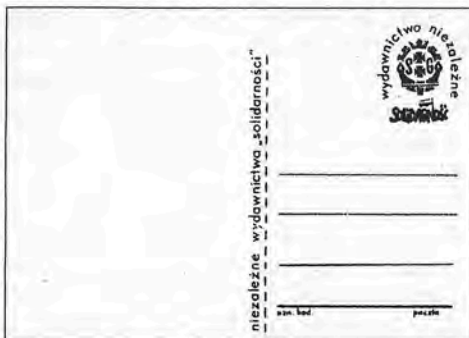
„Po 30 minutach przerwy przewidzianej na założenie aparatury nagłaśniającej PG wznowiono w sali Klubu obrady rozszerzonego plenum Rady Zakładowej ZNP. Zebrani przystąpili do dyskusji i omawiania zgłoszonych postulatów. Wniosek o wprowadzenie większej autonomii uczelni i wybieralności władz wzbudził dużą dyskusję. Wszyscy zebrani wyrażali pogląd, że wniosek jest słuszny. Wymaga wnikli-

wej dyskusji i zastanowienia nad sposobem jego realizacji.

W sprawie zapewnienia bezpieczeństwa pracowników PG uczestniczących aktywnie w ostatnich wydarzeniach, zapewniono zebranych o pełnym bezpieczeństwie. Dyskutowana była sprawa generalnej reformy systemu zarządzania wyższymi uczelniami, w tym systemu płac. Jednocześnie w Auli PG odłączeniem aparatury nagłaśniającej rozpoczęło się spontanicznie zwołane zebranie pracowników pod hasłem: „Tworzymy nowe związki zawodowe”. Po kilkudziesięciu minutach zebrani w auli uznali jednak za właściwe i celowe zaproszenie do dyskusji członków rozszerzonego plenum Rady Zakładowej. W tej sytuacji przerwano obrady w Klubie PG, aby udać się do auli. Na życzenie zebranych, członkowie dotychczasowego Prezydium Rady Zakładowej złożyli informacje na temat działania organizacji związkowej w czasie ostatnich dni. Zebrani w auli PG pracownicy, po krótkiej dyskusji, powszechnymi oklaskami potwierdzili właściwość podejmowanych dotychczas przez rozszerzone plenum Rady Zakładowej działań i decyzji. Z aprobatą przyjęto również wniosek zebranych o przystąpieniu organizacji związkowej PG do prac w Komisji Porozumiewawczej Na-



Karta pocztowa „Solidarność”
ze zbiorów J. Poćwiardowskiej



ukowego Środowiska Trójmiasta (KPNST), wybierając jako delegatów kolegów Dominiaka i Stolarskiego. Prezydium Rady Zakładowej zobowiązało się przedłożyć ten wniosek do zatwierdzenia rozszerzonemu plenum Rady Zakładowej”.

Tego samego dnia spotkaliśmy się - wiceprezesa RZ ZNP PG, Edmund Brzoska i ja, z wiceprezesem Zarządu Głównego, przekazując pełną informację o sytuacji w Politechnice. Oczekiwaliśmy natychmiastowej reakcji, tymczasem proponowane przez Zarząd Główny działania były spóźnione lub chybione i miały charakter typowo zachowawczy.

W czwartek nic się na Politechnice nie działo. Można powiedzieć, że ludzie odpoczywali po burzliwej środzie i z niecierpliwością czekali na postęp w oficjalnych rokowaniach. W piątek, **29 sierpnia**, odbyło się następne zebranie plenarne Rady Zakładowej. Zatwierdzono na nim delegatów do KPNST, wybierając dodatkowo Rosochowicza. Przeanalizowano działalność nadrzędnych organów związku i uznając, że brak jest rzeczywistej reakcji na nasze problemy, jak i sytuację w kraju, podjęto jednomyślnie następującą uchwałę:

„Ze względu na brak zaufania, wszystkie decyzje Zarządu Głównego ZNP, wydawane w chwili obecnej bez zgody Rady Zakładowej ZNP PG, nie obowiązują jej i nie mogą być podejmowane w jej imieniu.”

W sobotę, **30 sierpnia**, poszliśmy z Edmundem Brzoską, aby zakomunikować tę decyzję na zebraniu prezesów rad zakładowych wyższych uczelni i instytutów naukowych Trójmiasta. Na zebranie przybyli wiceprezes Zarządu Głównego ZNP i prezes Krajowej Sekcji Nauki. Niestety, nie przywieźli z Warszawy nic adekwatnego do sytuacji, natomiast dużo usłyszeli od nas. „Lekcja” ta nie na wiele się jednak przydała i zachowawcze stanowisko ZG zostało przełamane dopiero na XIII Zjeździe ZNP w październiku 1980. Aby być sprawiedliwym należy dodać, że to stanowisko Krajowej Sekcji Nauki wpłynęło pozytywnie na przebieg obrad tego Zjazdu.

Tego samego dnia odbyło się następne plenum naszej Rady. Zdaliśmy na nim sprawozdanie z ранego spotkania. Zdali też relacje koledzy uczestniczący w spotkaniach KPNST. M.in. poinformowali, że przedstawiciele uczelni i instytutów uznają celowość spotkań jedynie w celu wymiany informacji o sytuacji w poszczególnych placówkach naukowych. Jak się później okazało, ani KPNST, ani zebranie prezesów rad zakładowych, ani tym bardziej środowiskowa Sekcja Nauki, która zebrała się dopiero w październiku, chyba tylko po to, aby się rozpaść, nie doprowadziły do efektywnej integracji środowiska naukowego.

Tymczasem nadeszła niedziela, **31 sierpnia**. Komisja Rządowa podpisała z MKS porozumienie kończące strajk. Ogromna fala entuzjazmu, radości i ulgi ogarnęła całe Trójmiasto, a i chyba całe polskie społeczeństwo.

Wracając wspomnieniami do tego momentu, warto pamiętać o wkładzie Politechniki Gdańskiej, instytucji, która działała w kierunku porozumienia. Jej wychowankowie i pracownicy siedzieli po obu stronach najważniejszego wówczas w Polsce stołu. Dokument oficjalny porozumienia między innymi podpisali z jednej strony Jerzy Kołodziejcki, wojewoda gdański i profesor Wydziału Architektury PG, którego z żalem żegnaliśmy w lipcu tego roku na Cmentarzu Srebrzysko, z drugiej strony Wojciech Gruszecki, wówczas adiunkt na Wydziale Chemicznym PG. Był tam też Andrzej Gwiazda, kiedyś pracownik Wydziału Elektroniki.

W poniedziałek, **1 września 1980 r.**, atmosfera na rozszerzonym plenum Rady Zakładowej ZNP PG była rodzinna. Dyskutowano o sprawach organizacyjnych ruchu związkowego

wobec podpisania porozumienia przez Komisję Rządową i Międzyzakładowy Komitet Strajkowy. Uzgodniono, że wszelkie kroki organizacyjne mogą być podejmowane dopiero po poinformowaniu ogółu pracowników o zasadach statutowych, zarówno dotychczasowych, jak i nowo powoływanych związków. Opinie wszystkich pracowników PG powinny być zebrane w formie ankiety lub plebiscytu. Około godz. 12.00 tego samego dnia odbyło się spotkanie z Gruszeckim, któremu podziękowano za dotychczasową pracę w Prezydium MKS oraz zaproszono na spotkanie z pracownikami PG w auli w dniu 2.09.80 r. Postanowiono również wystosować do Komisji Rządowej oraz Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego jednobrzmiące listy następującej treści:

„Z niesłabnącą uwagą i zaangażowaniem uczestniczyliśmy w wydarzeniach ostatnich tygodni. Daliśmy temu wyraz w naszych działaniach, m.in. w apelu z dnia 21 sierpnia 1980 r., wzywającym do podjęcia rozmów między Komisją Rządową a Międzyzakładowym Komitetem Strajkowym. Teraz, gdy rozmowy doprowadziły do porozumienia i wypracowania wspólnego stanowiska, pragniemy wyrazić swą satysfakcję i głębokie przekonanie o słuszności wybranej drogi i uważamy, że rozwiązanie takie służyć będzie najlepiej interesom i rozwojowi naszej Ojczyzny. W imieniu załogi gorąco dziękujemy wszystkim, którzy przyczynili się do zawarcia porozumienia, za wykazany patriotyzm, realizm i ogromny wkład pracy. Rada Zakładowa ZNP PG”

Następne dni, to głównie działania zmierzające do powstania „Solidarności” w PG. Jest to już jednak inny temat.

Wiele osób, które przeszły szkołę działalności społecznej w „starych” związkach zawodowych, potwierdziło następnie swe umiejętności, pełniąc wiele odpowiedzialnych funkcji społecznych w nowych związkach, jak i w życiu Politechniki, w roli rektorów, dziekanów, czy „tylko” kierowników instytutów, katedr czy zespołów badawczych. Wszystkim tym osobom dziękuję teraz za wspólne działania, które możemy wspominać z podniesionym czołem.

Antoni Nowakowski
Wydział Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki

Solidarnie!

Nasz jest ten dzień
A jutro jest nieznane
Lecz żyjmy tak
Jak gdyby nasz był wiek.

Pod wolny kraj
Spokojnie kładź fundament
A jeśli ktoś
Nasz polski dom zapali

To każdy z nas
Gotowy musi być

Bo lepiej byśmy wolni umierali
Niż mamy klęcząc na kolanach żyć.

Solidarność! Nasz jest ten dzień.
Zjednoczmy się, bo jeden jest nasz cel.

Sierpień 1980-84

Ulotka z 1984 r. ze zbiorów J. Poćwiaradowskiej

Jeden z okrętowców Politechniki Gdańskiej

W dniu 11.02.2000 r. prof. dr inż. Władysław Wojnowski, wieloletni pracownik Politechniki Gdańskiej, otrzymał za osiągnięcia naukowe, dydaktyczne i organizacyjne, zaszczytną godność Doktora Honoris Causa Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni.

Prof. dr inż. Władysław Wojnowski urodził się 28 stycznia 1922 r. w m. Lida, w dawnym województwie nowogródzkim II Rzeczypospolitej Polskiej. W tej samej miejscowości, do wybuchu wojny ukończył szkołę powszechną, gimnazjum oraz pierwszą klasę liceum matematyczno-fizycznego. Szkołę średnią ukończył w 1940 r. W okresie II wojny światowej pracował najpierw jako nauczyciel, a po zamknięciu szkoły z polskim językiem nauczania w 1942 r. był buchalterem w firmie handlowej w Lidzie. Walczył w szeregach Armii Krajowej. Internowany przez władze ówczesnego Związku Radzieckiego i wywieziony do Kaługi, wrócił do Polski w 1946 r. – na podstawie umowy o repatriacji.

W 1947 r. wstąpił w związek małżeński z Barbarą Przyliak, został ojcem trojga dzieci.

W latach 1946-52 studiował na Politechnice Gdańskiej, gdzie uzyskał tytuł zawodowy *mgra inż. budowy okrętów o specjalności budowa maszyn okrętowych*.

W 1962 r. obronił pracę doktorską w Wojskowej Akademii Technicznej nt. *Analiza możliwości zmniejszenia oporów okrętów szybkich przez smarowanie dna spalinami* i uzyskał stopień naukowy doktora nauk technicznych.

W 1966 r. został mianowany docentem, a w 1973 r. uzyskał tytuł naukowy profesora nadzwyczajnego, nadany przez Radę Państwa RP.

W latach 1946-54 pracował w Oficerskiej Szkole Marynarki Wojennej w Gdyni jako wykładowca, starszy wykładowca i kierownik Cyklu Matematyczno-Fizycznego. W 1954 r. za ukrywanie przynależności do ZWZ i AK został aresztowany i zwolniony z OSMW.

W naszej narodowej mentalności zawsze dominował kult bohaterstwa wojennego. Kiedyś może to i wystarczało. Jednakże nie w drugiej połowie XX wieku. Na przykład, ok. 1965 r., w ćwiczeniach taktycznych Marynarki Wojennej przyjmowano, że w ataku 18 kutrów torpedowych (skutecznym) na pojedynczy niszczyciel, zostanie zatopionych (rozstrzelanych przez obronę Ni) przeszło 2/3 z nich. Miało zginąć powyżej 300 marynarzy. Bohaterstwem i poświęceniem łatano brak nowoczesnej techniki. (Nasz były sojusznik, ZSRR, dozował nam dostęp do najważniejszych osiągnięć technicznych, m.in. marynarki wojennej. Bywały okresy karencyjne nawet 10-15-letnie, a niektórych w ogóle nie udostępniano.) Setki matek miały opłakiwać swoich synów – BOHATERÓW, tylko z powodu jednego ataku na pojedynczy Ni. A przecież to tylko malutki wycinek z ogromu. Jednym z imperatywów powinna być minimalizacja własnych strat ludzkich – podobnie jak w lotnictwie. Bohaterstwo jest ważne, ale w dobie obecnej wygrywa nowoczesna technika. Nikt nam za darmo jej nie da. Musimy sami, na



Prof. Władysław Wojnowski podczas uroczystości nadania mu przez Senat Akademii Marynarki Wojennej godności Doktora Honoris Causa tej Uczelni (fot. H. Błaszkiwicz)

W latach 1953-62 był pracownikiem Zakładu Siłowni Okrętowych Politechniki Gdańskiej jako konstruktor, starszy konstruktor, główny konstruktor oraz główny specjalista. Przez dwa lata był starszym konstruktorem w Stoczni Mar.Woj., a przez wiele lat był dodatkowo zatrudniony w Biurze Projektów i Studiów Taboru Rzecznego.

Od 1958 r. ponownie rozpoczął pracę w Wyższej Szkole Marynarki Wojennej (WSMW) w Gdyni, najpierw jako pracownik cywilny, a od 1962 r. jako żołnierz zawodowy. Zajmował kolejno stanowiska: kierownika Zespołu Ciepłego Katedry

Siłowni Okrętowych, szefa Wydziału Naukowo-Badawczego WSMW, szefa Katedry Siłowni Okrętowych, komendanta Instytutu Konstrukcji i Napędów Okrętów i jednocześnie przez przeszło 14 lat komendanta (dziekana) Wydziału Mechaniczno-Elektrycznego. W 1983 r., ze względów zdrowotnych, przestał pracować w WSMW, a jako żołnierz zawodowy odszedł do rezerwy w stopniu komandora. W 1984 r. został zatrudniony w Katedrze Siłowni Okrętowych Politechniki Gdańskiej na stanowisku profesora, gdzie pełnił funkcję kierownika tej Katedry, a w 1992 r. odszedł na emeryturę.

Jest autorem 5 monografii, 42 artykułów, ponad 40 referatów i wielu opracowań konstrukcyjnych.

Za swoje osiągnięcia był wielokrotnie wyróżniany nagrodami państwowymi, PAN i MON, a także odznaczeniami państwowymi i resortowymi, w tym Krzyżem Oficerskim i Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Złotym Medalem „Za Zasługi dla Obronności Kraju”, Medalem Edukacji Narodowej.

Poniżej jest przedstawione wystąpienie prof. dra inż. W. Wojnowskiego podczas uroczystości nadania mu przez Senat Akademii Mar.Woj. godności Doktora Honoris Causa tej Uczelni.

Jerzy Girtler

Wydział Oceanotechniki i Okrętownictwa

miarę naszych możliwości, ją opracowywać i wdrażać. A takie możliwości zawsze i w każdych warunkach w jakimś stopniu istnieją. Posiadamy wielu zdolnych i wykształconych ludzi, pragnących coś w życiu zdziałać. Trzeba tylko ich zauważyć, wciągnąć do konkretnej pracy twórczej, a staną się romantykami jej realizacji.

Tak się złożyło, że najważniejsze moje osiągnięcia przypadają na okres, gdy kierowałem kilkoma zespołami naukowo-badawczymi w Wyższej Szkole Mar.Woj. (WSMW) – lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte. Trzy z nich, to dość liczne zespoły oficerów pionu technicznego Mar.Woj. oraz inżynierów i techników cywilnych – łącznie w szczytach rozwoju do około 120 osób. Oni to głównie pracowali i tworzyli, a wyróżnienie otrzymuję ja. Gdybym nie wspomniał o wkładzie pracy osób najważniejszych, najbardziej zaangażowanych i wnoszących wiele inicjatywy oraz koncepcji, uważam, że przywłaszczyłbym sobie ich dorobek. Muszę to wyraźnie podkreślić.

Ja przede wszystkim byłem nauczycielem. Nauczałem młodzież przez 52 lata, z czteroletnią przerwą w latach wojny. Najpierw, 2 lata w wiejskiej szkole powszechnej na Kresach Wschodnich w byłym województwie nowogrodzkim – dopóki jeszcze można było nauczać w języku polskim. Po wojnie, w OSMW, WSMW, AMW, przepracowałem łącznie 35 lat, a w Zakładzie i Katedrze Siłowni Okrętowych PG – 16 lat, w tym 5 lat w obu Uczelniach równocześnie. Kilka lat pracowałem również w okrętowych biurach konstrukcyjnych – w niepełnym wymiarze etatu (Stocznia Mar. Woj. oraz Biuro Projektów i Studiów „NAVICENTRUM” we Wrocławiu). Pracując w Zakładzie Siłowni Okrętowych PG, obroniłem w 1962 r. pracę doktorską pt. „Analiza możliwości zmniejszenia oporów okrętów szybkich przez ‘smarowanie’ dna spalinami”, która wносиła jakiś wkład do rozwoju okrętownictwa. Badania przeprowadzone na okręcie potwierdziły moje hipotezy, że poprzez wprowadzenie pod dno spalin z silników na szybkich okrętach półślizgowych (małe zanurzenie, płaskie dno), można uzyskać nawet mniejsze przeciwcisnienie spalin niż podczas odlotu do atmosfery, tzn. że zasysanie podwodne spalin może poprawić nieco ich sprawność i moc. Po wtóre, wytworzenie zwartej otuliny gazowej pod częścią dna okrętu zmniejszy opór tarcia o wodę, pod warunkiem, że spaliny nie dostaną się w pole pracy śrub napędu jednostki, co zniwelowałoby wyżej wymienione oba dodatnie efekty. I wreszcie radykalne obniżenie pola cieplnego okrętu. Efekty tych badań zostały wykorzystane z powodzeniem przez konstruktorów Wydziału Budowy Okrętów PG przy opracowaniu i budowie pierwszego polskiego wodolotu morskiego „ZRYW 1”. W dalszej części mego wystąpienia ograniczę się tylko do etapu pracy w WSMW – Uczelni dzisiejszej uroczystości.

Po doktoracie, w 1962 r., zostałem powołany do zawodowej służby wojskowej i wkrótce wyznaczony na szefa Wydziału Naukowo-Badawczego WSMW. Moim zadaniem było spowodowanie podnoszenia kwalifikacji naukowych nauczycieli akademickich – głównie doktoratów, i w ogóle prestiżu naukowego Uczelni. Młoda Wyższa Uczelnia pilnie potrzebowała dorobku naukowego. Uważałem, że powinna podjąć nowoczesną, poważną tematykę z dziedziny techniki morskiej, niosącą w sobie rozwój naukowy jej pracowników. Zaproponowałem dla Wydziału Technicznego WSMW „Opracowanie koncepcji, projektu oraz budowy układów kompleksowej automatyzacji siłowni okrętowych oraz niektórych instalacji okrętowych w aspekcie bezzałogowych okrętów telesterowanych”. Był to w owym czasie temat zupełnie nowatorski. Uzasadniałem, że okręty bezzałogowe, wyprzedzając szyk bojowy, ściągną na siebie ogień przeciwnika, a wyposażone w zwiększone pola fizyczne ściągną również samonaprowadzające się rakiety. To da zmniejszenie strat ludzkich na innych okrętach – załogowych. Poza tym, że takie okręty lepiej i do końca będą realizować postawione zadania, bo załoga podczas walki ulega stresom, a w przypadku poważnego uszkodzenia okrętu myśli o ratowaniu się, a nie o dalszej walce. Rada Naukowa WSMW (Senat) temat zaakceptowała. Podobnie Dowództwo Mar. Woj., a nawet odpowiedni Oddział Sztabu Generalnego. Pieniądzy jednak żadnych nie przyznano. Kołatałem do różnych instytucji naukowo-technicznych, m.in. NOT-u. Bezskutecznie.

W 1963 r. z katedr WT oddelegowano 4 oficerów dla realizacji tematu. Grupę tę nazwaliśmy Pracownią Automatyzacji Siłowni Okrętowych. Przez prawie 4 lata pracowaliśmy, nie mając żadnej pomocy finansowej. Wreszcie, przy pomocy płk. Monarskiego („Wilniuka”), delegata MON-u przy Komitecie Nauki i Techniki (KNiT), udało się uzyskać zainteresowanie tej

instytucji i Polskiej Akademii Nauk (PAN). Komitet Nauki i Techniki przyznał na lata 1967-70 sześć milionów złotych. Nie były to wielkie pieniądze. Wówczas pensja miesięczna pułkownika WP wynosiła ok. 10-15 tys. zł. Wymieniam nazwiska osób, bo to tylko dzięki nim praca została zrealizowana. Koordynatorem i nadzorującym realizację tematu wyznaczono Zakład Systemów Automatyki Kompleksowej PAN w Gliwicach. Nie tutaj mówić o początkowych trudnościach i wręcz przeciwnościach. Był czas, że zespół został rozwiązany – mimo że prace były już zaawansowane. Przy pomocy wspomnianego wyżej „Wilniuka” spowodowałem w Warszawie ostrą interwencję KNiT-u i PAN-u u Ministra Obrony Narodowej Marszałka M. Spychalskiego. Zespół został ponownie odtworzony, choć zyskałem potężnych wrogów. Dzisiaj – mogę do tego się przyznać. Oponentów i przeciwników nie brakowało, ale można też było znaleźć ludzi rozsądnych i sprzyjających, jeśli zamierzone działanie miało sens, było konkretne, realnie możliwe oraz wносиło postęp.

Postawiłem na młodych, poruczników i początkujących kapitanów Mar. Woj., również zdolniejszych absolwentów Wydziału Technicznego WSMW. Predyspozycje tych ostatnich do pracy inżyniersko-twórczej znałem, bo niektórych niedawno jeszcze uczyłem. Uważałem, że intuicja oraz inżynierska wyobraźnia są podstawowym czynnikiem niezbędnym dla postępu technicznego. Takich szukałem. Jeśli do tego dojdzie zaangażowanie osobiste, nie tylko będą koncepcje, ale i konkretna realizacja zamierzeń. Najważniejsze było – zaangażować do tej pracy, by uwierzyli w jej sens, wagę i aspekt humanitarny. Wzbudzić ich zaangażowanie. Przekonani do celu, po prostu traktowali ją jako swoje „hobby”. Pracowali wspaniale, prześcigając się w pomysłowości rozwiązań. Nie wyolbrzymiali ryzyka niepowodzenia, nie załamywali się chwilowymi niepowodzeniami czy trudnościami, a pracę w zespole uznawali za szczególnie wyróżnienie. Wzajemnie sobie pomagali. Nie było zawiści. W ogóle udało się stworzyć wyjątkowo udany i zgrany zespół ludzi. Miałem dużo szczęścia, że na takich natrafiłem.

Pozwólcie, że pominię cały ogrom pracy, zanim doszliśmy do budowy układów. Dyskusje, różne koncepcje rozwiązań, przybliżone równania różniczkowe opisujące dynamikę pracy silników i całych zespołów napędu okrętu, oraz badania modelowe na elektronicznej maszynie analogowej, a później cyfrowej. Nawet przebudowaliśmy uczelnianą obliczeniową maszynę cyfrową „Odra 1013”, tak aby można było symulować procesy z uwzględnieniem czasu rzeczywistego. W dalszej części wystąpienia ograniczać się będę jedynie do efektów końcowych pracy, tzn. wykonanych układów automatyki okrętowej. Ograniczony czas mego wystąpienia nie pozwala na rozwinięcie tematu.

Początkowo wiodącym konstruktorem był kpt. mar. mgr inż. Maciej Jungst. Zostały zaprojektowane prototypowe układy, podzespoły i elementy automatyki – także regulatory. Wszystko w technice pneumatycznej, tak część logiczna, jak i wykonawcza (siłowa). Niestety, po wykonaniu okazało się, że tylko część siłowa działa poprawnie. Część logiczna, głównie regulatory, nie spełniły oczekiwań. Pierwsze podejście było nieudane. Następnie – kpt. mar. mgr inż. S. Ciesielski oraz kpt. mar. mgr inż. E. Zembrzusi zaprojektowali rozwiązanie części logicznej w technice przekąźnikowej. Część siłowa (wykonawcza) pozostała z poprzedniego rozwiązania, tzn. w technice pneumatycznej. Cdn.

*Władysław Wojnowski
Wydział Oceanotechniki i Okrętownictwa*

PRAKTYKI OKRĘTOWE STUDENTA PG

Jak już o tym pisałem, w październiku 1947 roku, a więc nieco ponad dwa lata po zakończeniu wojny, rozpocząłem pracę w Stoczni Gdyńskiej (dopiero później nazwanej Stocznia imienia Komuny Paryskiej), jako pracownik fizyczny – praktykant. Zamieszkałem u rodziny w Janowie Pomorskim w pobliżu Gdyni. Dojeżdżałem do pracy pociągiem parowym, bo podmiejskiej elektrycznej kolei jeszcze wówczas nie było.

Codziennie rano, parę minut przed godziną siódmą, przekraczałem główną bramę Stoczni i idąc prosto zbliżałem się do basenu portowego, przy którym skręcałem w lewo. Z prawej strony basenu, w samym narożu, sterczał zatopiony dok pływający wraz z pontonem, na którym znajdował się mały okręt wojenny o nazwie „Tierpitz”. Dwukrotne próby podniesienia tego doku skończyły się niepowodzeniem. Dopiero za trzecim razem się udało.

Idąc dalej wzdłuż basenu, mijając po lewej stronie tlenownię, w której jeden z jej pracowników pokazał mi płynny tlen w jakimś naczyniu. W pobliżu była hala silnikowa, gdzie pracowałem. Mijając halę silnikową, dochodziło się do następnego basenu, przy którym stało kilka segmentów okrętów podwodnych, budowanych tu w czasie wojny. Bodajże w tym basenie znajdował się olbrzymi poniemiecki dok pływający o długości około 300 m, który wkrótce miał być zabrany do Związku Radzieckiego, jako zdobycz wojenna. Rzeczywiście niewiele minęło czasu, gdy holowniki wyprowadziły ten dok w morze, lecz w dalszym holowaniu przeszkodził im silny sztorm, który osadził dok na mieliźnie. Nie pamiętam już jego dalszych losów.

Przy jednym z pobliskich nabrzeży stoczniowych stał znany przed wojną żaglowiec „Zawisza Czarny”. Kiedyś wybrałem się tam, aby go dokładniej obejrzeć. Stał na uboczu, zupełnie opuszczony i bezpański. Zajrzałem do wnętrza. Było ciemne, ponure i puste.

W tym czasie główne wejście do gdyńskiego portu blokował umyślnie zatopiony przez wojska niemieckie potężny pancernik „Gneisenau”, a ruch statków umożliwiała poszerzona wyrwa w falochronie portowym. Widziałem zdemontowane lufy dział z tego pancernika i zmierzyłem ich średnicę wewnętrzną. Wynosiła 285 mm. W niedługim czasie pancernik ten usunęło Polskie Ratownictwo Okrętowe.

W pracy brałem udział, pod nadzorem fachowych robotników, w remontach kilkunastu statków, w tym okrętu podwodnego „Żbik”, niszczyciela ORP „Błyskawica” i parowca „Rataj”. Remontowałem najczęściej urządzenia pomocnicze, takie jak sprężarki i pompy, oraz niektóre elementy silników głównych parowych: urządzenia rozrządu pary, dławice trzonów tłokowych, łożyska nośne i inne.

Najwięcej czasu zajmowało mi tak zwane wówczas szabrowanie, to znaczy dokładne pasowanie dwóch współpracujących ze sobą powierzchni łożysk, prowadnic, podkładek itp. Polegało ono na tym, że jedną z powierzchni smarowało się specjalnym tuszem i przesuwało po drugiej, a wówczas wszelkie wzajemne niedokładności styku uwidaczniały się w postaci plam, które następnie skrobało się specjalnym narzędziem. Czynność się powtórzała, dopóki pasowana powierzchnia nie została pokryta w około 80% drobnymi, równomiernie rozłożonymi plamkami. Było to bardzo pracochłonne i monotonne zajęcie.

Część prac wykonywano się na warsztacie w hali stoczniowej, a pozostałe na statkach, jak na przykład demontaż i ponowny montaż remontowanych urządzeń.

W czasie tych prac zapoznałem się z wieloma urządzeniami wyposażenia siłowni parowych, z ich budową i zasadą działania.

Duże wrażenie wywarł na mnie udział w próbach w morzu ORP „Błyskawicy”. Pierwszy raz w życiu widziałem pracujące maszyny okrętowe, manewrowanie okrętu w basenach portowych i oddalające się światła portu. Czulem kołysanie statku i drgania kadłuba spowodowane pracą maszyn.

Z pracą w Stoczni Gdyńskiej kojarzy mi się przydział paczek UNRRA (Organizacji Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy i Odbudowy). Każdy pracownik Stoczni otrzymał taką paczkę. Zawierała ona konserwy mięsne, suchary, słodycze, pastylki do odkażania wody i inne skarby. Niektóre paczki zawierały także amerykańskie papierosy, a pozostałe coś innego w zamian. Wszyscy palacze zaintereso-

wani byli paczkami z papierosami. Próbowali je jakoś zidentyfikować po napisach, ale bezskutecznie. Później okazało się, że na dwadzieścia pięć paczek tylko jedna była z papierosami. Przypadła ona mnie, wówczas jeszcze niepalącemu. Cały karton papierosów rozdałem rodzinie i zaprzyjaźnionym kolegom z pracy.

W Stoczni Gdyńskiej pracowałem do lipca 1948 roku. Przez cały ten czas prowadziłem dzienniczek z opisem wykonywanych czynności i szkicami części maszyn, który następnie za pośrednictwem Stoczni został przesłany na uczelnię. Odbyta praktyka ułatwiła mi dostanie się na studia i została mi zaliczona jako praktyka studencka. Dzięki temu przez całe studia byłem zwolniony z obowiązku odbywania w okresie letnim miesięcznych praktyk stoczniowych.

Minęły trzy lata, w ciągu których zaliczyłem sobie teoretyczną część studiów inżynierskich, a następnie dostałem skierowanie na półroczną praktykę dyplomową do Stoczni Gdańskiej (nadano jej później imię Lenina).

Praktykę rozpocząłem z miesięcznym opóźnieniem, gdyż – jak już wspominałem – udało mi się załatwić w Stoczni urlop bezpłatny i pojechać na obóz żeglarski. Po powrocie pracowałem jako praktykant w Dziale Głównego Technologa tylko przez dwa tygodnie, w czasie których jedynym moim obowiązkiem było notowanie wszelkich usterek montażowych olbrzymich kotłów parowych firmy „Babcock-Wilcox”. Jednocześnie dowiedziałem się, że wszyscy moi koledzy (z wyjątkiem jednego) przerwali w Stoczni praktykę i podjęli normalną pracę zawodową na różnych stanowiskach. Tak na przykład jeden z nich został kierownikiem rurowni. Wiązało się to ze znacznym wzrostem zarobków: z 300 zł otrzymywanych przez praktykanta do ponad 1000 zł miesięcznie w zależności od zajmowanego etatu. Postanowiłem pójść za ich przykładem.

W tym celu udałem się do Działu Montażu Maszyn, uważając, że tam powinienem mieć nie tylko wyższy zarobek, lecz także i dobrą praktykę.

Kierownik Działu po wysłuchaniu mnie powiedział:

– A co ja będę z panem robił w biurze? Chyba że zgodzi się pan pójść na warsztat?

Zgodziłem się, bo przecież pracę fizyczną w Stoczni już poznałem i się jej nie obawiałem.

Zacząłem więc pracę przy montażu różnych urządzeń na statkach. Moi koledzy, zatrudnieni w różnych biurach stoczniowych, spotykali mnie w zabrudzonym kombinie, z narzędziami i z różnymi częściami maszyn, gdy szedłem na statek lub wracałem do warsztatu. Nie miało to jednak żadnego znaczenia, bo przecież uważano, że praca fizyczna uszlachetnia człowieka. Najbardziej jednak dokuczliwy był okropny hałas wewnątrz budowanego kadłuba. Do łączenia blach poszycia powszechnie stosowano nitowanie. Rozgrzane do czerwoności nity wkładano z jednej strony do wywierconych otworów i przytrzymywano. A z drugiej strony zaklepywano je młotem pneumatycznym. Blaszane poszycie kadłuba przenosiło potworny hałas do wszystkich pomieszczeń wewnętrznych.

Kierownik Działu Montażu Maszyn miał wówczas u siebie w biurze tylko trzech pracowników umysłowych: swojego zastępcę, technika i sekretarkę. Gdy technik poszedł na urlop, kierownik przypomniał sobie, że ma przecież jakiegoś umysłowego na warsztacie. Polecił mi więc pracować w biurze Działu w zastępstwie technika. Awansowałem zatem na pracownika umysłowego i miałem zupełnie inną pracę niż na warsztacie, dużo ciekawszą.

Pod moją opieką były wszystkie rysunki techniczne potrzebne do produkcji, musiałem je kompletować, wymieniać, jeśli wprowadzono jakieś zmiany, oraz wydawać brygadziście. Wystawiałem zlecenia na pobranie z magazynów stoczniowych niezbędnych materiałów i części. Wystawiałem zlecenia dla innych działów Stoczni na prace pomocnicze. Bardzo często chodziłem na statki i robiłem szkice techniczne różnych elementów, które z miejsca były wykonywane przez odpowiedni warsztat i montowane lub wykorzystywane pomocniczo przy montażu właściwych urządzeń. Takich szkiców wykonałem kilkadziesiąt i nie miałem żadnej reklamacji. Podam tu jeden przykład.



Kiedyś po zwodowaniu kadłuba okazało się, że nie zamontowano jakiegoś woru, który powinien znajdować się pod wodą, możliwie nisko. Zapytałem:

— Jak nisko? Centymetr ponad obecnym poziomem wody? Czy jeszcze niżej?

Odpowiedziano mi, że wystarczy centymetr. Ale należy bardzo uważać, aby przy wypalaniu otworu woda nie dostała się do wnętrza kadłuba.

Poszedłem na statek. Wybrałem w przybliżeniu odpowiednie miejsce. Obejrzałem dokładnie nitowania wybranej blachy poszycia, a następnie zidentyfikowałem tę samą blachę i te same nity na zewnątrz statku oraz zmierzyłem w stosunku do nich położenie poziomu wody. Wróciłem do środka i zaznaczyłem na płycie poziom wody. Teraz narysowałem na kadłubie o odpowiedniej średnicy kółko i poleciłem wypalić otwór. Wpadł bardzo dobrze, tak jak było trzeba. Dokładnie centymetr nad poziomem wody.

Pewnego dnia w biurze byłem świadkiem rozmowy kierownika z brygadziście, którzy narzekali na niskie zarobki. Kierownik usiłował ich przekonać, że przecież można się bezpłatnie uczyć, leczyc itp. W pewnej chwili zwrócił się do mnie i zapytał:

— Pan dostawał stypendium na uczelni? Prawda, panie inżynierze?

Odpowiedziałem, że tak. Zapamiętałem to dlatego, że pierwszy raz w życiu zostałem nazwany inżynierem, chociaż jeszcze nie miałem dyplomu.

Kiedyś rozmawiałem z kolegą ze studiów, który pracował w Stoczni Gdynskiej. Dowiedziałem się od niego, że części, których brak dotkliwie odczuwamy, oni mają w nadmiarze. Pochodzili z demontażu pancernika „Gneisenau”. Powiedziałem o tym kierownikowi Działu, a wtedy wysłano samochód i bez żadnych formalności otrzymaliśmy te części, bo były już przeznaczone na złom.

Stocznia bardzo odczuwała brak pracowników z wyższym wykształceniem. Cała działalność i nadzór produkcyjny opierały się wówczas na mistrzach i majstrach, którzy swoje umiejętności zawodowe zdobyli jeszcze przed wojną i w czasie wojny, pracując w stoczniach niemieckich. Mieli za sobą twardą szkołę i dość dobrze dawali sobie radę.

Pamiętam, że uznałem to za duże wyróżnienie i zaufanie do moich umiejętności zawodowych, gdy jeden z mistrzów, idąc na urlop, mnie wyznaczył na swojego zastępcę. W tym czasie na jednym ze statków montowano urządzenie do wyrzucania popiołu za burtę, typu Crompton. Zasadę działania tego urządzenia znałem ze studiów. Posiadało ono kubek, który podniesiony do góry przechylał się, wypijając zawartość do morza. Napęd urządzenia stanowiła długa rura z tłokiem, podłączona do skraplacza parowego. Oglądając to urządzenie stwierdziłem, że u góry jest zbyt mało miejsca na obrót kubka. Wykonałem pomiary, które to potwierdziły, poleciłem więc u góry rurę napędową odchylić od pionu i zamontować ukośnie. Próba działania wypadła pozytywnie. Jednak Komisja Odbioru Statku zakwestionowała to rozwiązanie i kazała zamocować rurę prosto. Gdy to wykonano, kubek nie miał dość miejsca na obrót. W związku z tym znowu zmieniono zamocowanie rury napędowej, wracając do mojego sposobu, co dało mi dużo satysfakcji.

Cała moja działalność w Stoczni Gdańskiej wiązała się z budową i wyposażeniem nowych statków, a mianowicie masowców z napędem parowym typu „Donbas” i „Kuzbas” oraz budowanych dla kraju drobnicowców, takich jak „Warszawa II”.

Pod koniec roku kalendarzowego wystąpiła groźba niewykonania planu produkcyjnego Stoczni. Spędzało to sen z oczu dyrekcji, organizacjom społeczno-politycznym i w ogóle wszystkim tym, którzy mieli coś do powiedzenia lub zrobienia w stoczni. Aby nadrobić zaległości, przymusowo przedłużono czas pracy do godziny dwudziestej (a pracowało się od siódmej rano i we wszystkie soboty roku). Ponadto ściągnięto z południa kraju robotników z hut i kopalni. Nie pamiętam już, czy wszystkie te środki coś pomogły. Mnie udało się uniknąć przedłużenia czasu pracy. Uzasadniłem to koniecznością przygotowywania się do zbliżającego się egzaminu dyplomowego. Argument ten uznano i pozwolono mi kończyć pracę o normalnej godzinie.

W czasie mojego, nie tak przecież długiego, zatrudnienia w Dziale Montażu Maszyn liczebność obsady jego biura wzrosła dwukrotnie, z czterech do ośmiu pracowników.

Kierownik z mojej pracy był z pewnością zadowolony, bo gdy się zwalniałem, chcąc dalej studiować na kursie magisterskim, zaproponował mi podniesienie wynagrodzenia o dwie grupy, jeżeli zgodzę się zostać.

W Stoczni Gdańskiej przepracowałem około pół roku, zdobywając duże inżynierskie doświadczenie, znacznie lepsze, niż byłoby to możliwe podczas zwykłej studenckiej praktyki.

Jednym z przywilejów studentów Wydziału Budowy Okrętów były praktyki „pływające” na statkach. Możliwość odbycia rejsu zagranicznego, zwiedzenia kawałka świata, kupna egzotycznych upominków itp. była często istotnym motywem wyboru tego kierunku studiów. Niestety, jacyś nasi poprzednicy nie wrócili z takiego rejsu, wybierając wolność w krajach zachodnich, toteż praktyki „pływające” zawieszono i nikt z nas nawet o nich nie marzył. Dziekanowi udało się jednak załatwić dla nas miesiąc pływania na motorowcu „Narew”, należącym do Żegluga Gdańskiej i zatrudnionym na linii krajowej Gdynia - Ustka - Gdynia.

Praktykę tę przyznano nam trzem: Jasiowi, Olkowi i mnie. Musieliśmy przedtem załatwić niezbędne formalności w dziekanacie, w stoczni i u armatora. Żegluga Gdańska przyjęła nas bardzo życzliwie. Dostaliśmy specjalny ekwipunek, z którego najlepiej zapamiętałem dużą, sztywną czapkę marynarską z olbrzymim daszkiem. Powstał jednak pewien problem z pokryciem kosztów naszego wyżywienia. Koszt ten, w wysokości 450 zł miesięcznie, potrącano członkom załogi z ich wynagrodzenia. Nam nie można było tej kwoty potrącić, gdyż nasze praktykanckie wynagrodzenie wynosiło tylko 300 zł. I z czego tu potrącać? Chcieliśmy dopłacić, ale na to ani armator, ani załoga nie godzili się. Wreszcie jakoś tam między sobą to załatwili, tak aby nie nadwężyć naszej studenckiej kieszeni.

M.s. „Narew” był małym statkiem przybrzeżnym. W pierwszej chwili uwagę na siebie zwracało głębokie wgniecenie dziobu powyżej linii wodnej a poniżej pokładu, powstałe na skutek uderzenia w nabrzeże. Załoga składała się z kilku osób. Miejsc dodatkowych dla takich pasażerów jak my nie było. Kolejno pełniliśmy wachty morskie wraz z członkami załogi, a później kładliśmy się spać w akurata wolnych kojach. Wracający z wachty marynarz, widząc swoją koję zajęłą przez smacznie śpiącego studenta, kładł się do innej, zwolnionej przez kogoś, kto właśnie objął wachtę. Po krótkim czasie nikt z załogi nie spał we własnej koi, chyba że przez szczęśliwy przypadek. Trzeba przyznać, że członkowie załogi znosili wszystkie spowodowane przez nas niewygodny nad wyraz cierpliwie i z pełną dla nas życzliwością, z którą ja ich teraz też wspominam. Z jednym z nich, Tadeuszem P., będącym w naszym wieku, serdecznie zaprzyjaźniliśmy się i utrzymywaliśmy kontakty przez parę lat. Odwiedzał mnie, poznał mojego brata i razem chodziliśmy na zabawy. Czasami pomagałem mu w matematyce, bo uczył się na jakimś kursie zawodowym. Później podobno zaczął pływać na dłuższych liniach i nasze kontakty urwały się.

Na m.s. „Narew” odbyliśmy trzy lub cztery krótkie rejsy. Przypomniało mi się jedno zdarzenie z czasu postoju w Ustce. Nasz kapitan został zawiadomiony przez władze portu, że do odwołania obowiązuje zakaz opuszczania statku i zupełne zaciemnienie. Cały port także był zaciemniony. Siedzieliśmy w pomieszczeniu dziobowym i — rozmawiając na tematy wojskowe — w każdej chwili oczekiwaliśmy wybuchu trzeciej wojny światowej. Po kilku godzinach wszystko odwołano, ale o co wówczas chodziło, nie wiem do dziś. Może to były jakieś ćwiczenia wojskowe. Może kręcił się w pobliżu obcy okręt wojenny. Nie wiem.

Po zapoznaniu się ze statkiem i warunkami jego eksploatacji, zważywszy kłopoty sprawiane załodze statku, postanowiliśmy wcześniej zejść na ląd, przed upływem całego miesiąca. Armator poszedł nam na rękę i jeszcze z przysługujących nam 300 zł wypłacił każdemu z nas końcówkę w wysokości 75 zł na osobę, nie biorąc pod uwagę dopłaty do wyżywienia.

Przed otrzymaniem dyplomu inżynierskiego miałem więc za sobą praktyki okrętowe: remontową w Stoczni Gdynskiej (przed studiami), a później przy budowie nowych statków w Stoczni Gdańskiej (na zakończenie studiów) oraz zaliczyłem sobie prawie miesiąc praktyki „pływającej”.

Łącznie prawie czternaście miesięcy różnego rodzaju praktyk okrętowych.

Stanowiły one doskonałe uzupełnienie wiedzy teoretycznej zdobytej podczas trzyletnich studiów pierwszego stopnia.

Miałem wówczas prawie dwadzieścia cztery lata.

*Tadeusz Witalewski
Absolwent Politechniki Gdańskiej*



1904 1945 2004/2005
JUBILEUSZ POLITECHNIKI w GDAŃSKU

MOJE SERENDIPITY

(Szczęśliwy traf lub zbieg okoliczności – Łaska kosmiczna)



Już od wczesnej młodości, jeszcze przed wojną i podczas okupacji niemieckiej, podświadomie przeczuwałem, że będę studiował na Politechnice Gdańskiej. Zaraz po wojnie wyjechałem na ziemię odzyskaną. Na podstawie dyplomu technika z państwowej średniej Szkoły Technicznej Kolejowej w Warszawie (ul. Chmielna 88), zorganizowałem Spółdzielnię Robót Instalacyjno-Budowlanych „Warmia” w Olsztynie. Pracowali tam, między innymi, moi bracia Jan i Wacław, oraz mój ojciec Stanisław, były zwrotniczy PKP, który pilnował budów, a robotnicy nazywali go „inżynierem”

Wśród trzech zatrudnionych inżynierów był pan Uzdownski, późniejszy wykładowca instalacji budowlanych na Wydziale Architektury Politechniki Gdańskiej. Jako student czwartego roku byłem jego nietatowym asystentem. Pełniąc funkcję prezesa Spółdzielni, nie miałem jedynie tytułu inżyniera, co „panowie inżynierowie” dawali mi czasem odczuć. Postanowiłem więc zostać jednym z nich. Zapisalem się do liceum wieczorowego i po roku zrobiłem dużą maturę uprawniającą do studiów na Politechnice.

Pojechałem do Gdańska, kiedy zaczynał się drugi rok akademicki po wojnie. Chodziłem po różnych dziekanatach i, czytając ogłoszenia, oglądałem rysunki wystawione w gablotkach. Miałem na myśli jakiś wydział budowlany, aż wreszcie urzekła mnie wystawa przed dziekanatem Wydziału Architektury, szczególnie piękny, kolorowy przekrój schodów. Z miejsca zapadła decyzja. To jest coś, co ja chcę robić. Rysunek był od dzieciństwa moim ulubionym zajęciem. Pomógł mi przeżyć okupację i łatwiej przetrwać niemieckie więzienia. Wszedłem do dziekanatu i złożyłem papiery. Niedługo potem zostałem wezwany na egzamin wstępny, który zdałem pomyślnie i zostałem przyjęty na studia. Pamiętam radosny telegram od kolegi Wacława Wilczyńskiego, byłego współwłaściciela koronowskiego: „Zdałeś, przyjeżdżaj, formalności”.

Przez cały pierwszy rok studiów, rozdarty pomiędzy Politechniką a Spółdzielnią „Warmia”, której wciąż byłem prezesem, jeździłem co tydzień do Olsztyna, aby przez sobotę i niedzielę pozałatwiać najpilniejsze sprawy Spółdzielni. Wielką przeszkodą, utrudniającą podróże, stanowił zniszczony most na Wiśle koło Tzewa. Musiałem iść pieszo do promu, a potem do odległej stacji kolejowej. Pomimo wszystko, nie zważając na trudności, czyniłem to chętnie, bo „cel uświęcał środki”.

Po skończeniu pierwszego roku wystosowałem pismo do dziekanatu na papierze firmowym „Warmii”, że Spółdzielnia nasza udzieli praktyki wakacyjnej kilku studentom pierwszego roku Architektury. Wylczyłem najbliższych sobie kolegów i podpisałem się jako prezes Spółdzielni, choć sam byłem też

dopiero studentem pierwszego roku. Tak samo potem złożyłem swój podpis na zaświadczeniach tych kolegów z odbytej praktyki.

Przed rozpoczęciem drugiego roku studiów, walne zebranie Spółdzielni przyznało mi stypendium na dalszą naukę i zwolniło z obowiązków prezesa. Dzięki temu mogłem całkowicie poświęcić się nauce, której przybywało coraz więcej. Trzeba było zaliczyć geometrię wykreślną u prof. Otto, co praktycznie równało się ze skończeniem studiów we właściwym czasie. Najtrudniejszy egzamin, łącznie z perspektywą malarską – u tego samego profesora.

Dziekanem Wydziału Architektury był wtedy prof. Marian Osiński, który jednocześnie wykładał Historię Architektury Polskiej na starszych latach. Katedrę rysunku odręcznego prowadził prof. Władysław Lam z asystentem Aleksandrem Kobzdejem, późniejszym autorem „usłynnionego” przez reżym obrazu pt. „Podaj cegłę”. Jego młodszy brat Tadeusz studiował na moim roku. Z ważniejszych przedmiotów, Historię Architektury Powszechnej wykładał prof. Jan Borowski ze słynnym z zapału adiunktem Majewskim, który w kilka lat później zginął w jakimś wypadku. Projektowanie na naszym roku prowadził adiunkt Zbyszewski. Jego wprawną rękę w rysunku na korektach podziwiali wszyscy studenci. Katedrę Budownictwa Ogólnego prowadził prof. Prochaska, Budownictwo Monumentalne prof. Minkiewicz, a Architekturę Przymorza i Portów prof. Tomaszewski; Budownictwo Utylitarnie – prof. Porębowicz, Planowanie Regionalne – prof. Różański, Konstrukcje Budowlane – prof. Obmiński, którego atrakcyjna córka Marysia studiowała wtedy na niższym roku.

Będąc studentem drugiego roku, gdy brakowało tzw. kadr, zostałem młodszym asystentem w Katedrze Budownictwa Wiejskiego u prof. Feliksa Markowskiego, który lubił przesiedywać dłużej na korektach przy uroczej studentce Różyckiej. Pamiętam, że prof. Czerny z Katedry Urbanistyki był aresztowany i wrócił dopiero, gdy kończyłem czwarty rok. Nie miałem czasu zajmować się polityką. Zajęty nauką i dodatkową pracą zarobkową, nie wiedziałem prawie nic o procesach politycznych i tępieniu AK-owców. Nikt z naszego roku nie należał do partii, z wyjątkiem Janka Chojnackiego, który poza tym był bardzo fajnym kolegą. Pomimo swej partyjności był powszechnie lubiany. Zdolny i muzykalny, ładnie śpiewał i grał na harmonii. Gdy wprowadzono Ekonomię Polityczną, na pierwszy wykład przyszli wszyscy. Jak się okazało, że to przedmiot nadobowiązkowy, nikt więcej nie przyszedł.

Przyjaźniłem się wtedy z Tadeuszem Nabasińskim i Czesławem Biernackim, przygotowując się z nimi do egzaminów. Z Jankiem Sieńkowskim i Staszkiem Michlem odbyliśmy sesje rysunkowe i piesze wycieczki brzegiem morskim aż do Gdyni. Z poprzedniego rocznika zaprzyjaźniłem się z Leszkiem Zaleskim, który piął się szybko po szczeblach naukowych i już jako adiunkt zmarł przedwcześnie w 1988 roku, nie doczekawszy wolności i prawie pewnego tytułu profesora. Tragiczny

wypadek samochodowy pozbawił życia Jurka Zarembe, zdolnego projektanta Domu Rybaka we Władysławowie. Pracowałem z nim jakiś czas w Biurze Projektów Budownictwa Morskiego w Gdańsku.

Poza asystenturą u prof. Markowskiego, uczyłem dorywczo w Technikum Budowlanym i na różnych wieczorowych kursach rzemieślniczych, głównie przedmiotów, których nie miałem jeszcze zaliczonych na Politechnice, przygotowując się w ten sposób do moich własnych egzaminów. Kochałem atmosferę szkolną. Lubiłem uczyć, zarówno siebie, jak i innych. Imponowało mi trochę, gdy moje dorosłe uczennice mówiły do mnie „Panie profesorze”. Młodość górna a chmurna!

Po zaliczeniu wszystkich przedmiotów, jeszcze przed dyplomem, niczego nie przewidując, zostałem powołany do wojska, wraz z kilkunastoma innymi, przypadkowo wytypowanymi z naszej Politechniki, jak również z innych uczelni w kraju. W tym czasie moi bracia zaczęli studia, Janek architekturował w Gdańsku, a Waclaw inżynierię w Szczecinie. Dopuszczony do egzaminu dyplomowego, dostałem dwutygodniowy urlop z wojska, podczas którego kreśliłem projekt mojej pracy dyplomowej z pomocą kolegi Janka Sieńkowskiego. Broniełem dyplomu przed profesorami: Markowskim, Rybickim i Różańskim, w mundurze porucznika lotnictwa, co było pewną sensacją. Ponieważ instalacje budowlane miałem w tzw. „małym palcu”, zabłysnąłem znajomością mego projektu od tej strony, ku zadowoleniu egzaminujących profesorów.

W pierwszej kolejce zrobiło ze mną dyplom kilkunastu absolwentów: Tadeusz Habasiński, Czesław Biernacki, Jan Sieńkowski, Stanisław Michel, Jerzy Zaremba, Jan Chojnacki, Zbigniew Czekanowski, Adam Salomon, Romek Połujan i kilku innych. Pomagałem kolegom w przygotowaniach do balu dyplomowego w Grand Hotelu w Sopocie. Mój mundur oficera lotnictwa robił wrażenie i był pomocny w załatwieniu pewnych formalności. Pamiętam, gdy raz weszliśmy na salę, całe audytorium powstało z miejsc.

Po zwolnieniu z wojska wróciłem do Gdańska na Politechnikę, na asystenturę do prof. Rybickiego w Katedrze Budownictwa Miejskiego, oraz na stanowisko nauczyciela w Technikum Budowlanym. Przywiozłem sobie z wojska, odremontowany z wraka, samochód, dwuosobowy kabriolet „Ford-Eifel”, który stanowił niemałą atrakcję na Wybrzeżu, gdyż niewiele osób posiadało wtedy prywatne samochody. Podobny do mojego samochód miał student Skowronek. Potem kupił go od niego kolega Tarando.

Kierownik Katedry Miernictwa, młody inż. Kułakowski zachwycał wszystkich swym dużym, czteroosobowym kabrioletem, którym – ku zazdrości studentów – ostentacyjnie woził co piękniejsze studentki. Jak każdy tzw. pracownik naukowy musiałem pełnić jakąś funkcję społeczną na Politechnice. Zostałem sekretarzem Komisji Przydziału Pracy dla Absolwentów. Przez cały rok niewiele miałem z tym zajęcia. Komisja działała całą parą dopiero w końcu roku akademickiego.

Zjeżdżali się wtedy przedstawiciele różnych resortów, celem angażowania młodych inżynierów do swych przedsiębiorstw. Ogromne trudności miała Komisja z wyekspedowaniem ich do pracy w teren, na stanowiska architektów miejskich lub powiatowych, szczególnie na ziemiach odzyskanych; wszyscy żądali pracy w Gdańsku, na Wybrzeżu lub w okolicy. Nikt nie chciał przydziału pracy gdzieś dalej od domu. Jeden z adeptów, jak Rejtan rozdarł szaty, manifestując tym, że on w teren nie pójdzie i nikt go do tego nie zmusi.

Nie wiem, co we mnie wtedy wstąpiło. Wstałem i zbeształem go, że zachowaniem swoim przynosi wstyd uczelni i nam wszystkim. Ojczyzna oferuje mu zaszczytne, samodzielne stanowisko, powinien więc okazać wdzięczność i z honorem je

przyjąć, co ja bym chętnie uczynił, gdyby mnie coś takiego spotkało itp. Nastąpiła chwila konsternacji i przerwa w obradach. Spacerując po korytarzu, podszedł do mnie pewien pan z resortu i zapytał, czy ja naprawdę tak myślę jak mówiłem, czy tylko żartuję? Powiedziałem, że jak najbardziej popieram moją wypowiedź. Okazał się personalnym Komitetu ds. Urbanistyki i Architektury, inż. Grabowski. Wręczył mi swoją wizytówkę, z prośbą, żebym niezwłocznie przyjechał do niego, do Warszawy.

Gdy po tygodniu zgłosiłem się na Krakowskie Przedmieście nr 1, wszyscy już tam o moim wystąpieniu na Politechnice wiedzieli. Inż. Grabowski oprowadził mnie po licznych pokojach Komitetu, przedstawiając jako „dzielnego” kolegę z Politechniki Gdańskiej, po czym zaprosił do swego gabinetu i za moją postawę zaproponował mi stanowisko głównego architekta wojewódzkiego w Rzeszowie lub Opolu, do wyboru. Niezwykle poważna funkcja i odpowiedzialna praca dla młodego, bezpartyjnego architekta.

Wybrałem Opole. Otrzymałem odpowiednie nominacje na piśmie i podekscytowany wracam do Gdańska. Wsiadam z pociągu na dworcu, a z innego wagonu wysiadł kolega z Politechniki, Stefan Strugarek. Idąc razem w tym samym kierunku na Siedlice, gdzie mieszkaliśmy, powiedziałem mu, że wracam właśnie z Warszawy, gdzie KUA (Komitet ds. Urbanistyki i Architektury) mianowało mnie głównym architektem wojewódzkim w Opolu. „Nie żartuj” – zawołał – Ja już od dłuższego czasu jestem tam zastępcą głównego architekta i wszyscy czekają, jak na zbawienie, na właściwego głównego szefa, bo napiętrzyło się mnóstwo różnych pilnych spraw, które tylko główny architekt może załatwić.”

Cała Polska miała wtedy osiemnaście województw, nie wszystkie jeszcze obsadzone potrzebnym personelem. W każdym województwie po kilkanaście powiatów i miast oczekiwało swoich architektów. Dzięki mojej postawie i śmiałości wystąpieniu na Politechnice, także pochodzeniu klasowemu, bo władze komunistyczne zaliczały stanowisko mego ojca, zwrotniczego PKP, do klasy robotniczej, choć bezpartyjny, znalazłem się w bardzo młodym wieku na bardzo wysokim stanowisku. Na odprawie głównych architektów z całego kraju, w Warszawie, jako najmłodszy nominacją i wiekiem, wygłosiłem inicjalne przemówienie, którym zyskałem sobie autorytet, uznanie i aprobatę. Sam nie wiem, skąd mi to przyszło, że trafiałem w sedno i zebrałem huczne oklaski.

Gdy po roku pojechałem do Gdańska na Politechnikę werбовать młodych architektów do pracy, ku wielkiemu zdziwieniu Komisji Przydziału Pracy, większość absolwentów ochotniczo zgłaszała się do mnie, przeważnie moi dawni studenci. Obsadziłem więc resztę województwa opolskiego gdańszczanami, jak koledzy Andrzej Hamada, Zdzisław Tarwid, Birkernmajer, Jesionowski i inni. Nazywam to łaską kosmiczną – „Moim Serendipity”.

PS. W 1958 roku wyjechałem z Wiednia do USA, gdzie pracowałem w różnych biurach projektowych. W 1965 roku otrzymałem kalifornijską licencję architekta i prowadziłem własną praktykę w Los Angeles, Long Beach i Palm Springs. Mieszkam teraz w San Diego, maluję portrety i piszę artykuły do pism polonijnych. Jestem autorem książek: „Moje Serendipity”, wydanej w 1996 r. i „My Serendipity” (w jęz. angielskim), wydanej w 1999 r., „Skrót Historii Architektury dla wszystkich”, wydanej w 2000 r., „Skrót Historii Architektury innych kultur”, wydanej w 2001 r. Jestem również współautorem książki o Kazimierzu Pułaskim (w jęz. angielskim) „For Freedom ours and yours”, wydanej w 2001 r.

Teofil (Ted) Kwiatkowski
Absolwent Politechniki Gdańskiej



1904 1945 2004/2005
JUBILEUSZ POLITECHNIKI W GDAŃSKU

WYKOPALISKA

Na okładce pewnej płyty, wydanej w bardzo elitarnym nakładzie, znalazł się następujący tekst:

„W mrocznych piwnicach urzędu, za aparaturą do destylacji, walała się rolka taśmy. Przypadkowo natknął się na nią nasz poszukiwacz prawd oczywistych. Przedstawiamy tę taśmę bez komentarza, gdyż po jej nierozważnym przesłuchaniu ręce nam opadły, mimika stężała, oczy wystąpiły, wargi spierzchły, nogi się ugięły, a gardła zaschły. Jakichże to manipulacji dopuszczano się dla zawładnięcia duszyczkami i rozumkami wesolej braci studenckiej. Ckliwość, naiwność, lirykę i prymitywne aluzje usiłowano nieudolnie przeciwstawić piosence turystycznej, zwanej obecnie biesiadną”.

Ten tekst nieznanego autora, najprawdopodobniej Jerzego Ździebelki-Jankowskiego (wymaga to oddzielnych badań), można uzupełnić zdaniem: dobrze, że przemiany, jakie zaszły w naszym kochanym kraju, ukrociły wspomaganie przez ZSP takich form aktywności studenckiej, jak teatr, kabaret, prasa studencka, konkursy poetyckie, kino dyskusyjne. Przetamano te dekadencje tendencje słuszną likwidacją KSW „ŻAK”, na dobrej drodze jest też sprawa likwidacji klubu „Kwadratowa”. W epoce techno, disco, kina familijnego, telenowel, Internetu i internacjonalizacji, oraz wykwintnej kuchni Mc Donalds – rozrywki zmierzające do rozwoju ducha wydają się całkiem nie na miejscu. Przeszkadzają, jeżeli wręcz nie rozbijają proces unifikacji, uniformizacji, uniwersalizacji, utylitarystycznej jedności społecznej.

Wracam do spraw zasadniczych, czyli początku. Będę starał się objaśnić cytat z okładki wspomnianej płyty, której historia jest nie do końca jasna, a tym bardziej definitywnie zamknięta.

Śmierć Jerzego Ciepiewskiego – „Ciepela”, tak niespodziewana przez swą przypadkowość, tak tragiczna przez okoliczności, spowodowała spotkanie grupy przyjaciół z dawnego Studenckiego Teatru Politechniki Gdańskiej „Kabaret π”. Najpierw na uroczystościach pogrzebowych, potem na wieczorze wspomnień. O Jerzym, o naszej młodości, o naszym teatryku. Kiedy rano opuszczaliśmy okolice Jasta, zieloność bieszczadzkich gór uspakajała nasze oczy. Nie uspokoiła lęków, że następne nasze spotkanie może być spowodowane...

Tego nikt głośno nie miał odwagi powiedzieć. Ciężką ciszę przerwał pomysł organizowania sporadycznych spotkań. Potem ktoś powiedział, trochę żartem, że czas zabrać się za pisanie wspomnień, potem...

Po czterech miesiącach, w październiku 1999 roku, w domu Edwarda Licznarskiego jeszcze raz żegnaliśmy Jurka Ciepiewskiego. Wspominając, opowiadając, ini-

cjując, przywracając. Wszystko to wydawało się jednak ulotne, było chwilą, nastrojem, żalem. Wtedy przeszła przeze mnie taka „metafizyka”, że gdyby niespodziewanie na tym spotkaniu zjawiał się „Ciepeli”, to zapewne nie byłby zadowolony z naszego smutku. Wolalby dowcip, greps, jakieś „opowiadanko” nieprawdziwe, lecz ciekawe. W parę tygodni później powstał zarys pomysłu na sztambuch do wspomnień naszych z czasów mrocznych, acz rzeczywistych, czasów młodej aktywności poszukującej odrobiny radości raz poważnej, raz niepoważnej, zawsze jednak płynącej z potrzeby bycia razem z innymi, podobnymi, dla innych, podobnych, którzy chcą uczestniczyć, bawić się, przeżywać, posłuchać wiersza, muzyki, piosenki...

Chcąc wzmocnić siłę wspomnień moich przyjaciół, zacząłem poszukiwać materialnych dowodów naszej twórczości. Zawędrowałem w miejsce, w którym upłynęło moje dzieciństwo i młodość. Wrzeszcz. Okolice lodziarni „Eskimos”, targowiska i...domu studenckiego nr 16.

Młoda recepcjonistka wyznała, że hasło SAR niewiele jej mówi, ale może kierownicze.

Kierowniczka rzeczowo próbowała streścić wspomnienia swojej poprzedniczki o końcu działalności tego studenckiego radia. Opowiadała o jakichś kartonach rozłożonych między piwnicą a łącznikiem. Przejrzała notes i dała telefon do pana na Politechnice, który coś powinien wiedzieć. Pan na Politechnice, nazwisko mi umknęło, wiedział, że sprawa archiwum po SAR leży gdzieś w okolicach Rektoratu. A jeżeli tam leży, to zapewne najwięcej może o tym wiedzieć pan Jerzy Kulas.

Pan Jerzy! Poczułem, że jestem blisko. Miłe ciepło uderzyło mi do głowy. Ale tylko na chwilę. Pan Jerzy z całą życzliwością, z jaką zawsze odnosił się do „Ciepela” i wszelkich



„Kabaret π” w trakcie poszukiwań romantyzmu socjalistycznego (termin ukuty przez intelektualistów) w spektaklu Józefa Lewartowskiego „Wynalazek” z roku 1966



Program „Droga” z roku 1964; „Kabaret pi” „w autobusie”
(nota bene czerwonym)

inicjatyw innych weteranów, skierował mnie do pana Piotra Jagielskiego – członka kierownictwa Radia Gdańsk SA, człowieka niegdyś w SAR, który może obecnie coś wie, bo być może się tym interesuje, niewykluczone, że natrafił itp., itd. Nie wyglądało to optymistycznie, ale nie było wyjścia. Trzeba było spróbować. Najtrudniejsze okazało się sforsowanie barykad, jakie w poczuciu misji tworzą sekretarki swoich szefów.

Pan Piotr Jagielski, jak każdy dobry menedżer szanujący czas, swój czas i czas rozmówcy, oszczędzał słowa, ale słowa te były wielkiej wagi. Dawał nadzieję. Prosił o ponowny telefon za dziesięć dni. Za dziesięć dni powiedział, że od trzech dni czeka na mnie na portierni Radia Gdańsk coś, co mnie zapewne zainteresuje. Zainteresowało do bólu i też! Bólu wspomnień i też radości, że mogłem posłuchać. Mogłem słuchać doskonale zachowanego nagrania, prawdopodobnie z 1964 roku. Nagrania dokonane w Studenckiej Agencji Radiowej.

„O kabarecie i programie 'Droga' opowiadał, jak zawsze rezolutnie, Ciepeli. Wiadomo mim”. To kolejny cytat z okładki płyty, która powstała z ocalałych materiałów. Nagranie zawierało piosenki, skecze, wspomnienia. Głosy ludzi tworzących ten zespół. Nagranie to powstało dzięki temu, że istniał kiedyś SAR, że istniał niegdyś STPG „Kabaret pi”.

Dwa oddzielne, nieistniejące już byty wydały materialny dowód, który będzie można wnukom przekazać, na to, że nie marnowaliśmy życia na zdobywaniu, z różnym skutkiem, wiedzy, sławy i pieniędzy. Że nasza młodość, w tych mrocznych, jak się dziś mówi, czasach, dawała też możliwość zajmowania się czymś nieważnym, lecz miłym, że chcieliśmy przede wszystkim być, a nie tylko mieć.

Myślę, że grupa byłych członków STPG „Kabaret pi” nie jest jedyną zainteresowaną zachowaniem w dobrej kondycji archiwaliów dawnej Studenckiej Agencji Radiowej. Zapewne żyje spore grono osób, które nie tylko tworzyło z myślą o audycjach SAR-owskich.

Zbiory archiwalne z pewnością dokumentują inne przejawy i formy życia studenckiego ostatniego czterdziestolecia. Nie przesądzam o wartości tych materiałów dla badań socjologicznych – z pewnością mają one wartość sentymentalną, wartość dawnych przyjaźni, wartość wię-

zi z Alma Mater. To ważny, choć może nie do końca ceniony, dorobek Politechniki Gdańskiej, w jej stuletniej historii.

Miało być żartobliwie, a zrobiło się poważnie. Przyznam, że grupa przyjaciół „Kabaretu pi” liczy na dalsze ślady swej działalności, które być może znajdują się w jeszcze nie do końca przewertowanych szpulach magnetofonowych. Mamy jeszcze trochę czasu. Może doczekamy.

Kończąc, pragnę podziękować Mietkowi Serafinowi, który z wielkim zaangażowaniem wydeptuje liczne ścieżki prowadzące do zachowania śladów SAR, decyduje u ludzi znaczących i takich, jak niżej podpisany. Czasem trafi na bolesny odcisk, czasem na niniejszy, błahy tekst. Jednak dzieło odtworzenia prowadzi. Powodzenia, Mieczysław! „Magister”

Stanisław Szczerek
Absolwent Politechniki Gdańskiej

Studencka Agencja Radiowa w sieci

Za przyzwoleniem władz naszej uczelni uruchomione zostanie w sieci uczelnianej radio studenckie na prawach organizacji studenckiej.

Kultura studencka, jeżeli nie umarła, to zapewne podupada. Pomysły realizowane przez studentów często bywają zwyczajne bądź pospolite, nastawione na prymitywną rozrywkę. Pragnąc przywrócić, chociaż w małym stopniu, wspomnienia o świetności kultury studenckiej w Politechnice Gdańskiej, zawiązaliśmy grupę pragnącą nawiązywać swoją pracą do tradycji kulturalnej, tworzonej w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

Studenci zapragnęli promować Politechnikę Gdańską w medium internetowym oraz poprawić wizerunek dzisiejszej kultury studenckiej i całego środowiska akademickiego. Z tej wizji zaiskrzył pomysł reaktywowania Studenckiej Agencji Radiowej.

Pomysł utworzenia radia podsunął nam pan Mieczysław Serafin, prezes Koła SAR przy Stowarzyszeniu Absolwentów PG, skupiającego ludzi związanych kiedyś z radiem w PG. Życzliwe uwagi pana Jerzego Kulasa pozwoliły nam zaplanować wstępną fazę projektu. Po uzyskaniu przychylności prof. Andrzeja Czyżewskiego, kierownika Katedry Inżynierii Dźwięku i Obrazu WETI, postanowiliśmy stworzyć „SAR”. Samorząd Studentów PG wyraził swą wielką aprobatę dla tego projektu.

Studenckie radio w internecie: „SARnet” rozpocznie nadawać już w styczniu przyszłego roku! Serdecznie zapraszamy „aksamitne głosy”, reporterów, erudytów, poetów, „DJ-ów”, jednym słowem wszystkich, którzy chcieliby współtworzyć radio w PG, do zabawy, która kiedyś uduchowiała całe pokolenie studentów PG. Przejście z nami przygodę waszego życia!



Tomasz Klajbor
klajbor@eti.pg.gda.pl
tel. 606 806 715, Biuro WETI: 347 17 25

Uczelniane korytarze

Korytarze, korytarze, korytarze,
Tłum uśmiechów, choć poważne znajdziesz twarze,
Gęsto myśli, gęsto gestów, gęsto zdarzeń,
Wielkich oczu i naiwnych młodych marzeń.

Korytarze, korytarze, korytarze,
Ten się uczy, tamten szuka znów skojarzeń,
Ta się czesze, ów się chwali tatuażem
Rozbiegani, niespokojni, chętni wrażeń.

Korytarze, korytarze, korytarze,
Pełne wystaw, pełne wiedzy i wydarzeń,
Zasypiają, gdy jest północ na zegarze,
Oczekując, co dzień nowy im pokaże.

Marek Biedrzycki
Dział Współpracy z Zagranicą



(fot. T. Chmielowiec)

Odwieczny temat

A miłość biegnie, wciąż biegnie za nami,
A ty wciąż chodzisz po linie myślami,
A ty wciąż szukasz szczęścia złotych bram,
Minęła jesień – a ja jestem sam.

A miłość biegnie, wciąż biegnie za nami,
A myśli twoje płyną z obłokami.
Kaprys pod nogi rzucił ci purpury.
Minęła zima – a nade mną chmury.

Już nas nie dogoni. Ustała zmęczona.
Odwieczny temat – on kochał i ona.
Lecz życie warkłim toczy się strumieniem,
Niejedna miłość stała się złudzeniem.

Marek Biedrzycki
Dział Współpracy z Zagranicą



1904 1945 2004/2005
JUBILEUSZ POLITECHNIKI w GDAŃSKU

Z „Taśmoteki Szefa”

czyli jak to w Studenckiej Agencji Radiowej bywało

Moje lata w SAR-ze rozpoczęły się w 1961 roku, kiedy trwały przygotowania środowiska studenckiego w Gdańsku, do organizacji II Ogólnopolskiego Festiwalu Kulturalnego Studentów.

Przygotowywaliśmy się również i my. W dzień jeździliśmy z ciężkimi – jak wór kartofli, magnetofonami „Melodia” na liczne imprezy, od „Żaka” począwszy, aż po Halę Stoczni Gdańskiej, poprzez kluby w akademikach i kawiarnie, i nagrywaliśmy kilometry taśmy. Potem montowaliśmy to w super prymitywnych warunkach w akademiku, w pokoju, bodaj nr 107 w DS 16 (obecny DS 6), okraszaliśmy własnymi tekstami i puszczaaliśmy gotowe taśmy w obieg po radiowęzłach na Osiedle Studenckie przy ul. Wyspiańskiego i Osiedle przy ul. Hibnera, jako sprawozdania i relacje z Festiwalu.

Potem było studio wybudowane przez czterech zapaleńców: Andrzeja Guzińskiego, Zbigniewa Hartwicha, Michała Smoczyńskiego i Staszka Stępniewskiego. Stało się to w 1962 roku. Pierwszy inauguracyjny program nadano ze studia 1 października tego roku.

Władze ZSP Politechniki, a także innych uczelni, zaczęły dbać o to, abyśmy mieli świeże i dobre informacje, aby mogły się one ukazać na naszej „antenie”. A myśmy nadawali bezpośrednio na dwa Osiedla Studenckie Politechniki, gdzie mieszkało ok. 2.500 studentów, a taśmy nasze wędrowały do akademików na Osiedlu Dębinki – gdzie mieszkali studenci Akademii Medycznej, do WSE w Sopocie, do WSP, do akademika w Brzeźnie.

Było nas stale ponad 60 osób, z tego mniej więcej dwie trzecie działały w pionie redakcyjnym, pozostali w technicznym. Wtedy to na samym początku zrodziła się zasada, której przestrzegaliśmy później przez lata.

Możesz nie działać – nie pracować, ale kiedy już coś robisz i zobowiązałeś się do czegoś – to dotrzymaj słowa, bo czekają na to słuchacze. Musieliśmy ich zdobyć jakością programu, systematycznością, odpowiedzialnością. Student bowiem, to jednostka krytyczna; drobną wpadkę, przejęzyczenie, wybacz i pośmieje się razem z nami, ale lipy albo powierzchownej fuchy nie zaakceptuje i po prostu wyłączy głośnik. Tu trzeba wspomnieć, że byliśmy odbierani poprzez tzw. „kotchoźniki”, czyli głośniki radiowej sieci kablowej, w które wyposażony był każdy pokój studencki w DS-ie. Odbiorniki radiowe były wówczas rzadkością.

Było nas, jak już wspominałem, różnych osób w różnym czasie, ale stale około 60 osób. Łączyła nas fascynacja radiem, jednoczyła wspólna praca, a także przyjaźń



Naczelni Redaktorzy SAR: Andrzej Nowak
i Wojciech Wójciak (z prawej)

i zwykle koleżeństwo. Bywały też miłości, rozstania i różne inne dramaty lat młodości.

Byliśmy „piekielnie”, może fanatycznie ambitni. Formułowaliśmy problem, który rodził się z marzeń o wielkim prawdziwym radio, „obrabiany” poprzez dyskusje i spory przetrwał w cel, który zaczynaliśmy realizować. SAR dla nas był zawsze najważniejszy. Tak powstała idea wyposażenia studia w profesjonalne magnetofony studyjne – prawdziwe radiowe.

Pierwsze udało się pozyskać w 1963 roku, za darmo, stare radzieckie z gdańskiej telewizji. Następne, już nowe, za pieniądze uczelniane z PG i z ZSP, w roku 1964.

Tak wreszcie powstało wielkie przedsięwzięcie połączenia studia z wszystkimi akademikami Politechniki, a docelowo może i pozostałych uczelni – nowymi kablami radiowymi. Do sieci dołączone miało być Polskie Radio Gdańsk, a także aula Politechniki. Kable kupiła, po wielu dyplomatycznych zabiegach, Politechnika. (Te zabiegi to było pozyskanie Kwestora Politechniki do ideologii SAR-u. Pomogła nam w tym miłość p. Kwestora do Adama Mickiewicza i dobrej muzyki m.in. Chopina. Po paru przesłuchaniach, przegraniach i innych posiedzeniach p. Kwestor był „nasz”. Nazywał się Władysław Wilimiński – niestety już od wielu lat nieżyjący. Pozostał do końca życia naszym wielkim



Spotkanie SAR-owców na jubileuszu 40-lecia przed DS 6,
niegdyś siedzibą SAR

przyjacielem). Umieszczenie ich w kanałach telefonicznych i montaż załatwili Przyjaciele z centrali telefonicznej PG, a wciągaliśmy sami.

Pamiętam, że ostatni odcinek od skrzyżowania ul. Sobieskiego i Traugutta do „Bratniaka” wciągało nas kilku „niedobitków” w Wigilię Świąt Bożego Narodzenia (bo był ruch na ulicach i gonili terminy). Kable te podniosły jakość transmisji niemal o 100% i umożliwiły transmisję bezpośrednio z auli PG, np. inauguracji roku akademickiego 1964/65.

Ostatecznie zakończyło się na Politechnice, bo inne uczelnie nie znalazły środków na ten zbożny cel.

Okres mojego najintensywniejszego działania w SAR-ze przypadł na lata 1961-1967. Miałem możliwość w ciągu pierwszych lat współpracować z czwórką pierwszych budowniczych SAR-u: A. Guzińskim, Zb. Hartwiche, M. Smoczyńskim i St. Stępniewskim.

Andrzej Guziński był niewątpliwie z tej czwórki największą indywidualnością. Był człowiekiem uniwersalnym – potrafił określić zadania dla techników, ale niewątpliwie podstawową jego troską i celem działania jednocześnie był program. Zbigniew Hartwich i Michał Smoczyński dowodzili całą techniką, a Staszek Stępniewski był twórcą i ideologiem całości „sarowskiej muzyki”. Sam zresztą grał w studenckim zespole.

Przewinęło się w tych latach przez SAR wiele postaci, których osobowość oddziaływała na innych i przez to na cały program.

Niewątpliwie osobą taką była Ola Baraniak, pierwszy Z-ca Redaktora Naczelnego ds. Programowych. Towarzyszył jej zawsze mąż, już niestety nieżyjący Jerzy Baraniak – niestrudzony doradca i recenzent, człowiek wielkiej pogody ducha i ogromnego poczucia humoru.

Za czasów Olki zrealizowaliśmy kilka słuchowisk radiowych, że choćby wspomnę „Niekochaną”, czy „Harmonijkę” wg Patkowskiego, czy „Śmierć nie omija Itaki”.

To Ola spowodowała, że zakończyliśmy wspólne pisanie powstałej z mojej i Andrzeja inicjatywy „Szopki studenckiej” – audycji, która „poleciała” w Radio Gdańsk i wygrała Ogólnopolski Konkurs na Studencką Audycję Radiową. (Szopkę wykonał nam studencki „Kabaret π” – czy ktoś może ma ją w prywatnym archiwum?).

Przykładem kariery wzorowej, niemal modelowej, był Andrzej Nowak, który jako student I roku rozpoczął od przygotowywania tzw. „ciekawostek naukowo-technicznych” do naszego koronnego magazynu – „Dyżansu aktualności”, potem przeszedł przez szefowanie redakcji informacyjnej i społecznej, był pierwszym Z-cą Redaktora Naczelnego ds. Oddziałów SAR, by wreszcie zostać Naczelnym – trzecim w historii – po Andrzeju Guzińskim i piszącym te słowa.

Osobny rozdział należałoby poświęcić kolegom z techniki, którym zaczął przewodzić Michał Smoczyński oraz Zbigniew Hartwich, ale rychło pęteczkę przejęli Maciek Gadomski, Wojtek Andruszkiewicz, Boguś Maśnicki i Maciek Dziemidowicz, Andrzej Bylicki, Zdzisław Lewandowski, Tomek Błaszczewicz (młodszy) i niezastąpiony Witek Gi-

zenga Godzwon. Chwała im, oni bowiem zrealizowali tzw. II etap przebudowy SAR-u i inne duże przedsięwzięcia. Ale to już inna historia.

Kable, telefony i wszystkie łącza legalne i nielegalne – to była zasługa wielkiego przyjaciela SAR-u, kierownika Centrali Telefonicznej, późniejszego dyrektora Zakładu Studyjno-Projektowego PG, Julka Wielińskiego, który sam był wielkim pasjonatem z charakterem, dlatego pewno nam sprzyjał. Cóż byśmy załatwili bez niego, czy w ogóle kiedyś urodzi się taki drugi Julek, który gotów był zostawić wszystko i załatwić dla nas pilną, kolejną transmisję poprzez telefon?

Przeleciało jak błyskawica te czterdzieści lat, od narodzin jednej z najpiękniejszych inicjatyw studenckich. Czterdzieści lat pracy, doświadczeń, sukcesów i porażek.

Wielu ludzi wywodzących się spośród nas jest dziś profesorami wyższych uczelni, dziennikarzami radia i telewizji, politykami, działaczami gospodarczymi, właścicielami firm.

Wspomnienia snuł Wojciech Jerzy Wójciak (zmarł: 14.05.2000 r.), a Redakcji udostępnił prezes Koła SAR przy Stowarzyszeniu Absolwentów PG, Mieczysław Serafin.

Nasza strona domowa:

www.pg.gda.pl/~sar

Liczymy na życzliwość i przychyłność wszystkich byłych członków SAR-u i osób nam przyjaznych, prosimy o nowe pomysły i koncepcje w naszej wspólnej sprawie opisania lat świetności **Studenckiej Agencji Radiowej** w Gdańsku.

U progu przygotowań do 100-lecia Almae Matris

Rozważania inżyniera o historii

Tradycyjne dziejopisarstwo ongiś polegało na subiektywnym relacjonowaniu zdarzeń obserwowanych i zasłyszanych oraz na równie subiektywnym rekonstruowaniu przeszłości upiększanej emocjami; było więc w tym coś z prawdy i trochę fikcji, co w sumie tworzyło mit o przeszłości. Tak powstała tradycja po części prawdziwa, a po części zmyślona.

W XV w. Jan Długosz zapoczątkował korzystanie ze źródeł informacji pisanej. W XVIII w. bp. Adam Naruszewicz – pionier historii narodowej – posługiwał się dokumentami archiwalnymi. Naukowe podejście do historii zostało zapoczątkowane w Europie w XIX w. Obecnie historyk powinien łączyć dwie umiejętności: analizowania źródeł informacji oraz systematyzowania i łączenia ich we wspólne pasmo przyczyn, uwarunkowań, procesów i następstw, starając się znaleźć własną wykładnię dla społecznych dziejów. Oba te poczynania podlegają polemicznym osądom, bowiem budowanie obszarów przeszłości wymaga znajomości niegdysiejszych uwarunkowań oraz umiejętności interpretowania ich wg współczesnych możliwości rozumienia przeszłości. Nieodzowne polemiki, jak i negocjowanie kompromisów nie muszą prowadzić do pełnej zgodności poglądów, ale powinny one umożliwiać zrozumienie dla stanowisk adwersarzy.

Również w XIX w. historycy zaczęli korzystać z – rozwijających się właśnie – nauk społecznych i ekonomicznych, jak: psychologia, socjologia, ekonomia. To doprowadziło do wyalienowania się szczegółowych dyscyplin: historii gospodarczej, historii techniki, pedagogiki, historii idei... Do niedawna historię traktowano jedynie jako naukę. Obecnie istnieje potrzeba i możliwość traktowania historii również jako sztuki twórczej komunikacji społecznej, ale i umiejętności uściślenia wiedzy oraz umiejętności jej przekazywania, popularyzowania, udostępniania – to dwie odrębne zdolności intelektualne. Historyk – jako nauczyciel dziejów – powinien posiadać umiejętności narracyjne: wyposażony w takie instrumenty komunikacji społecznej łatwiej nawiązuje ze słuchaczami (z czytelnikami) więź, dzięki wspólnym przemyśleniom. Na straży wiarygodności historyka – nauczyciela stoi skromność i pokora człowieka wiedzy, pedagoga, malarza obrazów dziejów, przewodnika po dynamicznych procesach społecznych. Słuchacz

(czytelnik) powinien zdawać sobie sprawę z tego, co jest prawdą w zasadzie niepodważalną, co jest wysoce prawdopodobne, a co stanowi osobiste domniemania profesjonalisty z określonego zakresu wiedzy szczegółowej.

Rozumienie przyczyn, uwarunkowań i następstw procesów dziejowych jest nieodzowne do pojmowania teraźniejszości, stanowiącej nie tylko nieuniknione następstwa tego, co właśnie mija, lecz również decyduje o konsekwencjach bieżących poczynañ. Jeżeli nie zdajemy sobie sprawy skąd i jaką drogą przybyliśmy, to nie rozumiemy, gdzie się znajdujemy i kim właśnie jesteśmy, a więc nie jest możliwe proponowanie dalszej drogi, bo brakuje racjonalnych kryteriów wyboru. To oznacza, że dryfujemy bezwolnie unoszeni przez niekontrolowane prądy.

Na jednym obrzeżu dziejów jest historia braku dobra: zaniżanie wartości moralnych, grabież, wojna, zagłada, ludobójstwo... banalizacja zła. Na drugim zaś obrzeżu dziejów jest historia dobra: życie publiczne w wolności, obywatelskie poczucie obowiązku i odpowiedzialności, wiara w wyzwolielską moc prawdy... miłość bliźniego. Historię braku dobra trzeba znać, a historię dobra trzeba studiować.

Podział świata na ludzi cywilizowanych i na barbarzyńców wprowadziło Cesarstwo Rzymskie. Później nastąpił podział na chrześcijan i pogan, następnie na chrześcijan i wyznawców islamu, wreszcie na katolików i prawosławnych. Były czasy podziału na wolnych, niewolnych i niewolników całkowicie wyjętych spod prawa. Od Herodota aż po Hitlera przekonywano o wyższości Zachodu nad Wschodem (nazywanym snobistycznie Orientem). Gdańsk w XX wieku doświadczył podziałów zarówno na nadludzi i podudzi, jak i na partyjnych i bezpartyjnych. Obecnie zaś pogłębia się globalny podział świata na wzbogacające się społeczeństwa konsumpcyjne i ubożące społeczności głodujących.

To właśnie historia ujawnia minione błędy, a wzbogacona przez to świadomość może pomagać w zamienianiu wolności od nieludzkich ideologii na twórczą wolność do kultury społeczeństw obywatelskich.

Żyjemy w czasach pokładających wielkie nadzieje w demokracji. Ale demokracja bez świadomości wartości wyższych może prowadzić w ślepy zaułek wolności bez ograniczeń mo-

ralnych. Demokracja kręgu kultury europejskiej stara się o utrzymanie pokoju poprzez zdecydowane łagodzenie zwaśnionych stron, zabiega o bezpieczeństwo dla wartości etycznych, sprzyja rozwojowi intelektualnemu na miarę możliwości indywidualnych i społecznych...

Rozrastające się społeczności wymagają coraz to bardziej skutecznych form organizacyjnych całego życia, począwszy od rodziny, poprzez lokalne społeczności... aż do całego państwa, kontynentu. Organizacja, to współprzyczynianie się do powodzenia jednostek i społeczności zarówno pod względem materialnym, jak i duchowym, a to wymaga nieodzownej kultury osobistej i społecznej. Kulturę umysłową buduje się zaś mozolnie, respektując fundamentalne prawa moralne, prawo miłości. Ale my jesteśmy skazani na realne oddziaływanie przeciwnych sobie tendencji Dobra i Zła. Ich współistnienie sprawia każdemu wiele kłopotów, bo rozdzielająca je sfera przebiega poprzez umysł każdej osoby ludzkiej obdarzonej wolną wolą wyboru i... determinantą wychowania, a ta ostatnio dramatycznie załamała się w wymiarze społecznym.

Grecja dała światu mądrość i wiedzę, Rzym – prawo i władzę, a chrześcijaństwo dało światu... miłość. Są to słowa włożone przez Henryka Sienkiewicza w usta debatujących: Petroniusza i Winicjusza. A współczesną – jakże polską – puentę, Cyprian Norwid zredagował: „Patriotyzm kształtem jest miłości...” Co nam, pedagogom PG, podpowiada lokalny patriotyzm?

Wydaje się, że każdy absolwent PG powinien sobie zdawać sprawę z tego, że studiował na Uczelni, której losy uwikłane były w dramatyczne zawirowania dziejowe XX w. – że studiował w Mieście, które ongiś było perłą związku przodujących miast północnej Europy, które realizowały ambitne idee paneuropejskiej wspólnoty handlu; w Mieście, które przez trzy i pół wieku było polskim „oknem na świat”; w Mieście, w którym znaczna część niemieckojęzycznych mieszkańców uważała się za antypruskich przyjaciół Polaków.

Spróbujmy szczerze odpowiedzieć na fundamentalne pytanie: czy – przytłoczeni lawiną kłopotów – zamierzamy masowo kształcić inteligencję zawodową, czy też mamy ambicje formowania również inteligencji o wykształceniu technicznym. Wydaje się, że we współzawodnictwie inżynier znający prócz równań różniczkowych jeszcze coś „nieinżynierskiego” będzie miał większe szanse wygrania.

Co może odchodzące pokolenie świadków najnowszej historii przekazać pokoleniu dopiero wchodzącemu w życie o całkowicie już odmiennych uwarunkowaniach cywilizacyjnych? Na co stać społeczność akademicką Technicznej Uczelni Gdańska w czasach szczególnych wyzwania, w czasach, gdy kultura umysłowa tak boleśnie przegrywa z natrętną i taną cywilizacyjną namiastką?

Wielka gala akademii rocznicowej to efektowny fajerwerk, ale przeznaczony przede wszystkim dla pracowników i dostojnych gości; to jednak tylko błysk przelatującego meteoru. Wydaje się więc, że utartym zwyczajem powinno ukazać się jubileuszowe opracowanie na 100-lecie Uczelni.

Największe zapotrzebowanie jest na bogato ilustrowane popularne opracowanie typu „vademecum-kompedium”, które pogładowo i przekrojowo ujmowałoby podstawowe wiadomości o Almae Matris na tle dziejów Miasta, a przeznaczone w pierwszym rzędzie dla absolwentów PG. Taka komunikatywna

relacja (obiektywna faktografia historyczna) bez przemilczeń i emocjonalnych komentarzy stanowiłaby przewodnik po bogatej dokumentacji fotograficznej dziejów Uczelni i Miasta z wyraźnym podziałem na charakterystyczne okresy historyczne. Objętość przeciętnej książki, cena maks. 30 zł. Dla absolwentów poszczególnych wydziałów można by przewidzieć zeszyt wydziałowy jako dodatek, opracowany wg innych kryteriów.

W moich rozważaniach wykorzystałem niektóre myśli zawarte w wykładzie wygłoszonym przez Normana Daviesa z okazji 600-lecia odnowienia Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Addenda

Na 40-lecie wychowankowie i następcy powojennych Profesorów napisali wspomnienia o swych Mistrzach, którzy w 1945 r. w opustoszałych murach powołali do życia Wydział Mechaniczny. W 1985 r. sytuacja ogólna była kłopotliwa, a jednak ukazała się skromna broszurka o Nestorach.

Przygotowaniom obchodów rocznicowych Uczelni w 1994 r. towarzyszyły kontrowersje i zgrzyty; były one cierpliwie łagodzone, a jednoznaczna wykładnia Rektora PG zobligowała zwaśnionych do zaprzestania natarczywego przywoływania wielorakich racji cząstkowych, i rocznica minęła w poważnej atmosferze.

Zbliża się okrągła rocznica, a nadal jeszcze tlą się nieodmowienia w stosunku do niemieckojęzycznej uczelni sprzed 1945 r.; pozostały cienie wątpliwości, bo temat nie został do wydiskutowany.

Społeczności akademickiej nadal brakuje pełnego konsensusu, np.: w sprawie polskojęzycznej nazwy Uczelni sprzed 1945 r.: Techniczna Uczelnia Miasta nad Motławą Politechnika w Gdańsku, niemieckojęzyczna Politechnika Gdańska... Sięgam więc po argumenty natury formalnej:

- od powołania Uczelni do istnienia w 1904 r., aż do jej wymuszonego procesu zanikania (jesienią 44 r., nie wznowiono już zajęć dydaktycznych, a na początku 45 r. ostatni pracownicy opuścili jej mury) – nazwa niemieckojęzycznej Uczelni ulegała kolejnym modyfikacjom, zarówno z przyczyn ustrojowych, jak i z racji zmian prawnego statusu Miasta,
- Polacy, studiujący w niemieckojęzycznej Uczelni, zrzeszali się w oficjalnie istniejących organizacjach, których nazwy zawierały sformułowanie „... Studentów Polaków Politechniki Gdańskiej”.

Wydaje się więc, że używanie polskojęzycznego terminu „Politechnika Gdańska” nie stanowi nadużycia (pod warunkiem krystalicznie przejrzystej świadomości dziejów Miasta, zwłaszcza zaś z XX wieku), bowiem termin ten zawiera formalne przesłanki, a strona niemiecka nie wnosi zastrzeżeń w tej sprawie.

W moim wystąpieniu (z dn. 30.05.2001 r.) postulowałem, aby troskliwie przygotowane opracowanie jubileuszowe stwarzało absolwentom PG możliwość uzyskania takiej właśnie krystalicznie przejrzystej świadomości o specyfice Almae Matris.

Na zakończenie C. K. Norwid: „Są wniebogłosy, bo są przemilczenia”. Postarajmy się, aby przemilczeń nie było.

Wacław Dziewulski
Wydział Mechaniczny

Jesienne impresje, czyli etyka w nauce i technice

Nasze życie codzienne i wieści płynące z wielkiego świata świadczą o tym, że obecnie coraz częściej zapominamy, po co istniejemy i jak powinniśmy żyć. Płynące z tradycji judeo-chrześcijańskiej – oparte na *Dekalogu* i *Przykazaniach Miłości* – zasady życiowe naszego kręgu kulturowego są obecnie coraz częściej negowane, przynosząc w efekcie załamanie wszelkich norm moralnych. Pogoń za bożkiem-pieniądzem przeciętnego, często egoistycznie ukształtowanego zjadacza chleba, ale też zwykłe złodziejstwo i korupcja w środowiskach tzw. elit na szczytach władzy – nieobce także ludziom głoszącym szczytne hasła, cywilizacja śmierci, przemoc i wyuzdanie lansowane w środkach masowego przekazu, używany potocznie karczemny język i manifestowane w stosunkach międzyludzkich modelowe chamstwo – muszą nastrajać pesymistycznie: „... a ponieważ wzmoże się nieprawość, oziębnie miłość wielu.” (Mt 24:12). Wydaje się, że „obrzydliwość spustoszenia” (Mk 13:14) zagościła już na dobre w duszach wielu z nas. Czy mamy teraz oczekiwać dalszego spustoszenia, tym razem – w świecie materii? Dostrzegamy chyba pierwsze tego oznaki. Czy zatem świat zmierza dziś ku samounicestwieniu? Wszak mamy się uczyć przez podobieństwo „z drzewa figowego” (Mt 24:32), a przecież jego gałązka wydaje się już „dostatecznie soczysta” (Mt 24:32). W tej sytuacji nie może dziwić fakt, że ludzie o funkcjonującym jeszcze sumieniu – mimo zapowiedzi „Ale włos z głowy wam nie zginie” (Łk 21:18) – czują się dziś dość przygnębieni.

Istniejący świat odczuwa jednak moralną pustkę – aliści głównie ze względu na materialne konsekwencje działań nieetycznych. Dlatego mówienie o etyce staje się dziś modne. Wobec skrzywień etycznych całych niekiedy społeczeństw – w sensie ogólnym, adresuje się dziś etykę, coraz częściej, do poszczególnych środowisk i grup zawodowych. W ten sposób, działanie etyczne w zawodzie staje się niejako równoznaczne z przestrzeganiem prawa. Nieetyczne postępowanie może zatem być zagrożone sankcją finansową, a niekiedy też – karną.

Amerykańskie Towarzystwo Inżynierów Budownictwa (American Society of Civil Engineers: ASCE) dba od wielu lat o etyczne postępowanie swoich członków w uprawianym przez nich zawodzie. Dla tych potrzeb opracowano odpowiedni *Kodeks etyczny*, mający cztery *Podstawowe zasady* i siedem *Podstawowych reguł* postępowania; wydaje się, że warto je tu przedstawić.

W *Podstawowych zasadach* zapisano, że inżynierowie popierają i doskonalą uczciwość, honor i godność zawodu inżyniera przez:

- używanie swojej wiedzy i zdolności do pomnażania dobra człowieka;
- uczciwe i bezstronne postępowanie oraz wierną służbę społeczeństwu, swoim pracodawcom i klientom;
- walkę o wzrost kompetencji i prestiżu zawodu inżyniera;
- popieranie towarzystw zawodowych i technicznych właściwych dla ich specjalności.

Jeśli chodzi o *Podstawowe reguły*, to są one następujące:

- Wykonując swoje obowiązki służbowe, inżynierowie powinni uważać za najważniejsze bezpieczeństwo, zdrowie i dobro człowieka.
- Inżynierowie powinni świadczyć usługi tylko w zakresie swoich kompetencji.
- Inżynierowie powinni składać publiczne oświadczenia tylko w sposób obiektywny i prawdziwy.



- Inżynierowie powinni działać w sprawach dotyczących ich pracodawców i klientów jako lojalni pośrednicy lub powiernicy i powinni unikać dwuznaczności.
- Inżynierowie powinni zdobywać swój szacunek zawodowy na podstawie wyników swoich usług i nie powinni nieuczciwie konkurować z innymi.
- Inżynierowie powinni działać w taki sposób, aby wspierać i powiększać szacunek dla zawodu inżyniera, jego rzetelność i godność.

Wyżej wymienione *Podstawowe reguły* zawierają jeszcze szereg szczegółowych wskazówek dla praktyki, których tutaj nie zaprezentowano. Należy wreszcie dodać, że sprawy etyki łączą się z samą definicją zawodu, jaką głosi ASCE; jest ona następująca:

- Zawód jest spełnieniem misji w służbie człowiekowi. Wykorzystuje on specjalistyczną wiedzę i uzdolnienia intelektualne. Główną nagrodą w realizacji zawodu jest powodzenie w wyrażaniu zdolności twórczych i stosowaniu wiedzy. Zakłada to konieczność uzyskiwania najwyższego poziomu doskonałości kształcenia, świadczenia usług i etycznego postępowania.

Problemy etyki zaczynają też nabierać coraz większego znaczenia w świecie nauki. U nas w Polsce dowodem na to może być już trzecia wersja wydawnictwa Polskiej Akademii Nauk – Komitetu Etyki w Nauce pt. *Dobre obyczaje w nauce*, które ukazało się w roku bieżącym. Zawiera ono zbiór zasad i wytycznych, jakimi powinien kierować się pracownik nauki w swojej codziennej pracy. Oczywiście trzeba, aby przestrzegał on najpierw pewnych zasad ogólnych, wynikających z etyki ogólnoludzkiej, ale ma on też szczególne obowiązki etyczne jako twórca, mistrz i kierownik, nauczyciel, opiniodawca, ekspert, krzewiciel wiedzy, oraz – jako członek społeczeństwa i wspólnoty międzynarodowej; tak właśnie ujęto to w ww. opracowaniu PAN. Spośród wielu szczegółowych wytycznych najlepiej chyba charakteryzuje je wszystkie – następująca:

- Pracownicy nauki mają szczególny obowiązek szczenia w swoich środowiskach osobiście oraz za pośrednictwem instytucji i organizacji naukowych, zasad rzetelnej pracy na-



ukowej, tępienia nieuczciwości naukowej i łamania dobrych obyczajów.

Aktualnie, zasady etyki promowane są w kolejnych dziedzinach praktycznej działalności człowieka. Jako wynikające z systemu wartości, rzutują dziś mocno na takie pojęcia, jak: społeczeństwo, kultura, ekonomia, środowisko, estetyka, dziedzictwo, zrównoważony rozwój, technologia informacji itp. – które łącznie kształtują tzw. *krajobraz kulturowy* danej społeczności.

Rozważając to wszystko w aspekcie roli uniwersytetu technicznego, należy postawić pytanie – czy realizacja zadań etyki ogólnej i zawodowej jest obecnie możliwa? Środowisko akademickie – studenci i nauczyciele – są przecież częścią naszego społeczeństwa. Mimo wołań Jana Pawła II, aby nasze życie było odbiciem praw „rzeczywistego rozwoju”, aby zatem uzewnętrzniało pryncypia godności człowieka, ciągle jeszcze nasze społeczeństwo, a więc i jego część akademicka, nie respektują wystarczająco tych wołań. Aby nastąpiła tu istotna poprawa, powinniśmy uznać pierwszeństwo ducha nad materią, osoby nad rzeczą, etyki nad technologią – a więc chcieć najpierw *być*, a potem – *mieć*.

Niestety, nasze młode pokolenie zdaje się obecnie hołdować modzie unikania wszelkiego wysiłku, a umysłowego – w szczególności; tymczasem jest on podstawą rozwoju odczuć estetycznych, a także jakiegokolwiek kreatywności. Szkoła nie potrafi pozytywnie konkurować z atrakcyjnymi, lecz mało ambitnymi wzorcami lansowanymi przez media, a zwłaszcza – przez telewizję; tym samym – nie wykształca w młodym człowieku autentycznej dążności do odpowiedniego formowania swojej osobowości – swego intelektu. Dowodem stanu rzeczy jest ubogie przygotowanie młodzieży do samodzielnego myślenia, ale też – jej awersja do matematyki; ta prawidłowość jest charakterystyczna, bowiem – jak głosi John Locke – „logika jest anatomią myślenia”. Z drugiej strony, część naszych nauczycieli akademickich dąży do ukierunkowania programu politechnicznego wyłącznie na spełnienie oczekiwań „przemysłu”; ujawnia się tendencja do likwidowania przedmiotów „nietechnicznych”. Tymczasem dzisiaj, w dojrzałych ośrodkach uniwersytetów technicznych na świecie dostrzega się jednak potrzebę umieszczania w programie zajęć także sporej części przedmiotów typu humanistycznego. Czy trzeba w naszej uczelni przypominać zaszczyty przedwojenne, gdy istniał odpowiednio uprofilowany cały wydział, a po wojnie – w naszej polskiej rzeczywistości – postulowanie, już w r. 1946, utworzenia takiego wydziału na Politechnice Gdańskiej – żeby wspomnieć tylko artykuły prasowe w tej sprawie pierwszego dyrektora Biblioteki Głównej naszej uczelni, dr. Mariana des

Loges. Patrząc na te pierwsze lata odbudowy Gdańska i Politechniki Gdańskiej, trzeba w ogóle podziwiać zaangażowanie naszego społeczeństwa w rozwój ducha, a więc – kultury narodowej. A przecież zdawałoby się, że olbrzymie braki materialne i proponowany wówczas światopogląd materialistyczny powinny dyktować inną kolejność rzeczy. Ewangeliczne przesłanie, że „nie samym chlebem żyje człowiek” (Mt 4:4) znajdowało, nawet w tych trudnych warunkach, swe pełne potwierdzenie. Mając wszystko to na uwadze wydaje się, że przedmioty humanistyczne powinny dziś – bardziej niż kiedykolwiek – być istotnym elementem kształcenia politechnicznego.

W tym miejscu trzeba znowu wrócić do sprawy profesjonalnych kodeksów etyki. Jakkolwiek Tacyt głosił: *Corruptissima Res Publica plurimae leges* (Najwięcej praw w skorumpowanym państwie), to jednak w obliczu dość powszechnej degradacji znaczenia norm moralnych, takie kodeksy mogą pomóc – choćby jako widoczne znaki stałej aktualności spraw etyki. Jednakowoż, kodeksy te nie powinny być zbyt szczegółowe, bo i tak wszystkich przypadków szczególnych prawodawca nie może przewidzieć. Należałoby raczej iść po linii wskazania *Legem brevem esse oportet, quo facilius ab imperitis teneatur* (Prawo powinno być zwięzłe, aby łatwiej mogli je zapamiętać niedoświadczeni). Wspomniane na początku *Przekazania Miłości* (Mt 22:37-39) mogą tu być odpowiednim drogowskazem.

W obliczu bliskich i zawsze radosnych Świąt Bożego Narodzenia, mimo okazanego tu wcześniej jesienno-przygnębienia powodowanego złowrobną aurą w świecie, trzeba nam jednak być optymistami pamiętajmy, że „którzy we łzach sięją, żać będą w radości” (Ps 125:5).

Zbigniew Cywiński
Emerytowany profesor PG

Lek na frustracje

Gdy cię przydusi codzienność ciężka,
Gdy cię zasmuci jesienna szaruga,
Gdy urodzaju zamrtni cię klęska,
Gdy zobowiązań lista przydługa,
Gdy ktoś boleśnie serce ci zrani,
Gdy ci artykuł wyjdzie „do bani”
Gdy przełożony cię zdenerwuje,
Gdy się szpileczką w palec zakujesz,
Gdy swój kapelusz znajdziesz w kaluży,
Gdyś się zanadto w banku zadłużył,
Gdy ci nie starcza już do pierwszego,
Gdyś się pokłócił z dobrym kolegą,
Gdy cię pantofel pod stopą uwiera,
Gdy wirus wkraść się do komputera,
Na wszystkie takie i inne frustracje,
Wspomnij ostatnie z dziewczyną wakacje!

Marek Biedrzycki
Dział Współpracy z Zagranicą

Programowanie zespołowe

Zdobywanie wiedzy to osobista sprawa każdego, kto chce coś osiągnąć. Nie jest to jednak gra pojedynczej osoby. To gra zespołowa. Są studenci i wykładowcy, uczniowie i nauczyciele. I wszędzie uczą gry drużynowej. VI Akademickie Mistrzostwa Polski w Programowaniu Zespołowym wyłoniły kolejnych laureatów. Do finału, który odbył się we Wrocławiu, stanęły 44 trzyosobowe drużyny, w tym trzy z Politechniki Gdańskiej. Na czele listy zwycięzców są zespoły z Uniwersytetów: Warszawskiego i Jagiellońskiego. Nasz najlepszy team w składzie: Jakub Białogrodzki, Jacek Dąbrowski i Adrian Kosowski – wszyscy oczywiście z Informatyki – zajął 5. miejsce. To najlepsza pozycja drużyny spośród uczelni technicznych z kraju. Pozostałe uplasowały się na miejscach XIII i XX. To ewidentny sukces, albowiem mistrzostwa są tylko dla najlepszych.

Są to zawody, co należy podkreślić, dla bardzo dobrych matematyków. Ogromnie liczy się tu abstrakcyjne myślenie. Prof. Marek Kubale, współtwórca Mistrzostw, przez pierwsze 2 lata sędzią główny zawodów, uważa, że główne zadanie zawodów – czyli: „rozwiązać jak najwięcej zadań w jak najkrótszym czasie” – jest zawsze przydatne w procesie nauczania. Tam na Mistrzostwach zadania są znacznie trudniejsze, niż te w naszym programie studiów. Ale ta poprzeczka musi być wysoko.

Na naszym Wydziale od 2 lat działa Informatyczna Liga Zadaniowa, którą prowadzi mgr inż. Michał Małafiejski. Skierowana jest nie tylko do studentów naszego Wydziału, ale również do uczniów szkół średnich województwa pomorskiego. Jednym z zadań ligi jest przygotowanie do uczestnictwa w Mistrzostwach.

Niebawem odbędą się zawody międzynarodowe w programowaniu zespołowym w Warszawie. W szranki stanie 60 reprezentacji, finaliści pojedą do USA.

Link do Ligi Zadaniowej:

<http://www.eti.pg.gda.pl/~mima/liga.html>

Mieczysław Serafin

Wydział Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki

Oto opinia zwycięskiego zespołu studentów ETI

„Czym wyróżnia się uczestnik Akademickich Mistrzostw Polski w Programowaniu Zespołowym na tle innych studentów informatyki? Na pierwszy rzut oka niczym... Podobnie jak wszyscy męczymy się z niektórymi przedmiotami, kochamy nasze dziewczyny, lubimy dobre piwo i kibicujemy polskim piłkarzom. Jednak gdy tylko mamy chwilę wolnego czasu, myśli nasze biegają w kierunku algorytmów, grafów, macierzy. I wbrew pozorom nie są to senne koszmary. Najzwyczajniej w świecie lubimy to. Rozwiązywanie problemów algorytmicznych jest naszym hobby i niewiele jest rzeczy, które sprawiają nam większą przyjemność niż upragniony komunikat „accepted”, kiedy nasz program przejdzie pomyślnie wszystkie testy. Dlatego co roku z niecierpliwością oczekujemy jesieni, kiedy to doroczne Mistrzostwa dostarczą nam niepowtarzalnej okazji do zweryfikowania naszych umiejętności.

Mistrzostwa porównać można do biegu na orientację w trudnym terenie – bez mapy. Na podstawie własnego doświadczenia musimy uszeregować problemy pod względem ich trudności, wybrać najprostsze i możliwie szybko, a przy tym

bezbłędnie, napisać rozwiązujące je programy. Nie jest to wbrew pozorom zadanie trywialne – uczestnicy zawodów nie znają testów, za pomocą których weryfikowana będzie poprawność programów, więc oszacowanie jakości tworzonych rozwiązań rzadko jest oczywiste. Wszystko odbywa się pod presją czasu, którego na zawodach nigdy nie jest zbyt wiele. Decyzje podejmować trzeba błyskawicznie, często kosztem ich trafności. Nawet najlepsi zwykle nie rozwiązują wszystkich problemów... Udział w Mistrzostwach doskonale wykształca podstawowy zestaw cech niezbędnych każdemu programiście. Podobnie jak weteran biegów na orientację nie zgubi się w wielkim mieście, tak i uczestnik zawodów bez problemów poradzi sobie w codziennej pracy.

Ważną cechą Mistrzostw jest ich zespołowość. Drużyna jest czymś więcej niż sumą swoich członków. Bez wzajemnego wyuczucia i zaufania trudno o sukces, swój zawdzięczamy zapewne po części temu, że spotykamy się nie tylko przy klawiaturze. Szczególnie niewdzięczną, a przy tym odpowiedzialną rolę ma kapitan drużyny. Do niego należą ostateczne decyzje w sytuacjach spornych, a ich skutki wpływają na wynik całego zespołu. Bez dobrego kapitana drużyna nie osiągnie wiele. Naszym kapitanem był w tym roku Jakub Białogrodzki. Czy się sprawdził? Wynik mówi sam za siebie.

Po zawodach – powrót do codzienności. Utrzymanie formy gwarantuje Informatyczna Liga Zadaniowa prowadzona przez mgr. Michała Małafiejskiego. A za rok – następne Mistrzostwa.

*Jakub Białogrodzki, Jacek Dąbrowski, Adrian Kosowski
Studenci Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki*

Przedsiębiorczy student

Ciekawą ofertę na spędzenie poniedziałkowego popołudnia 12 listopada br. zaoferował AIESEC. Tego dnia dokonano uroczystego otwarcia projektu VENTURE.

VENTURE to cykl bezpłatnych seminariów i warsztatów traktujących o tworzeniu małych przedsiębiorstw. Udział w nich mogą brać studenci, doktoranci, absolwenci i kadra profesorska. Uczestnicy mają szansę porozmawiać i wysłuchać referatów przedsiębiorców różnych modeli biznesowych (hi-tech, e-biznes, telekomunikacja, biotechnologia i inne).

Jeżeli pragnąłbyś kiedyś otworzyć własną firmę, to masz możliwość zaczerpnienia z wiedzy i doświadczenia ludzi, którym się w biznesie powiodło.

Organizatorzy próbują m.in. wskazać czynniki warunkujące rozwój młodej firmy, przekazać uczestnikom umiejętności tworzenia dobrego zespołu do pracy, przedstawiają rolę kontaktów w biznesie i metody pozyskiwania funduszy na rozpoczęcie działalności gospodarczej. Oprócz tego ogłoszony został konkurs na najlepszy pomysł biznesowy, który oceni specjalna komisja. Docenione projekty mogą liczyć na inwestycje kapitałowe dużych instytucji finansowych.

Jest to bardzo ciekawa inicjatywa studencka, która może pobudzić przedsiębiorczość wśród młodych i aktywnych Polaków. Więcej informacji można znaleźć na stronie internetowej: www.venture.edu.pl

Tomasz Klajbor

Student Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki

Nowy Parlament Studentów PG



Samorząd Studentów Politechniki Gdańskiej w kadencji 2001-2003

Do końca października na wszystkich wydziałach PG odbyły się wybory do Wydziałowych Rad Studentów. Reprezentujący swoich wyborców studenci udali się na pierwszy w kadencji 2001-2003 Zwyczajny Zjazd Parlamentu Studentów Politechniki Gdańskiej, który odbył się w dniach 23-25 listopada 2001r. Do najważniejszych punktów obrad należały m.in.: udzielenie absolutorium kończącemu kadencję zarządowi SSPG i wybór nowych władz. Nowym przewodniczącym SSPG został **Paweł Żołnierczyk (FTiMS)**. W skład Zarządu SSPG weszli: **Natalia Bednarska (Chemiczny)** i **Nicolas Massouh (ZiE)**.

Członkowie Wydziałowych Rad Studentów na poszczególnych Wydziałach Politechniki Gdańskiej:

WRS – Architektura: Dagmara Sowicz – przewodnicząca (dag@ds.pg.gda.pl), Magda Okrój – z-ca przewodniczącej, Paulina Duda, Tadeusz Nowakowski, Łukasz Baran;

WRS – BWiŚ: Aleksandra Garbac, Pater Ariel, Roman Redzimski;

WRS – Chemiczny (wrschem@2com.pl): Jakub Skrzypczak – przewodniczący, Tomasz Gotowicz – z-ca przewodniczącego (gotowicz@yahoo.com), Anna Bąkowska, Natalia Bednarska, Agnieszka Ogórkowska;



WRS – EiA: Radosław Kaczmarek – przewodniczący (radek@ds.pg.gda.pl), Karol Gierszewski – z-ca przewodniczącego, Arkadiusz Janicki, Damian Kuźniewski, Tomasz Skalik;

WRS – ETI: Marcin Hasse – przewodniczący (mhasse@ds.pg.gda.pl), Andrzej Grześ – z-ca przewodniczącego, Michał Behan, Tomasz Klajbor, Łukasz Rubanowicz;

WRS – FTiMS: Paweł Żołnierczyk – przewodniczący (cermit@rudy.mif.pg.gda.pl), Piotr Czerkawski, Maciej Demianowicz, Paweł Hoffmann, Łukasz Pudło;

WRS – IL (stuwil@wp.pl): Rafał Marszałek – przewodniczący, Marcin Dobies, Sławomir Biesek, Magdalena Krause, Agnieszka Łapińska, Szymon Mielczarek, Małgorzata Warnke;

WRS – Mechaniczny: Tomasz Jagielski – przewodniczący (jagtom@poczta.wp.pl), Monika Błaszczak, Robert Milczarek, Piotr Rakowski, Izabela Witczak;

WRS – OiO: Agnieszka Popok – przewodnicząca (agap@hoga.pl), Włodzimierz Matyskiewicz, Mariusz Safianowski, Przemysław Sulewski;

WRS – ZiE: Nicolas Massouh – przewodniczący, Paweł Krzyżak – z-ca przewodniczącego (pawel.krzyzak@wp.pl), Julia Lipińska, Katarzyna Majchrzak, Anna Żywicka.

Tomasz Klajbor

Student Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki

Szalone andrzejkki



Szaleństwa taneczne musimy odstawić przynajmniej na kilka tygodni. Wśród wielu ofert, kończących okres zabawy, także dla studentów, można było znaleźć kilka ciekawych propozycji. Mnie (zapewne nie będę bezstronny) najbardziej zainteresował „Andrzejkowy Bal Przebierańców”, który zorganizowali członkowie Samorządu z Wydziału Architektury i Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki.

Do tańców zachęcał nie tylko kolorowy plakat, ale także atrakcyjne nagrody, które zostały przyznane najbardziej ekstrawaganckim przebierańcom. Dla osoby, która oczarowała publiczność strojem i taneczną gracją, przewidziana była wycieczka w góry! Wszyscy, którzy udali się tego wieczoru do „Kwadratowej”, mieli niepowtarzalną okazję wysłuchać udanego koncertu grupy Sebastiana Makowskiego. Zabawę tę uświetniło przybycie wielu znakomitości naszej uczelni, a studenci tańczyli do białego rana.

Już nie mogę się doczekać następnej edycji „Balu Przebierańców”!

Tomasz Klajbor

Student Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki

Turniej Tańca

17 listopada. Sobota. Jak zazwyczaj w czasie weekendu Politechnikę Gdańską opanowali studenci studiów zaocznych, którzy, pragnąc podnosić swoje kwalifikacje i poszerzać zakres swoich umiejętności, stawili się na Uczelni po nowe wiadomości.

Nie wszystko jest jednak tak jak zawsze. W Gmachu Głównym już na parterze są lekko słyszalne dźwięki muzyki. Podążając w kierunku, z którego dobiegają, znajdujemy się na poziomie 300. Gdy docieramy na miejsce, oczom naszym ukazuje się hol, w nim poustawiane rzędy krzeseł, przygotowane stoliki dla sędziów, miejsce dla konferansjera, tablice prezentujące organizatorów, i olbrzymi napis: „Ogólnopolski Turniej Tańca Towarzyskiego o Puchar JM Rektora PG”. Największą część holu zajmuje jednak parkiet, na którym pary wykorzystują ostatnie chwile przed rozpoczęciem turnieju i próbują poprawić jeszcze pojedyncze elementy swoich choreografii.

Godzina 13:00. Zgodnie z ustalonym wcześniej programem, następuje rozpoczęcie turnieju. Po prezentacji uczestników, komisji sędziowskiej oraz organizatorów, pary przystępują do rywalizacji. Od tej pory każdy gest, krok, ruch są bacznie obserwowane przez 7-osobową komisję sędziowską. Po zakończeniu zmagania uczestników w kategorii 10-11 lat, na parkiet wychodzą starsze pary, wśród których gospodarze mają swoich reprezentantów. Wspaniale spisała się para Krzysztof Puszek i Iwona Rożej, reprezentująca Akademicki Klub Taneczny Politechniki Gdańskiej „Contra”; dzięki nim puchar dla najlepszej pary w kategorii powyżej 15 lat kl.E pozostał na Politechnice Gdańskiej. W drugiej spośród rozegranych w tej części turnieju „dorosłych” kategorii – powyżej 15 lat kl.C – Politechnikę Gdańską reprezentowały aż trzy pary, plasując się w obu stylach na czołowych miejscach.

Część pierwsza dobiegła końca. Organizatorzy dobrze wywiązali się ze swoich obowiązków, turniej przebiega szybko i sprawnie. Nie zawiodły też pary, które licznie stawiały się do rywalizacji, ani publiczność, która zapełniła wszystkie miejsca i zagrzewała swoich ulubieńców do walki. Dzięki wspólnym wysiłkom ze strony Politechniki Gdańskiej, Akademickiego Klubu Tanecznego Politechniki Gdańskiej „Contra” i Gdańskiego Towarzystwa Tanecznego udało się zorganizować wspaniały turniej. Jednak to nie koniec pracy, przed nami jeszcze część popołudniowa.

Godzina 17:00. Rozpoczynamy drugą część turnieju. Swoją obecnością zaszczycała nas Pani Prorektor ds. Kształcenia Alicja Konczakowska, prof. nadzw. PG, która wręczy zwycięzcom okazały, kryształowy Puchar JM Rektora PG. Liczba zgromadzonych widzów przeszła najśmielsze oczekiwania, nie dla wszystkich wystarczyło miejsc siedzących, ale kto późno przychodzi, ten sam sobie szkodzi. Specjalne miejsca zostały też przygotowane dla „wtajemniczonych”. Studenci najlepiej wiedzą, jak się sprawnie poruszać po terenie Uczelni, oni też zajęli miejsca na poziomie czterysta, skąd doskonale widać cały hol. Część spośród nich zrezygnowała z zajęć lub opuściła wykład, aby móc przyjrzeć się rywalizacji par tanecznych.

Zmagania w części popołudniowej rozpoczęła „mała studentka” kategoria do 9 lat. W tej grupie stanęło do rywalizacji 21 par, które dzięki swojej naturalności i spontaniczności emanują niezwykłą energią, czym nierzadko przyciągają więcej uwagi niż lepiej wyszkolone technicznie, starsze pary.

Po dziewięciolatkach, pary stanęły do walki o miano najlepszej w okręgu pomorskim w kategorii 16-18 lat, rywalizując



jednocześnie o Puchar JM Rektora PG. Zgromadzone w tej grupie pary to ścisła krajowa czołówka. Wiele spośród nich miało już okazję reprezentować Polskę poza granicami kraju, w tym także na turniejach rangi Mistrzostw Świata. Te fakty najlepiej świadczą o poziomie sportowym zorganizowanego turnieju. Zmagania w tej kategorii dostarczyły ogromnych emocji i wrażeń. Oczywiście w tej kategorii nie zabrakło także reprezentantów Akademickiego Klubu Tanecznego Politechniki Gdańskiej „Contra”.

Po zakończeniu rywalizacji turniejowej, najlepsza para – Karol Siciński i Natalia Wojdak – otrzymała Puchar JM Rektora PG z rąk Pani Prorektor ds. Kształcenia Alicji Konczakowskiej, prof. nadzw. PG, i jeszcze raz w indywidualnym pokazie utwierdziła wszystkich w przekonaniu, że to właśnie im należała się główna nagroda.

Wysiłek i praca włożone w organizację Ogólnopolskiego Turnieju Tańca Towarzyskiego o Puchar JM Rektora PG owocowały przygotowaniem imprezy, która zarówno pod względem organizacyjnym, jak i sportowym, dorównała najlepszym turniejom organizowanym w kraju.

*Bartosz Bukowski
Student Wydziału Zarządzania i Ekonomii*

Akademicki Klub Taneczny Politechniki Gdańskiej „Contra” składa specjalne podziękowania na ręce władz Politechniki Gdańskiej za umożliwienie zorganizowania turnieju, który po kilkuletniej przerwie na nowo zapisał się w kalendarzu ogólnopolskich imprez tanecznych.

SZTUKA PLANOWANIA

Każde działanie powinno być dobrze zaplanowane. Tego zdania zapewne jest większość ludzi poważnie traktujących jakąkolwiek formę aktywności. Oczywiście są zwolennicy improwizacji, ale nawet improwizacja planowana jest znacznie bardziej korzystna dla społeczności. Zarówno w skali mikro, jak i makro.

W warunkach uczelni, czy wydziału, to właśnie skala makro, która wymaga rozwiązania skomplikowanych łamigłówek w skali mikro. Wiadomo. Realizacja procesu nauczania wymaga uwzględnienia takich elementów struktury, jak rodzaje studiów, kierunki, roczniki, grupy dziekańskie, makrospecjalności, specjalności i profile dyplomowania. Tysiące studentów i tysiące godzin różnorodnych zajęć. Setki nauczycieli akademickich. Jak to wszystko zorganizować, mając limitowaną 24-godzinną dobę i bazę lokalową? Jak pogodzić często sprzeczne interesy? Przyznaję, że to diablo skomplikowana łamigłówka, przy której „kostka Rubika” to ledwie rozrywka. A tym właśnie zajmuje się na Wydziale Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki Politechniki Gdańskiej, od lat zresztą, z dobrym skutkiem mgr inż. Lechosław Skupny.

Należy tu dla porządku wymienić kilka obszarów działania. Oczywiście w inżynierskim skrócie. Bieżąca praca odbywa się w stałym kontakcie ze studentami i pracownikami. Obejmuje ona: przyjmowanie interesantów, udzielanie informacji na temat planów i programów, rezerwację sal, realizację podziałów na podkierunki i specjalności oraz współpracę z katedrami Wydziału i Działem Kształcenia.

Znacznego nakładu pracy wymaga przygotowywanie:

- ♦ rozkładów zajęć i obciążeń sal,
- ♦ harmonogramów sesji,
- ♦ danych do wpisów do indeksów i protokołów,
- ♦ podziałów na podkierunki, makrospecjalności, specjalności i profile dyplomowania.

Kolejna sprawa, to: przyjmowanie i sprawdzanie indywidualnych planów studiów, korekty i aktualizacja standardowych planów studiów. Trzeba także przygotować oferty przedmiotów obieralnych i przeprowadzić zapisy wśród studentów. Ponadto należy określić różnice programowe studentom



Wykłady na Wydziale ETI bywają bardzo interesujące
(fot. T. Chmielowiec)

powtarzającym rok i urlopowanym. Następne zadanie to przyjmowanie i sprawdzanie projektów i sprawozdań dydaktycznych. Cały złożony proces dydaktyczny musi być opisywany, stanowić przejrzystą dokumentację dla potrzeb władz Wydziału, a także Uczelni. Każdy student posiada indeks, do którego trzeba dokonywać odpowiednich wpisów. Są oczywiście także protokoły zaliczeń. To wszystko wymaga czasochłonnego przygotowania danych. Ale musi to następować w ustalonym rytmie, zgodnie z przyjętymi terminami. Odstępstwa od tych zasad powodują oczywiste spiętrzenia, natłok pracy i niepotrzebny zamęt.

W 1992 roku wdrożony został komputerowy system SOD – System Obsługi Dziekanatu, ogromnie usprawniający pracę z rosnącą liczbą dokumentów. Nie jest jednak maszyną typu perpetuum mobile. Zatem nie działa sam z siebie. Wymaga stosownych zabiegów.

Trzeba dodatkowo wspomnieć o zabiegach związanych z podziałami na specjalności i podkierunki. Nie wystarcza tu zwykła arytmetyka. To jest kolejne równanie z wieloma niewiadomymi. Na jego rozwiązanie za każdym razem trzeba znaleźć czas. Bacząc, by efekt był zadawalający dla jak największej liczby uczestników. Warunki brzegowe są ogólnie znane. Baza wydziału, budynek, liczba sal, laboratoriów, możliwości realizacyjne katedr itd. W tych ramach trzeba pomieścić stale rosnącą liczbę studentów i zmieniające się elementy programu. A to proces dynamiczny, rzecz by można: goniący czas. Życie dyktuje wciąż nowe potrzeby i wyzwania.

Niezależnie od rutynowej codzienności trzeba prowadzić prace rozwojowe. Obejmują one:

- ♦ projektowanie korekt komputerowego systemu SOD oraz testowanie wprowadzanych zmian,
- ♦ przygotowanie i konsultacje tematów prac dyplomowych rozwijających komputerowy system obsługi SOD,
- ♦ ujednoczenie i uproszczenie systemu przygotowania projektów i sprawozdań dydaktycznych,
- ♦ przeniesienie programu wspomagającego układanie rozkładu zajęć do środowiska Windows oraz ciągła rozbudowa i testowanie tego programu,
- ♦ przygotowanie sieciowego systemu akwizycji danych z katedr wydziału,
- ♦ oraz inne niezbędne prace rozwojowe.

Powyżej zapisano w przysłowiowym inżynierskim języku to, co stanowi istotę, ogólnie mówiąc, planowania rytmu studiów bardzo licznej społeczności akademickiej na Wydziale Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki.

Pan Lechosław Skupny opanował sztukę łączenia bardzo wielu elementów w spójny program, który skrótowo nazywany jest „planem”. Dreczy mnie pytanie – jak można temu skomplikowanemu wyzwaniu podołać? Czy zatem Pan Lechosław Skupny jest „planistą” doskonałym, czy raczej czarnoksiężnikiem, który posiadał tajemną sztukę godzenia bardzo różnych interesów, przy niełatwych warunkach brzegowych? Czy ma wystarczające instrumentarium i warunki do tej pracy? Czy nie powinna to być wyspecjalizowana grupa planistów?

Zadałem pytanie; gdzie szukać na nie odpowiedzi?

Mieczysław Serafin
Wydział Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki

Wiarygodność finansowa zamawiającego czy oferenta?

W warunkiem udziału w postępowaniu o zamówienie publiczne jest złożenie przez dostawcę lub wykonawcę m. in. oświadczenia, że znajduje się on w sytuacji zapewniającej wykonanie zamówienia.

Zawierając umowę o dostawę, zamawiający zobowiązany jest zatem tak zredagować jej warunki, aby oferent zobowiązany był do wykonania zamówienia bez zaliczek finansowych (skoro oferent oświadczył, że znajduje się w sytuacji finansowej zapewniającej wykonanie zamówienia).

Nie stanowi zaliczki zapłata za odebraną przez zamawiającego oznaczoną w umowie część zamówienia. Brak oznaczenia w umowie odbiorów częściowych uniemożliwia uznanie faktur wystawionych przez oferenta nawet w sytuacji, gdy przed upływem terminu wykonania całej umowy nastąpi odbiór np. wykonanych robót częściowych. W tej sytuacji wydatkowanie środków publicznych jest nienależne, ponieważ nie było wymagalne.

Czyn o tym charakterze stanowić będzie naruszenie dyscypliny finansów publicznych wg kwalifikacji określonej w art. 138 ust. 1 pkt. 3 ustawy o finansach publicznych i jest kwalifikowany jako przekroczenie uprawnień do dokonania zmian w planie jednostki budżetowej (jeśli nie ma aktualnego planu, to również czyn zostanie zakwalifikowany wg powyższego przepisu jako naruszenie dyscypliny finansów publicznych).

Szczególnym przypadkiem wykonania umowy o zamówienie publiczne jest **umowa prenumeracyjna**.

Ustawa o zamówieniach publicznych w art. 72 ust. 1 stanowi, że do umów w sprawach zamówień publicznych stosuje się przepisy „Kodeksu cywilnego”, jeżeli przepisy ustawy nie stanowią inaczej.

W kwestii umów prenumeracyjnych przepisy ustawy o zamówieniach publicznych nie stanowią inaczej. Mało tego – w „Kodeksie cywilnym” umowa prenumeracyjna „nie została nazwana” (tzw. umowa nienazwana). Wobec umów nienazwanych stosuje się ustalenia judykatury bazującej na wzorach znanych i rozpowszechnionych. Do takich umów należy umowa prenumeracyjna (abonentowa, subskrypcyjna), która „charakteryzuje się tym, że dotyczy towarów dostarczanych sukcesywnie w określonym czasie, za cenę płaconą **przed** uzyskaniem rzeczy kupionych – zwykle przy zawarciu umowy – w całości lub w części.” (Zbigniew Radwański, Janina Panowicz-Lipska – „Zobowiązania – część szczegółowa” – C.H. Beck 3 wydanie – str. 60).

Z uzasadnienia wyroku Sądu Antymonopolowego z dn. 30.10.1997 r. wynika konieczność zabezpieczenia przez wydawcę swoich roszczeń wobec kontrahentów przed realizacją umowy, ponieważ poniósł on zasadnicze koszty dla jej realizacji przed otrzymaniem projektu umowy. Zabezpieczenie ich zwrotu jest wymagalne przed podpisaniem umowy, jako warunek ustalenia warunków prenumeraty wg zasady swobody zawierania umów. U podstaw znajduje się dokonane rozpoznanie możliwości sprzedaży i produkcja ukształtowana na poziomie pozyskania ograniczonych ilości zleceń.

Zatem z przyczyn gospodarczych – a nie z powodu braku wiarygodności finansowej – sprzedaż prenumeracyjna charakteryzuje się płaceniem ceny przed uzyskaniem rzeczy. Ten stan – jak wyżej wykazano – uzasadniony jest obecnie obowiązującą linią orzecznictwa, poglądami przedstawicieli dok-

tryny prawniczej oraz praktyką gospodarczą, która dąży do ograniczenia ryzyka oferenta.

Przy zamówieniach publicznych o wartości powyżej 30 tys. Euro oferent zobowiązany jest do złożenia zaświadczenia potwierdzającego jego wiarygodność finansową; w razie stwierdzenia braku spełnienia warunku postawionego przez zamawiającego, umowa nie może być zawarta. W przypadku zgodności zaświadczeń z wymogami zamawiającego – zamawiający zobowiązany jest do zawarcia umowy, pod rygorem poniesienia strat, jakie poniósł oferent z powodu nieuzasadnionej zmiany warunków zamówienia.

Jednak prenumerata nie może być opłacona w terminie wcześniejszym niż jeden miesiąc przed rozpoczęciem wykonania zamówionej usługi lub dostawy. Wynika to z art. 5 ust. 1 pkt. 6 ustawy z dnia 24 lutego 1990 roku o przeciwdziałaniu praktykom monopolistycznym. Wg tego przepisu pobieranie przez kolportera pełnej zapłaty za usługi świadczone kontrahentom w czasie wyprzedzającym o ponad miesiąc te usługi i wykorzystywanie uzyskiwanych w ten sposób środków do finansowania własnej działalności gospodarczej jest nieuzasadnioną korzyścią. Kary z tego tytułu sięgają poziomu 100 000 zł.

Z przyjmowaniem uciążliwych warunków umowy mamy do czynienia np. przy zgłaszanym wymogu oferentów dostarczających prasę amerykańską. Żądają oni bowiem przedpłaty na co najmniej 3 miesiące przed rozpoczęciem dostaw. Oznacza to, że amerykański dostawca finansuje naszymi środkami swoją działalność gospodarczą, a my – kosztem budżetu państwa – pozwalamy mu unikać pozyskiwania wysokooprocentowanych kredytów bankowych.

Akceptacja takich warunków przez zamawiających nie jest sprzeczna z ustawą o zamówieniach publicznych, ale może okazać się sprzeczna z ustawą o finansach publicznych i prawem międzynarodowym. Stan ten winien być ustalony w momencie akceptacji umowy przez radcę prawnego.

Zasada swobody zawierania umów nie oznacza bowiem pełnej dowolności umawiających się stron i nie może oznaczać zarówno odstąpienia od respektowania cech charakterystycznych umowy prenumeracyjnej stanowiących o jej istocie, jak również żądania przedpłaty z wyprzedzeniem wskazującym na praktyki monopolistyczne.

Żądanie przez zamawiającego, aby wydawca (kolporter) był skłonny opóźnić termin uiszczenia raty prenumeracyjnej w zamian za uzyskanie większej ilości punktów w ocenie jego oferty jest w dalszym ciągu akceptowaniem przedpłaty, ale bez skutku dodatkowej korzyści w postaci odłożenia na innych potrzeby zaciągnięcia kredytu, przy braku własnych środków finansowych.

W krańcowym przypadku zamawiający nie otrzyma oferty i zostanie zmuszony do zmiany warunków zamówienia.

Reasumując – to sprawa zamawiającego, w jakim stopniu opanował umiejętność rozpoznania rynku i osiągnięcie rezultat w postaci najkorzystniejszej oferty. Jednak brak respektowania charakteru umów może nie tylko zakończyć się brakiem oferty, ale naruszeniem zasad wynikających z obowiązującego prawa.

*Ryszard Burchard
Główny specjalista
ds. zamówień publicznych*

Jak ocenić ryzyko pracy przy komputerze (6)

Klawiatura

3.1. Klawiatura powinna stanowić osobny element wyposażenia podstawowego stanowiska pracy.

Klawiatura jest podstawowym urządzeniem używanym przez operatora do wprowadzania danych do systemu komputerowego, najczęściej połączonym przewodem z jednostką centralną komputera. Prawidłowość konstrukcji klawiatury w znacznym stopniu decyduje o szybkości wprowadzania danych, liczbie popełnianych błędów, wydajności pracy oraz stopniu obciążenia kończyn górnych.

Wymagane jest, aby klawiatura stanowiła osobny element wyposażenia stanowiska, tzn. aby nie była mechanicznie („na sztywno”) połączona z obudową monitora, co nie jest zalecane z uwagi na wymuszanie nienaturalnego ułożenia rąk na klawiaturze i zwiększone trudności w obserwacji ekranu.

Najczęściej spotykaną klawiaturą jest typ QWERTY, czyli taka, która w najwyższym rzędzie klawiszy literowych, patrząc od lewej strony, ma litery: Q, W, E, R, T, Y. Obsługa klawiatury najoptymalniej łączy się z niedogodną pozycją rąk – nadmiernym odchyleniem łokci w stawie nadgarstkowym. Zapewnienie właściwej głębokości stołu oraz odpowiedniej długości kabla łączącego klawiaturę z komputerem znacznie ułatwia jej wygodne ułożenie, stosownie do zadań i potrzeb użytkownika.

3.2. Konstrukcja klawiatury powinna umożliwiać użytkownikowi przyjęcie pozycji, która nie powodowałaby zmęczenia mięśni kończyn górnych podczas pracy. Klawiatura powinna posiadać w szczególności:

a) możliwość regulacji kąta nachylenia w zakresie 0-15°

Kąt nachylenia klawiatury powinien dać się regulować przy pomocy wychylnych nóżek, znajdujących się pod obudową. Kąt nachylenia należy dobrać tak, aby przy pracy dłoń i palce były ułożone w naturalny sposób, bez nadmiernego odchylenia w górę.

Przy pisaniu nadgarstki powinny być ułożone możliwie prosto, a przedramiona ułożone równoległe do powierzchni stołu. Aby to uzyskać, należy stosownie do wysokości stołu wyregulować wysokość krzesła i pochylenie klawiatury, a tym samym zapewnić swobodne ułożenie tułowia wraz z przedramionami, przy jednocześnie dobrej widoczności obrazu na ekranie monitora.

b) odpowiednią wysokość – przy spełnieniu warunku, aby wysokość środkowego rzędu klawiszy alfanumerycznych z literami A, S, ..., licząc od płaszczyzny stołu, nie przekraczała 30 mm dla przynajmniej jednej pozycji pochylenia klawiatury.

Klawiatura powinna mieć odpowiednią wysokość – przy spełnieniu warunku, aby wysokość środkowego rzędu klawiszy alfanumerycznej z literami A, S, ..., licząc od płaszczyzny stołu, nie przekraczała 30 mm dla przynajmniej jednej pozycji pochylenia klawiatury. Przy pisaniu ręce powinny unosić się lekko nad klawiaturą, aby nie powodować nadmiernego unoszenia dłoni i palców w górę.

Zaleca się, aby oprócz zapewnienia wymaganej wysokości klawiatury i kąta jej nachylenia, pomiędzy klawiaturą a krawędzią stołu było odpowiednio dużo miejsca dla swobodnego podparcia nadgarstków i ewentualnie przedramion.

3.3. Powierzchnia klawiatury powinna być matowa, a znaki na klawiaturze powinny być kontrastowe i czytelne.

Powierzchnie klawiszy oraz klawiatury powinny być matowe, nie powodujące odbić i oślnię. Najczęściej stosuje się klawiatury w pastelowym kolorze, z czarnymi symbolami znaków. Zaleca się, aby oznakowanie klawiszy było odpowiednio trwałe i nie ścierało się przy intensywnym użytkowaniu. Nie zaleca się stosowania klawiatur w kolorze ciemnym, z opisem symboli w kolorze białym.

Klawiatura nie powinna mieć ostrych narożników ani krawędzi, jak również nie powinna być wykonana z tworzywa powodującego wrażenie nieprzyjemne w dotyku.

Wyposażenie dodatkowe

Mysz – stosowana dla uzupełnienia pracy z klawiaturą, powinna mieć owalny kształt i dobrze leżeć w dłoni. Mysz powinna służyć się podkładce, a kabel przyłącza myszy powinien zapewniać swobodną pracę, tak aby nadgarstek użytkownika mógł swobodnie spoczywać na powierzchni stołu. Szybkość ruchu kursora myszy na ekranie powinna być dobrana do wymagań programu, a ustawienia myszy powinny zapewniać pracę dla obsługi lewo lub praworęcznej. Rolki i kulka wewnątrz myszy powinny być czyszczone raz w miesiącu, co zapewnia gładki ruch kursora po ekranie.

Drukarka – stosowana na stanowisku pracy powinna zapewniać zadowalającą jakość wydruku przy niskim poziomie hałasu i emisji substancji szkodliwych. Drukarka powinna posiadać jeden z atestów, podobnie jak monitory. Przyciski sterujące drukarką powinny się znajdować z przodu lub z góry obudowy, a ładowanie papieru powinno odbywać się z przodu lub z góry drukarki. Również wymiana tonera lub atramentu powinna być łatwa, a na obudowie dru-

karki powinien się znajdować rysunek instruktażowy, wskazujący jak należy to zrobić. Drukarka powinna znajdować się na osobnym stole, a drukarka sieciowa w oddzielnym, dobrze wietrzonym pomieszczeniu.

Skaner – umożliwiający przenoszenie do komputera informacji z dokumentów papierowych, stanowi coraz popularniejsze wyposażenie stanowisk biurowych. Skaner powinien być umieszczony na osobnym stoliku, podobnie jak drukarka, lub z boku stanowiska pracy. Umieszczenie skanera powinno umożliwiać użytkownikowi wkładanie i wyjmowanie skanowanych dokumentów bez konieczności wstawiania lub silnego wychylania się z fotela.

Stół

4.1. Konstrukcja stołu powinna umożliwiać dogodne ustawienie elementów wyposażenia stanowiska pracy, w tym zróżnicowaną wysokość ustawienia monitora ekranowego i klawiatury.

Konstrukcja stołu powinna uwzględnić rodzaj pozycji ciała przyjmowanej przez pracownika. Wyróżnia się trzy podstawowe pozycje przy pracy z komputerem: siedzącą, stojącą i naprzemienną. Dobrze zaprojektowane stanowisko przeznaczone do pracy w pozycji siedzącej powinno zapewnić stabilne podtrzymanie ciała użytkownika, umożliwiające swobodę wykonywania ruchów, efektywną realizację zadania i odczucie wygody.

Tzw. „stoły komputerowe” na kółkach nie spełniają wymagań ergonomii, gdyż mają zbyt małą powierzchnię, na ogół nieodpowiednią wysokość i brak jest przy nich miejsca na nogi użytkownika z uwagi na półkę dla drukarki umieszczoną zwykle w dolnej części stołu. Klawiatura znajduje się na wysuwanej półce, przez co zwykle nie ma odpowiedniego podparcia dla nadgarstków. Brak jest miejsca na ułożenie dokumentów i myszy. Takie meble nadają się jedynie do przewożenia zestawów komputerowych lub jako miejsca dorywczej obsługi komputera.

Stojąca pozycja do pracy z komputerem jest zalecana tylko wtedy, gdy może być przyjmowana naprzemiennie z pozycją siedzącą. „Pulpity”, czyli wysokie stoły-lady do obsługi komputera w pozycji stojącej spotyka się często w sklepach, magazynach czy fabrykach. Mogą być stosowane pod warunkiem, że ich wysokość wynosi 1050-1100 mm, co zapewnia swobodną obsługę klawiatury i myszy, a pracownik ma do dyspozycji wysoki stółek lub krzesło do okresowej zmiany pozycji stojącej na siedzącą. Pulpity można stosować tylko w sytuacjach, gdy obsługa komputera nie jest głównym zajęciem pracownika, a co najmniej połowę dobowego czasu pracy spędza on przy innych czynnościach.

4.2. Szerokość i głębokość stołu powinna zapewniać:

a) wystarczającą powierzchnię do łatwego posługiwania się elementami wyposażenia stanowiska i wykonywania czynności związanych z rodzajem pracy.

Odpowiednio duża powierzchnia stołu ma zapewnić wystarczającą ilość miejsca na ułożenie potrzebnych do pracy dokumentów i przedmiotów, zwłaszcza że duża część stołu jest zajmowana przez sprzęt komputerowy (monitor, klawiaturę, drukarkę itp.).

Zaleca się następujące wymiary stołu:

- szerokość (dłuższy wymiar) stołu: minimum 1200 mm,
- głębokość (krótszy wymiar) stołu: minimum 800 mm.

b) ustawienie klawiatury z zachowaniem odległości nie mniejszej niż 100 mm między klawiaturą a przednią krawędzią stołu.

Odstęp ten jest konieczny, aby użytkownik mógł oprzeć nadgarstki i przedramiona na powierzchni stołu, co przeciwdziała zmęczeniu rąk, a przy dłuższej pracy zmniejsza liczbę popełnianych błędów klawiszowych.

Odpowiednio duża głębokość stołu powinna umożliwić spełnienie wyżej wymienionego wymagania oraz dodatkowo ma zapewnić pod stołem miejsce na swobodne ułożenie nóg.

c) ustawienie elementów wyposażenia w odpowiedniej odległości od pracownika, to jest w zasięgu jego kończyn, bez konieczności przyjmowania wymuszonych pozycji.

Ustawienie często używanych elementów wyposażenia w zasięgu kończyn górnych użytkownika zapewnia wygodę i niewielki wysiłek potrzebny do ich obsługi. W przypadku konieczności częstego sięgania do elementów wyposażenia umieszczonych poza zasięgiem ramion, występuje zwykle silne wychylenie tułowia z fotela do przodu lub na boki, co nie jest wskazane, ani zbyt bezpieczne.

Zaleca się, aby całe wyposażenie pomocnicze stanowiska pracy (np. krzesła, stoły, podnóżki) posiadało możliwość dopasowania do wymagań zadania i do indywidualnych potrzeb użytkownika, najlepiej poprzez płynną regulację wymiarów i wzajemnego usytuowania względem innych elementów wyposażenia. Cdn.



Jerzy Grabosz, Marcin Sikorski
Wydział Zarządzania i Ekonomii
(rys. K. Pokrzywnicka)

TOWARZYSZ STUDENT MUZIAK (cd.)

Często zadaję sobie pytanie, skąd biorą się tacy właśnie Muziakowie? Przecież ukończyli średnią szkołę – to znaczy uzyskali świadectwo dojrzałości. Przecież musieli przeczytać choćby kilkanaście książek, obejrzeć kilka sztuk teatralnych, filmów... Przecież musieli wysłuchać sporej ilości wykładów: historii, nauki o świecie, filozofii, religii, geografii... Przecież – ucząc się – musieli poznać kilka powikłanych życiorysów sławnych ludzi. A jednak niewiele z tego pojęli. Tylko tyle, że ich rozumienie świata jest prawidłowe, jedynie słuszne. Inna interpretacja rzeczywistości jest błędna, fałszywa, ba, wroga. Zapewne owi Muziakowie, to twory odpowiedniej edukacji: może rodzinnej i szkolnej. Ojciec Muziak przekazał synowi swoje twarde widzenie świata. Nauczyciel Muziak podbudował odpowiednim doбором lektur, filmów, sztuk... Z historii, filozofii nauczyciel wybierał tylko to, co służyło za budulec niezniszczalnych fundamentów. I tak powstała budowla przypominająca fortecę. Miejsce drzwi, okien, balkonów, tarasów... zajęły wąskie szczeliny, stalowe zasuwki i rygle. Muziak nie ma wątpliwości, nie jest sceptykiem. Dla niego pojęcie względności jest abstrakcją. Muziak nie dyskutuje. Muziak podnosi głos i grzmi tubalnie.

Mocnymi punktami oparcia dla argumentów są: towarzysz Lenin, towarzysz Stalin, Marks, Engels i partia. Muziak najwłaściwiej interpretuje słowa: obowiązek, rozkaz, zadanie, agitacja, walka proletariatu i zwycięstwo słusznej idei. Świat wrogów Muziaka jest zepsuty, chory, zgnięty, pozbawiony perspektyw.

Cały problem w tym, Panie, że w towarzystwie Muziaków nie można skrytykować żadnego Muziaka. Jakakolwiek krytyka ewidentnie, widocznie, namacalnie głupiego Muziaka jest przyjmowana jako wroga krytyka wszystkich Muziaków, ich ojczyzny, ich idei, ich prawdy, osiągnięć i zamierzeń.

Budowla ideologiczna Muziaków posiada kształt piramidy. Każdy stopień w górę, to jednocześnie przyrost wartości i ważności. Na samym szczycie zasiada Muziak nieomylny. Poniżej nieomylnego – Muziakowie prawie nieomylni. Nietykalności Muziaków bronią odpowiednie urzędy: komitety, milicja, wojsko, sądy – po prostu władza.

Nauczyłem się przemykać między Muziakami. Słuchać, nie słuchając ich gładzenia. Potwierdzać w słowach i jednocześnie zaprzeczać w myślach. Chwalić w oczy ich mądrość, a w duchu kpić z ich głupoty. Wypełniać narzucone obowiązki, udając zaangażowanie i entuzjazm. Pilnie wypatruję pęknięć w ich rozumowaniu, w które delikatnie, w granicach rozsądku, wciskam małe kliny rozpierające.

Muziak jest alergicznie uczulony na słowo „wątpliwość”. Kiedyś student Chomik wyraził głośno swoje wątpliwości na temat wykładu adiunkta. Oto riposta towarzysza studenta Muziaka:

- Czy wątpliwości studenta Chomika wynikają z niedosłyszania słów adiunkta, niedouczenia, pospolitego warcholstwa, czy też kieruje nim sprytnie manipulowanie wrogich ośrodków zgniętej reakcji kapitalistycznej? Tego typu wątpliwości budzą uzasadnione podejrzenia. Student nie wierzy w słowa adiunkta, profesora, sekretarza. Pytam więc, z jakiego powodu? Zbyt często nastawia student ucho na podszepty wrogiej nam propagandy. Czyż nie uczy nas historia



klasy robotniczej, do czego prowadzą tego typu wątpliwości? Po tych na pozór drobnych wątpliwościach przyjdzie kolej na rewizję teorii marksistowskiej, słów Lenina, towarzysza Stalina... To są pierwsze kroki, które prowadzą prosto na pozycje naszych śmiertelnych wrogów, do obozu reakcji antykomunistycznej. Tam właśnie czekają na takich z wątpliwościami. Sprawę należy przeanalizować bez niedomówień. Musimy dojść do źródeł takiej postawy. Widzę na ustach niektórych kolegów drwiące uśmieszki. Chcą powiedzieć, że przesadzam. Otóż nie przesadzam! Mam na to dowody. Kto wypisuje na ścianach ubikacji antyrządowe hasła? Kto bezczęści imiona naszych przywódców? Kto podrywa autorytet naszych profesorów, adiunktów? Kto wypisuje nad sedesami, nad pisuarami niecenzuralne wierszyki pod ich adresem? Kto, pytam? Przyjaciele socjalizmu?

Domyślam się. Ktoś zarzuci mi, Panie, konformizm. Nie przejmuję się tym. Przecież nie pierwszy raz w dziejach ludzkości obrodziło Muziakami. Prawie wszystkie ideologie i religie wznosiły swoje hierarchiczne piramidy na gromadzie Muziaków. I wszystkie te „niezniszczalne budowle” po czasie rozsypywały się. Najczęściej owe gigantyczne konstrukcje rozpadały się w momencie najmniej przewidywanym. Za sprawą – o ironio losu – drobnych defektów. Z ogromnej budowli ktoś wyjął jeden kamień i oto przemyślna konstrukcja gmachu runęła.

Nie inaczej będzie z obecną twierdzą Muziaków.

KRZYWA POSTĘPU LUDZKOŚCI

Po wypiciu jednego, dwóch kufelków piwa, przy wschodzącym księżycu – spacerując uliczkami wypalonego miasta – można, Panie, puszczać wodze fantazji i zastanawiać się nad meandrami rozwoju ludzkości.

Opuszczając bar „Pod żaglami”, stałem przed obrazem rozległego rumowiska śródmieścia. I niemal za każdym razem zadawałem sobie te same pytania. Jak mam rozumieć otaczającą mnie rzeczywistość? Jakie wnioski powinienem wysnuć, stojąc pośród tysięcy rozbitych, wypalonych domów? Ale pytanie pozostawało bez odpowiedzi. Próbę odpowiedzi odkładałem na później. Na inną chwilę.

W tej chwili, Panie, magister inżynier stawia jeszcze raz odwieczne pytanie: Czym jest postęp ludzkości? Oto jedna z możliwych odpowiedzi: „Postęp ludzkości nie jest funkcją wprost proporcjonalną do czasu. Jest to krzywa nieregularna, wykazująca szczyty i upadki. Średnia tej krzywej na przestrzeni tysiącleci, na przekór pesymizmowi, wciąż – chociaż bardzo powoli – wznosi się”.

Właśnie nad gruzami śródmieścia – świadectwem upadku krzywej postępu ludzkości – wypłynął księżyc. Wypłynął złotą tarczą ponad sterczące kikuty wypalonych kamienic. Obrębił srebrem blasku puste prostokąty okien w płaskich fasadach podpartych belkami.

Tysiąc wierszy o rozbitych miastach, Panie, nie ochronił nawet jednej z tych kamienic. Wiersze są jak drżące ręce starca, szukają daremnie oparcia u spieszących. Ile chwytających za serce wierszy trzeba by wyszeptać, wykrzyknąć na cztery strony świata, żeby zawrócił chociaż jeden bombowiec lecący na miasto-cel?

Księżyc widział rumowiska, dogasające resztki kolejnych cywilizacji. Oglądał długo oczekiwane narodziny faraonów i uroczyste zamykanie

ich w złotych sarkofagach, pod wysoką stertą – ułożonych w piramidy – kamieni. Widział genialnych wodzów robiących kupkę w majteczki i żołnierzy w okopach zamarzających na śmierć. Widział wielkie pochody, tłumy ludzi gnanych głodem, namiętnością, ideą... Czy przemoc, gwałt, mord, wojna, budowanie w mozole i niszczenie w obłędzie to jedyne możliwości człowieka rozumnego?

W szklanych domkach, dosłownie jak w bajce, mogłaby ludzkość żyć, tworzyć i radować się, gdyby była kierowana przez ludzi inteligentnych, rozumnych i moralnych!

Oto moja chwila, mój okruczeństwo czasu na planetce Ziemi. Zrozumiałem sporo praw rządzących przyrodą, ludźmi, techniką... Zwłaszcza regułami obowiązującymi w świecie techniki. Czy moją przyszłą pracą, moją niespokojną wyobraźnią przyczynię

się do wzrostu krzywej postępu, czy też jej spadku? Zapewne mój wysiłek w miliardowym wysiłku będzie tak znikomy, że nawet przy użyciu najpotężniejszych mikroskopów nie da się ocenić jego skutków. W technologii jest jeszcze wiele obszarów ledwie dotkniętych, w fizyce – tematy pozostające w sferze domysłów.

Wzrost lub spadek krzywej będzie w znacznej mierze zależał od myśli i obszaru potrzeb ludzkich. Możliwości techniki to straszliwa, tragiczna pułapka dla ludzi głupich, pozbawionych wyobraźni, niemoralnych.

Edward Kaczmarek
Absolwent Politechniki Gdańskiej

* Powyższy tekst jest fragmentem książki autora pt. „Magister”, którą przekazał on Redakcji do dowolnego wykorzystania.

Poniższy artykuł stanowi skróconą wersję referatu przygotowanego na zaliczenie przedmiotu Filozofia ekologiczna, prowadzonego w semestrze letnim 2000/2001 na Wydziale Zarządzania i Ekonomii przez dr. hab. Stefana Zabieglika.

Hipoteza Gai

Wszystkie organizmy żywe, czy tego chcą czy nie, tworzą część ogromnego organizmu o rozmiarach naszej planety. Nieświadomie, ale wszyscy należymy do Gai, tego jednego organizmu żywego, który nie zmienia się i nigdy nie umiera. Czyż nie dlatego odczuwamy niekiedy poczucie spełnienia, wypełniając te najprostsze czynności, jakich oczekuje od nas Gaja: na przykład, gdy sadzimy drzewo lub wychowujemy dzieci?

James Lovelock

Hipoteza Gai powstała w 1972 roku, a jej twórcą jest James Lovelock (ur. 1919) we współpracy z Lynn Margulis. J. Lovelock jest brytyjskim niezależnym uczonym i wynalazcą, opierającym swoje przemyślenia na kompleksowej wiedzy z zakresu nauk przyrodniczych. Wraz z innymi uczonymi podważył on koncepcję istnienia życia na Marsie, opierając się na obserwacjach marsjańskiej atmosfery. L. Margulis była w latach 70. mikrobiologiem na Uniwersytecie w Bostonie. Specjalizuje się ona w zagadnieniu roli mikroorganizmów w ewolucji.

Nazwa omawianej hipotezy opracowanej przez J. Lovelocka – Gaja – powstała po konsultacji z pisarzem Williamem Goldingiem, którego uczony poprosił o dobranie odpowiedniej nazwy do swojej teorii.

Pod koniec lat 60. J. Lovelock postawił sobie dwa pytania:

- Dlaczego Ziemia, w odróżnieniu od innych planet, utrzymuje warstwę mieszaniny azotu i tlenu umożliwiającą istnienie życia?
- Co spowodowało, że na powierzchni Ziemi od bilionów lat zachodzą złożone procesy, które doprowadziły do powstania życia? Jak wytłumaczyć unikatowy charakter tego zjawiska?

Hipoteza Gai zakłada istnienie żywego organizmu, którego częściami składowymi są wszystkie formy życia na Ziemi. „Gaja – twierdzi J. Lovelock – będąc starą i wystarczająco zaradną, jest w stanie poradzić sobie z kolejnymi zmianami planety”. Źródłem potencjalnego niebezpieczeństwa dla gatunku ludzkiego mogą tu być dwa zjawiska: destrukcyjna działalność samego człowieka oraz ewentualna reakcja na nią Gai. Brytyjski uczony przestrzega, że nie wiadomo, jaka będzie odpowiedź Gai na naruszenie równowagi ekologicznej przez cywilizację przemysłową. Nierównowaga ekologiczna może osiągnąć taki stopień, że Gaja zostanie zmuszona do zniszczenia naszego gatunku. Z tego powodu, zdaniem J. Lovelocka, człowiek musi poczuwać się do obowiązku ratowania Ziemi.

Gaja zachowuje się jak domowy termostat. W naszych mieszkaniach ustawiamy temperaturę na 18,4° C, aby zapewnić sobie odpowiednie warunki termiczne. Gdy temperatura w pomieszczeniu spada poniżej tej wartości, termostat włącza automatycznie ogrzewanie, a po osiągnięciu pożądanej temperatury wyłącza je. Podobnie, według Lovelocka, zachowuje się Gaja. Posiada ona regulatory, które zmieniają warunki fizyczne i chemiczne w środowisku naturalnym. Jeżeli np. zawartość tlenu w powietrzu przekroczyłaby 35%, Ziemi grozioby samospalenie. Pojawia się więc pytanie: dlaczego zawartość tlenu doszła do 21% i potem przestała rosnąć? Jedyna odpowiedź wynika z biologicznej produkcji metanu przez bakterie. Metan może łączyć się z tlenem, tworząc dwutlenek węgla, i dzięki temu stabilizuje koncentrację tlenu w powietrzu.

U podstaw hipotezy Gai leżą dwa fundamentalne założenia:

- Planeta jest, według L. Margulis, „ogromnym żyjącym systemem” (*super organismic system*);
- Ewolucja jest rezultatem procesu współpracy, a nie konkurencji.

Pierwsza praca J. Lovelocka, *Gaia: A New Look at Life on Earth* (Gaja: nowe spojrzenie na życie na Ziemi), została opublikowana w 1979 r. Znajdujemy w niej m.in. następujące tezy:

„...warunki fizyczne i chemiczne na powierzchni Ziemi, w atmosferze i oceanach kształtowały się i kształtują tak, by zapewniały korzystne warunki życia organizmów. Myśl ta pozostaje w opozycji do tradycyjnych koncepcji, które utrzymy-



wały, iż to właśnie życie przystosowuje się do warunków panujących na Ziemi, ponieważ Ziemia i żywe istoty ewoluują oddzielnie”.

„Całość życia na Ziemi, od wielorybów do wirusów, od dębów do alg, może być uważana za pojedynczą, żyjącą jednostkę, zdolną do przetrwania w atmosferze Ziemi w taki sposób, aby dopasowywać swoje potrzeby oraz zaopatrywać się w niezbędne do życia składniki i energię lepiej, niż jej elementy składowe oddzielnie wzięte. Innymi słowy, Gaja może być zdefiniowana jako kompleksowa jednostka obejmująca biosferę, atmosferę, hydrosferę i glebę”.

Hipoteza Gai była wielokrotnie określana mianem jednej z najbardziej kontrowersyjnych teorii powstałych w drugiej połowie XX wieku. W ramach walki o jej oficjalną akceptację w obszarze tradycyjnej nauki, prowadzonej w latach 70. i 80., jej zwolennikom udało się zainicjować wiele debat i dyskusji. W tym czasie J. Lovelock przygotowywał również swoją drugą publikację. Książka ta została wydana w 1988 r. pt. *The Ages of Gaia* (Epoki Gai). Znalazły się w niej bardziej dojrzałe, poparte większą ilością badań i informacji, przemyślenia autora na temat hipotezy Gai. J. Lovelock rozwinął tu zagadnienie związków i zależności między różnymi systemami naszej planety. Dokonał także pewnej modyfikacji samego pojęcia Gai, stwierdzając, że:

- „Nazwa żyjącej planety – Gaja – nie jest synonimem biosfery, czyli tej części Ziemi, w której egzystują żywe organizmy. Fauna, flora i biosfera stanowią części, ale nie całą Gaję”.
- „Hipoteza Gai mówi, iż temperatura, stan utlenienia, kwasność i określone parametry skał i wód są utrzymywane na stałym poziomie; ta homeostaza jest podtrzymywana przez czynny proces sprzężenia zwrotnego generowanego automatycznie i nieuchronnie przez faunę oraz florę”.
- „[Ktoś] mógłby powiedzieć, że prawie cała Ziemia, to tylko żarząca się skała. Można jednak porównać ją do olbrzymiej *sekwoi*. Drzewo to, bez wątpienia żywe, ma jednak 99% martwych komórek. Jest ono sędziwym monumentem martwego drewna, powstałego niegdyś z cienkiej warstwy żywych komórek znajdujących się wewnątrz. Podobny obraz może przedstawiać Ziemia, gdy wyobrazimy ją sobie jako bryłę pokrytą z zewnątrz warstwą skał, które sięgają do wnętrza, gdzie znajduje się magma. Na powierzchni tych skał powstało życie”.

Sceptycy zwracają uwagę, że hipoteza Gai ma podtekst teleologiczny (celowościowy). Zakłada ona bowiem, aczkolwiek nie wprost, istnienie pewnego pierwotnego projektu, według którego świat zmienia się – tym samym teoria Lovelocka podważa powszechnie przyjętą doktrynę ewolucji.

Przedstawiona powyżej teoria doczekała się już kilku wariantów. Różnią się one następującymi założeniami:

- *Influential Gaia* („wpływowa” Gaja) – fauna i flora mają wpływ jedynie na niektóre aspekty życia;
- *Co-evolutionary Gaia* (współewoluująca Gaja) – fauna i flora mają wpływ na otoczenie, a środowisko wpływa na proces ewolucji;
- *Homeostatic Gaia* (homeostatyczna Gaja) – fauna i flora oddziałują na środowisko, dążąc do zachowania stabilizacji;
- *Teleological Gaia* (teleologiczna Gaja) – atmosfera jest zachowana w homeostazie nie tylko przez biosferę, ale *przez i dla biosfery*;
- *Optimizing Gaia* (optymalizująca Gaja) – fauna i flora oddziałują na swoje środowisko fizyczne w celu stworzenia

biologicznie korzystnych, a nawet optymalnych dla nich warunków.

W kontekście hipotezy Gai warto wymienić dwie alternatywne koncepcje dotyczące życia na Ziemi.

Pierwsza z nich dotyczy **powstania i ewolucji powłoki tlenowej**. Według niektórych uczonych, tlen został wytworzony ponad 3 biliony lat temu. Po tym zdarzeniu żywe organizmy zostały zatrute tlenem oraz zmuszone do przystosowania się do nowych warunków, czyli oddychania beztlenowego. W późniejszym okresie powstała powłoka ozonowa, która umożliwiła ponowną ewolucję organizmów wykorzystujących tlen do życia. Odbył się to jednak kosztem istniejących przez ponad 2 biliony lat większości organizmów, dla których tlen okazał się zabójczą substancją. Sytuację taką trudno nazwać homeostazą, czyli zdolnością organizmu (w hipotezie Gai – Ziemi) do zachowania względnie stałego stanu równowagi.

Druga ze wspomnianych koncepcji odwołuje się do zmian klimatycznych. Geochemicy z Uniwersytetu Michigan (Walker, Hayes i Kasting), zajmujący się mechanizmami sprzężenia zwrotnego kontrolującymi temperaturę na Ziemi, zaproponowali alternatywne podejście, które nie jest związane z organizmami żywymi. Według nich, w miarę ogrzewania naszej planety przez Słońce wzrasta ilość opadów, które powodują łączenie się wody w atmosferze z dwutlenkiem węgla. W wyniku takiego zjawiska tworzy się słaby związek węgla reagujący z powierzchnią skał na Ziemi; „magazynuje” on węgiel i redukuje jego emisję do atmosfery. Zwolennicy hipotezy Gai zaprzeczają natomiast istnieniu związku pomiędzy składnikami gleby a zjawiskami pogodowymi. Ta kwestia pozostaje nierozwiązana.

* * *

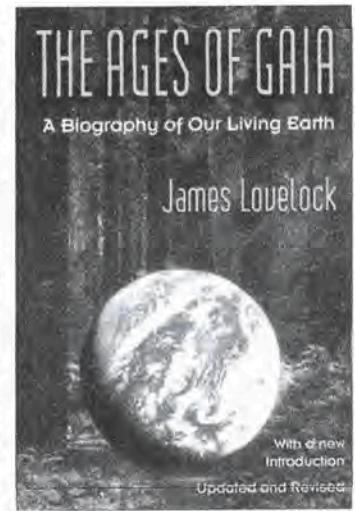
Hipoteza Gai zakłada, że życie na Ziemi kontroluje fizyczne i chemiczne warunki środowiska (biotyczny, czyli ożywiony świat kontroluje abiotyczny, czyli nieożywiony świat). Głosi ona, iż stabilne warunki, takie jak poziom tlenu czy klimat, stanowią dowody na to, że żywe organizmy utrzymują środowisko tak, by zapewnić sobie byt.

Teoria ta doczekała się różnych wersji oraz wciąż budzi ożywione dyskusje. Ma ona zarówno wielu krytyków, jak i zwolenników. Moim zdaniem, hipoteza Gai wymaga jeszcze szeregu badań, by mogła zostać uznana za prawdziwie naukową teorię.

Zainteresowanych odsyłam do licznych miejsc w Internecie poświęconych tej tematyce. Oto niektóre adresy:

http://www.magna.com.au/~prfbrown/gaia_jim.html;
<http://www.ozu.com/purplanet/gaia.html>;
<http://www.soest.hawaii.edu/GG/ASK/gaia.html>;
<http://www.geog.ouc.bc.ca/physgeog/contents/5d.html>
<http://www.his.com/~buck/peter/gaia>
<http://ibs.uel.ac.uk/gaia/>

Elżbieta Suchenia
Studentka Wydziału Zarządzania i Ekonomii



„Obieżyświat” (cd.)

Oczekiwanie

Rosyjska rzeczywistość jest romantyczna dla tych, którzy potrafią to docenić, i okrutna dla tych, którzy przywieźli z Europy niewłaściwe przyzwyczajenia, dla niecierpliwych. Każda wyprawa na drugi koniec świata, aby była udana, musi przede wszystkim uszanować obyczaje miejscowej ludności; najtrudniej zrozumieć ich stosunek do czasu. Ktoś, kto nie był w Rosji, nie zrozumie tego...



Główna ulica w Honuu
(centrum obszaru administracyjnego wielkości 1/3 Polski)

Honuu – drewniana osada jakucka kilkanaście kilometrów od koła podbiegunowego (nieco ponad dwa tysiące mieszkańców, centrum jednostki administracyjnej wielkości jednej trzeciej Polski), przywitała nas chmurami i mżawką, co wywołało wręcz zdziwienie po ponadtrzydziestostopniowych upałach panujących w Jakucku. „Gdzie my jesteśmy?! Gdzie te góry??”

Przez chwilę byliśmy nieco skonsternowani, ale też pełni energii do działania. Tylko co robić? Problem rozwiązał się, gdy podszedł do nas jeden z Jakutów obecnych na lotnisku. „Jestem Jakow Siemionowicz, dyrektor Momińskiego PN. Za chwilę będzie samochód i pojedziecie ze mną do dyrekcji, a tam porozmawiamy”. Z jednej strony trochę nas to zaskoczyło, ale z drugiej – ucieszyliśmy się, bo dyrektor zrobił sympatyczne wrażenie. Zresztą – tak czy owak, jako człowiek kompetentny może nam pomóc. W drodze do dyrekcji (zabraliśmy się łażkiem) Jakow Siemionowicz objaśniał nam, co gdzie się mieści, gdzie możemy robić zakupy lub jak iść do administracji („Po co nam to wszystko? Przecież idziemy w góry?!” – chodziło nam po głowach). Dowiedzieliśmy się też, że w okolicach już od ty-

godni padają deszcze, co normalnie jest rzadkością o tej porze roku. Rozmowa w dyrekcji była bardzo ciekawa. „Czyli to wy jesteście tą grupą z Polski? No, ładnie... Cieszę się, że wybraliście nasz Park, szkoda tylko, że bez poinformowania nas o tym – przygotowalibyśmy się...”. „Ale nam nic nie trzeba! Mamy mapy, ekwipunek, prowiant, a nawet GPS’a, więc...”. „A co planujecie?”. „No, chcemy dojść do Masywu Buordach przez Sasyr (wioska w samych Górach Czerskiego), może na Pobiedę (najwyższy szczyt, 3147 m), a potem przez góry do wsi Pobieda (ponad dwieście kilometrów), która już jest przy drodze prowadzącej z Ust’-Nery do magadańskiej trasy...” „HA! HA! Dzieci! A co wy wiecie o tajdze i o górach, w które się wybieracie?? Czy wy wiecie, jak tam wygląda?!” „No właśnie nie i dlatego chcemy zobaczyć, a doświadczenie w chodzeniu po górach mamy...” „A pływać umiecie? Bo stąd do Sasyru rozlewa się Moma, teren jest bagienny i NIKT tamtędy nie przejdzie!!! Chyba że zimą, jak wszystko zamrze...” „?!?” „Jedyna możliwość dostania się do Sasyru to samolot, ale ten poki co jest uszkodzony, a w ogóle obsługuje jeszcze Ust’-Nerę i nie wiadomo, kiedy polecą. Pozostaje wam czekać”. Próbowaliśmy jeszcze dyskutować, ale Jakow miał rację – na mapie teren może się wydawać całkiem inny niż jest w rzeczywistości...

Dyrektor Parku odstąpił nam na siedzibę swoją dyrekcję, żebyśmy nie musieli spać w namiocie w deszczu (!) i zaprosił nas na obiad, gdzie pierwszy raz w życiu jedliśmy zupę z łosia. Pycha! Przynajmniej jak już musimy czekać, zaznajomimy się z miejscowymi obyczajami – kuchnia jest, jakby nie było, częścią kultury narodu!

Tak się zaczęło jedenaście dni w Honuu, czas rozczarowania i nadziei, nauki pokory, ale także zawierania przyjaźni i poznawania etnografii Jakutów. Nie był to na pewno czas stracony, choć pobyt w Honuu nie był bynajmniej planowany.

Zaraz pierwszego dnia, po rozmowie, wybraliśmy się w stronę koła polarnego. Okazało się, że wody rzeczywiście nie brakuje... Niewiele byśmy zdziałali, gdyby nie „łazik”, którego kierowca bardzo chętnie nas zabrał, nie mógł tylko zrozumieć, dokąd chcemy jechać. „Poliarnyj krug?!? Ale co tam ma być?”. Pojechaliśmy z nim nad Indygirkę, co po eweńsku oznacza „Psia Rzeka”. Wrażenie zrobił na nas jej silny nurt przy sporej szerokości (szersza niż Wisła). Podobno Indygirka jest niebezpieczna – nic dziwnego... Przez chwilę mogliśmy podziwiać Góry Czerskiego, które zamajaczyły gdzieś nad horyzontem, przebijając się przez gęstą szarą mgłę. Kiedy my tam będziemy?



Dwupłatowy AN-2 szczęśliwie wylądował w Sasyrze



No i stało się – kilkugodzinna akcja wydobywania samochodu

Sytuacja z transportem w Honuu rzeczywiście nie wyglądała najlepiej. Jedyne miejscowe samoloty AN-2 (na dziesięć osób), słynna „Antoszka” (polska produkcja z lat pięćdziesiątych), obsługuje trzy miejscowości oddalone od siebie o kilkadziesiąt kilometrów, lata tylko wtedy, gdy dobre warunki pogodowe są w miejscu startu, lądowania i na trasie, co przy kapryśnej pogodzie górskiej nie jest bynajmniej częste. Poza tym „Antoszka” ma już swoje lata i długi staż pracy, więc często się psuje. Jakby tego było jeszcze mało, okazało się, że z trudem załapiemy się na piąty albo szósty rejs do Sasyru. A pracownicy lotniska, jakby na złość, ciągle informowali – „nielotnaja pogoda” – nic nie polecą. Czyli nasza przyszłość nie rysowała się w jasnych kolorach, tym bardziej, że cały czas mżyło, zbliżała się fala powodziowa, a do tego przeszedł cyklon. Przynajmniej obejrzelismy nowe dla nas zjawisko meteorologiczne... Nie marnowaliśmy jednak czasu – poznawaliśmy ludzi, spotykaliśmy się z nimi, byliśmy zapraszani i goszczeni. Zdobyliśmy nowych przyjaciół i to było wspaniałe. Poza tym urządzaliśmy wypadki w najbliższą okolicę (raz było nawet słonecznie i udało się nam wejść na pobliską górę, skąd rozciągał się piękny widok i rosła chęć wyrwania się „tam”. Po kilku dniach spędzonych w „domku” dyrektora, zostaliśmy zaproszeni przez rodziny jakuckie i to było wielkie przeżycie i cudowne doświadczenie, mieszkać z nimi i uczestniczyć w ich życiu. Każdy się starał, żeby nam się podobało – byliśmy m.in. zaproszeni na ucztę jakucką do nauczycielki matematyki zajmującej się etnografią. Piliśmy kumys z drewnianych czarowników, jedliśmy „lepieszki” i „warzenie”, słuchaliśmy jakuckiej muzyki i oglądaliśmy narodowe stroje... Potem padło pytanie: „A czy karmiliście Ziemię?” „???” (wiedzieliśmy, że Jakuci czczą Naturę – Ogień, Wodę, Ziemię) „Nie.” „No to koniecznie trzeba to nadrobić! To dlatego nasza Ziemia was jeszcze nie chce przyjąć”.

Następnego dnia poszliśmy razem nad Indygirkę. Olga, nasza rówieśniczka i opiekunka zarazem, upiekła placuszki (aładzi), które potem zostały ułożone w okrąg pod najładniejszym modrzewiem w okolicy. Wpatrzeni w rwący nurt Rzeki prosił Ducha Ziemi, żeby nas przyjął i się nami opiekował...

Góry

Po dwóch dniach siedzieliśmy już w samolocie do Sasyru, a nasza radość i ekstaza dochodziły do zenitu. Udało się! Słońce świeci jak szalone, fala powodziowa opadła, a z Masywu Buordach śmieją się do nas lodowce... Do tego jeszcze lot dwupłatowcem i wspaniałe widoki z kabiny pilotów, którzy nas do siebie zaprosili. AN-2 jest mały i nie leci ani zbyt wysoko (półtora tysiąca metrów nad ziemią), ani za szybko (niecałe dwieście kilometrów na godzinę), więc można było w pełni rozkoszować się krajobrazem pod nami.

Do „naszego szczęścia” przyczynił się ojciec Olgi, szef ułusu (jednostka administracyjna) Momskiego. Wróciwszy z Jakucka przyjął nas serdecznie, długo rozmawiał z nami o planach i naszych marzeniach. Decyzja należała do niego – „Możecie wyruszyć w góry!” – dał nam też namiary na ludzi, którzy mogą nam być pomocni, a byli!

Sasyr jest dużo mniejszy niż Honuu. W wiosce położonej między dwoma wielkimi pasmami górskimi (Momskie i Czerskiego) żyją przede wszystkim rodziny „oleniowodów” – pasterzy reniferów. Około dwunastu tysięcy tamtejszych reniferów podzielonych na dziesięć stad przemierza przez okrągły rok, pod opieką koczowników, rozległe doliny i góry grzbietu Czerskiego. W Sasyrze mieszkają głównie Eweni oraz w mniejszości Jakuci. Odwiedziliśmy muzeum poświęcone ich kulturze i życiu, po czym udaliśmy się na rozmowę z „głową



Eweńska jurta w samym środku tajgi

administracji”, żeby dowiedzieć się o możliwościach przetransportowania nas na drugi brzeg Momy, skąd moglibyśmy ruszyć w góry. German Germanowicz przyjął nas bardzo gościnnie, oddał nam nawet swój „zimowy dom” na nocleg i powiedział, że mamy szczęście, bo następnego dnia jadą dwie ciężarówki po zaopatrzenie do Ust'-Nery, czyli w kierunku, w którym się wybieramy, więc możemy się zabrać. Nasza radość była rzeczywiście ogromna! Należy wspomnieć, że transport w miesiącach letnich, kiedy rzeki i bagna nie są zamrożone, nie jest bynajmniej łatwy i wymaga wielkich umiejętności od kierowców. Do tego poziom wody w rzece nie może być zbyt wysoki, bo to właśnie po niej się jedzie (lepiej niż po tajdze czy moczarach). Dlatego taka wyprawa należy do rzadkości. Wieczorem podziwialiśmy zachód słońca nad górami i patrzyliśmy pełni wzniosłych uczuć w stronę „Wrót Tiriechtiacha” (rzeka – „trasa” przepływająca przez Góry Czerskiego). „Jutro tam będziemy!!!!”

Prawie dwudniowa jazda uralami była naprawdę emocjonującym przeżyciem. Do tego nawet „Camel Trophy” się nie umywa! Paka jednej z dwóch ciężarówek została po brzegi (nawet z górką!) załadowana najróżniejszym dobytkiem i pasażerami, z których większość jechała na kilka tygodni w głąb tajgi, aby porobić zapasy na długą zimę. W tym czasie poszycie tych nieprzebranych lasów było czerwono – granatowe od owoców, a grzyby można było „kosić”. My oczywiście też nie omisszaliśmy z tego korzystać, pycha! Właściwie tylko cztery osoby, my i Sasza, młody zoolog z Jakucka, jechaliśmy dalej w góry, żeby być jak najbliżej punktu wypadowego w Masyw Buordach. Jeśli chodzi o Saszę, to poznaliśmy go jeszcze w Honuu, jako (nieformalnego) uczestnika ekspedycji profesora i pani z ministerstwa. Przy okazji warto nadmienić, że ich przedsięwzięcie się nie udało – wszyscy poza Saszą, który miał badać populację górskiego barana, wrócili do Jakucka ze względu na niesprzyjające warunki...

Urale jechały wzdłuż koryta Tiriechtiacha, raz po jednej, raz po drugiej stronie. W czasie pokonywania nurtu rzeki miewaliśmy takie przechyły, że trzeba było uważać, żeby nie powypadały rzeczy lub żeby woda nie nalała się do paki. To dopiero była jazda! Niekiedy jechało się w samym korycie rzeki i czuliśmy się jak w łódce, a czasem też przedzieraliśmy się przez bagnistą tajgę.

W czasie jednej z przepraw przez tajgę pilotujący ural zakończył się w głębokim błocie i zaczęło się wyciąganie. Poszły w ruch grube stalowe liny, młode modrzewie wycinane naprędce w tajdze, zaczął się rejwach i bieganina. Jednak chociaż ludzie wyczerpali wszystkie siły i prześcigali się w pomysłowości, a samochody rżąc dawały z siebie wszystko, cała akcja trwała



Część ekwipunku zostawiamy na drodze powrotną w bezpiecznym schowku (w cysternie)

prawie cztery godziny. My wraz z innymi byliśmy wówczas przyjmowani herbatą i pierożkami w jednej z jurt, dla nas to była pierwsza, w jakiej byliśmy! Poszliśmy też „na spacer” po okolicy i korzystaliśmy z obfitych darów tajgi. Ciekawość naszą wzbudził człowiek z kosą, który stał po kolana w wodzie i kosił wysoką trawę w sercu tajgi – tam widocznie nie można czekać na sprzyjającą aurę, lecz trzeba wykonywać pracę, która jest do zrobienia...

Na drugi dzień dojechaliśmy do celu kolejnego etapu – przełęczy Antona. Pożegnaliśmy naszych wspaniałych kierowców, których czekało jeszcze kilka dni w drodze i zostaliśmy sami, jednak tylko na chwilę. Zaraz pojawiło się kilku koczowników na koniach, jak się okazało, dwóch Jakutów i jeden Ewen, niesamowicie sympatyczni ludzie. Chcieli zabrać Saszę – naukowca do swojego obozu nad jeziorem Bujunga, ale kiedy zobaczyli, że jest nas więcej, powiedzieli, że zabiorą wszystkich, tylko pojedą po konie. To dopiero radość! Na koniach nikt z nas w życiu nie jeździł, co za gratka!

Jakuckie konie, krewni stepowego konia Przewalskiego, są mniejsze niż „nasze”, za to bardzo silne, wytrzymałe i odporne na mrozy. Najczęściej białe, rzadziej jasnobrązowe, jeździ się na nich, jak się później okazało, wyśmienicie. Dowiedzieliśmy się też, że zimą wygrzebują sobie kopytami jedzenie spod śniegu i nie trzeba się martwić o ich utrzymanie.

Nasza pierwsza jazda odbyła się w środku nocy, przy blasku księżycy w pełni i tysięcy gwiazd, jako że powietrze było mroźne i przejrzyste. Czuliśmy się jak niegdyś Trzej Królowie...

Za to w obozie okazało się, że jesteśmy tak skostniaли, że ledwo można zejść z koni, nie mówiąc już o dojściu do ogniska. Do tego należało jeszcze rozbić namiot i rozpakować plecaki...Brrr! Ale co tam! Rozgrzaliśmy się herbatą, porozmawialiśmy trochę z dwoma Jakutami obecnymi w obozie i poszliśmy spać, pierwszy raz już „naprawdę” w Górach Czerskiego... Rano, chociaż paliło słońce, wszystko było pokryte szronem i tak było każdego ranka, już do końca. Dlatego, jak zauważyliśmy, życie w jurtach „właściwie” zaczyna się, jak słońce wypali biały nalot z traw, czyli po dziewiatej godzinie lokalnego, za to później siedzi się do późnych godzin nocnych. Taki tryb życia bardzo nam odpowiadał!

Po śniadaniu wybraliśmy się na najwyższy szczyt w okolicy (1715 m), żeby zobaczyć z odpowiedniej perspektywy, jak to wszystko wygląda. Tu warto wspomnieć co nieco o budowie Gór Czerskiego. To ogromne pasmo, rozciągające się między Janą a Kołymą na długości około półtora tysiąca kilometrów, zostało wypiętrzone w erze mezozoicznej na obszarze bogatym we wszystkie niemal pierwiastki tablicy Mendelejewa. To wpłynęło na ich „niepowtarzalność” i ogromną różnorodność

budowy geologicznej. Są tu góry gnejsowe, łupkowe, żelazowe, uranowe, a nawet marmurowe („Mramarnaja Gora” jest atrakcją Momińskiego PN – opowiadał nam o niej dyrektor parku, a my widzieliśmy ją podczas jazdy uralami). Patrząc na góry i chodząc po nich, ma się wrażenie, że zostały usypane z ogromnych głazów i skalnego gruzu – po prostu się „sypią”, tym bardziej, że są w większości bardzo strome i wysokie, co sprzyja erozji. Sam Masyw Buordach z najwyższym szczytem Pobiedą to strome i wysokie góry o postrzępionych, ostrych graniach i krętych, głębokich dolinach (wielkie przewyższenia). Jako jedyne miejsce w całym paśmie Czerskiego odznaczają się obecnością lodowców, które kilkusetmetrową warstwą zalegają w wielu dolinach i „przewalają się” przez szczyty. „Buordach” oznacza „bałagan” i nazwa ta jest jak najbardziej na miejscu, bo pełno tu rumowisk skalnych, piargów i obsuwających się kamieni. Byłoby jednak błędne twierdzenie, że ten „bałagan” nie jest wspaniały, wręcz przeciwnie – jest imponujący... Góry Czerskiego mają jednak również inne oblicze – niższe, lecz także strome wzniesienia porośnięte tundrą, a gdzieś tam też lasem modrzewiowym. Charakterystyczne są dla nich ogromne przestrzenie i rozległe doliny, w których często są liczne jeziora i rzeki, dlatego doliny bywają podmokłe. No i wszędzie ślady wiecznej zmarzliny...

Ze szczytu rozciągał się przepiękny widok – na szeroką dolinę rzeki Erikiet, jeziora Bujunga oraz Bugczan, „nalieźdź” (miejsce, w którym zawsze leży śnieg; ma to związek z faktem, że ponad 99% Jakucji leży na obszarze występowania wiecznej zmarzliny) i rozliczne łańcuchy Gór Czerskiego. W dali widać było nawet nasz wymarzony Masyw Buordach, do którego dotarcie mimo wcześniejszych trudności (myśleliśmy, że już nic z tego nie wyjdzie, ale chcieliśmy bardzo zobaczyć chociaż fragment Gór Czerskiego...) stawało się coraz bardziej realne, dzięki szczęśliwemu splotowi okoliczności, takich jak transport uraliem, czy nieoczekiwana pomoc wspaniałych koczowników...

Następnego dnia w obozie koniowodów poruszenie. Jedziemy do oleniowodów nad rzekę Czuczka! Tam zobaczymy renifery i poznamy „prawdziwe życie koczowników”. Super!!! Tym razem „wyższa szkoła jazdy” – dano nam konie objuczonne, bez siodła i strzemion. To była dopiero jazda! Gnaliśmy przez rozległą dolinę, po obu stronach i przed sobą mając góry, z lewej strony rzekę i trzy jeziora, a w duszach wielką radość. Czuliśmy się jak pradawni koczownicy odkrywający nieznaną przestrzeń... Cdn.

*Emilia Żmuda-Trzebiatowska, Ula Kampowska,
Michał Małafiejski*

Wydział Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki



„Kawaleria syberyjska”; w tle góry Czerskiego

LEGENDA OLIWSKA

Historię tę usłyszałem od leśnego skrzata, którego napotkałem kilka lat temu w głuszy Lasów Oliwskich w „Dzień Sowy”.

Działo się to tak dawno, że najstarsi ludzie nie pamiętają szczegółów. Pomorską krainą władał wówczas zły książę Bej, co to ze wschodu przybył i prawowitego sukcesora pozbawił tronu. Bej, oprócz danin, nakładał na okolicznych kmieci coraz to nowe uciążliwe obowiązki, a kto nie wywiązywał się z nich, był poddawany chłóście. Lud burzył się, ale na tyrana nie było sposobu, zaś przywódcy buntów byli skazywani na tortury albo wysyłani na banicję. Jednak najbardziej obawiano się rozbójnika – złego i chciwego Ralbasą, który wraz ze swoimi kompanami: Gradkiem, Gawlukiem, Kasną i Leliwą, zamieszkał w Lasach Oliwskich. Kupili oni kupców spieszących z towarami do Gdańska, a biedakom, jak nie mogli się wykupić – niszczyli dobytek: palili ich chaty i zbiory, albo w jasyr Tatarom oddawali. Ludzie szeptali, że zbroje są bezkarni, bo ich herszt otrzymał przyzwolenie od księcia, z którym potajemnie dzielił się zdobytymi łupami.

Nieopodal wzgórza, panującego nad starą Oliwą, mieszkał młody pacholek, sierota, co u gospodarza za parobka robił. Młodzieniec ów był dobry dla ludzi, szczególnie zaś lubił przebywać wśród gospodarskich zwierząt, którymi się opiekował. Pewnego razu w wigilijną noc usłyszał przypadkiem ich rozmowę. Osioł zagadał do krowy, że sposób na pozbycie się Ralbasą może znać stary mądry Sławoj, mieszkający samotnie w głuszy Lasów Oliwskich. Jego pustelnia znajduje się nad potokiem, gdzieś koło kamienia rozbitego na części przez rozwnięczonego diabła, któremu nie udało się zniszczyć zabudowań oliwskiego klasztoru.



Głaz narzutowy „Kamienna Twarz”

Jak tylko zaczęło świtać, pacholek wywnęknął się niepostrzeżenie z domu. Pełen obaw, brnąc przez śnieżne zaspę, skierował się do lasu na poszukiwanie pustelnika. Odnalazł go około południa, gdy ten łowił ryby w potoku nazywanym „Oliwskim”. Sławoj wysłuchał prośb młodzieńca i głęboko zamyslił się. Dumal i dumal, aż wymyślił na zbroja sposób: należy rozpowiadać o wielkich skarbach zgromadzonych w kościele, ale trzeba dodać, że może je posiadać tylko ten, który zdobędzie talizman – pióro ze skrzydła anioła. Inaczej zginie, próbując przywłaszczyć owe skarby. W pobliżu Oliwy była zaklęta góra, gdzie raz do roku, w „Dzień Sowy”, gromadziły się na naradę anioły. Nadarzyła się więc okazja, by niepostrzeżenie

zdołać takie cudowne pióro.

Pacholek powrócił do Oliwy i, niby w wielkiej tajemnicy, opowiedział w karczmie o kościelnym bogactwie i talizmanie. Tak, jak pustelnik przewidział – o wszystkim dowiedział się niebawem zbroj i zapragnął sam zdobyć skarby, które złożono w ofierze. Ale najpierw musiał posiadać anielskie pióro. Dlatego zaczął się we właściwym dniu na górę, którą upatrzyły sobie anioły, i czekał. Wieczorem nagle okolicę rozświetliła niebieska poświata i dał się słyszeć delikatny szum skrzydeł – to anioły zleciały się na naradę. Ralbas podczołgał się do obradujących wystanników Nieba i delikatnie wyrwał pióro jednemu z nich, po czym ukradkiem oddalił się. Nie wiedział jednego, że na zaklętej górze nie wolno było oglądać się za siebie. Kiedy posłyszał za sobą jakiś dziwny odgłos, nie wytrzymał i spojrzął do tyłu. I natychmiast zamienił się w głaz. A pióro ze skrzydła anioła porwał wiatr i poniosł je daleko w lesne ostępy, gdzie spoczywa do dziś, ukryte przed okiem ludzi. Czekają na tego o czystym sercu, który, znalazłszy je, posiadać cudowną moc czynienia ludziom dobra.

Powiadają starzy mieszkańcy Oliwy, że na Wzniesieniu Marii w Lasach Oliwskich leży głaz, co go „Kamienną Twarzą” nazwano; to zbrojnik Ralbas, zaklęty w zimny kamień. Zaś wzgórze wznoszące się ponad starą Oliwą, na część dzielnego młodzieńca ochrzczono Pacholkiem. A co stało się ze złym księciem Bejem? Otóż gdy dowiedział się o karze, jaką spotkała jego współniczka-zbrojnika, to ze strachu zaniemógł i w trzy dni zmarł. Natomiast o kompanach Ralbasą wszelki śluch zaginął; ponoć zostali rozszarpani przez dzikie zwierzęta.

Marcin S. Wilga
Wydział Mechaniczny
(fot. autor)

PS. Niniejsza legenda jest wyjątkiem z przewodnika turystycznego mojego autorstwa pt. „Szlak Królewski w Lasach Oliwskich”.



Oliwa, widok wzniesienia „Pacholek”



Prof. Wiktor Zin z wnukiem w otoczeniu uczestników IX Spotkania Redakcji Gazet Akademickich

KRAKOWSKIE KLIMATY

Od dziecka lubię bywać w Krakowie. Nawet teraz, gdy znane mi są uroki najróżniejszych zakątków świata, te krakowskie wciąż nie zatracają powabu, a wręcz przeciwnie, dopiero teraz dostrzegam ich sekretne wdzięki, skrywane niegdyś przed profanem. Przemieszczając się niespiesznie z nad morza ku przedgórzcu Podhala (raz zdarzyło mi się z wawelskich murów widzieć tatrzańskie grzbiety) odkrywam po raz kolejny desygnyaty kulturowego krajobrazu, który z pomorsko-pruskiego pejzażu przemienia się w mazowiecko-kongresówkowy, by w końcu przyjąć małopolsko-galicyską postać. Nieodmiennie znajduję, iż lubią nas – ludzi z północy – tam na południu, tak już nieodległym od krain wina, co podstępnie potrafi spowalniać ciało i przyspieszać myśl... Ale z początkiem tegorocznego września w Stołeczno-Królewskim Mieście panował skandynawski chłód, na polu przenikający odzież i studzący wspomnienie niedawnego jeszcze skwaru. Nie ulegli temu organizatorzy IX Spotkania Redakcji Gazet Akademickich, zapewniając gorące przyjęcie 56 przedstawicielom 32 tytułów prasowych.

Prasa to jest prasa, trzeba z nią ostrożnie – żartobliwie przywitał zebranych w Sali Senackiej Politechniki Krakowskiej prof. Marcin Chrzanowski, prorektor ds. rozwoju uczelni i współpracy z zagranicą. Ustępujące w przyszłym roku kierownictwo zostawia następcom dokument nietypowy – Misję Uczelni – w którym m.in. czytamy: „*Uczelnia jako instytucja wyższej użyteczności publicznej, powinna dbać o odpowiednio wysoki poziom kulturowy absolwentów poprzez humanizację studiów, w tym zaznajamianie z ojczystą historią i kulturą, rozwijaniu umiejętności posługiwania się językiem ojczystym, a także nauczanie na odpowiednim poziomie języków obcych*”. Wśród wzywanych oczekujących szkolnictwo wyższe jest reorientacja kształcenia zawodowego na potrzeby społeczeństwa przyszłości, kiedy to Internet zapewni zdalne i masowe nauczanie, ale o jego jakości nadal decydować będzie bezpośredni kontakt studenta z prawdziwym nauczycielem akademickim. Taki właśnie kontakt sprawił, iż wszyscy zebrani przedziergnęli się w żaków z niegdyśszą atencją wpatrzonych i wsłuchanych w Mistrza, prof. Wiktora Zina. On to właśnie ze-

chciał odsłonić przed nami rąbek tajemnic Krakowa przedlokacyjnego, którego relikty widział podczas badań archeologiczno-architektonicznych w Rynku. Pod dzisiejszym brukiem, a ściślej – kamiennymi płytami, na głębokości 6-6,5 m kryją się zabudowania Kramów Bogatych o wymiarach 110 x 10 m, a kościół św. Wojciecha stoi na pradawnej świątyni... Sporo też zgliszcz, spalenizny i szczątków dawnych najeźdźców... Zaś płaskorzeźby zdobiące elewacje krakowskich zabytków ozywają w świetle księżyca, ukazując wybranym swoje sekretne znaczenia... No i popaśnice...

„**Trup na pierwszej stronie**” to niezawodny wyróżnik prasy komercyjnej. W Krakowie w symbiozie z inteligentnym „Dziennikiem Polskim” wyhodowano „Dziennik Akademicki”, owocujący co dwa tygodnie w nakładzie do 100 tys. egzemplarzy kolumną publicystyczną, prezentującą problemy środowiska akademickiego. Jest to znany sprzed lat i na Wybrzeżu sposób informowania społeczeństwa o tym, co słychać za murami szkół wyższych, a dziś skuteczny w Krakowie tym bardziej, iż honoraria autorskie wypłacają zainteresowane uczelnie, bo, jak wspomniano, nie wypada, aby profesor pisał o sobie. Chciałoby się zakrzyknąć, że to sposób godny naśladowania. Ba, ale przez kogo? Jak ujawnił nam dr Włodzimierz Chorążki z Ośrodka Badań Prasoznawczych Uniwersytetu Jagiellońskiego, tego samego, który skwapliwie kolekcjonuje wszystkie numery naszego PISMA PG, jedynie wydawcy dwóch dzienników wielkonakładowych w Polsce posiadają większość, ale już nie stuprocentowy, kapitał polski. Kto więc informuje nas o naszych sprawach? Ale wracając do gazet akademickich, to jest ich ok. 200 tytułów „papierowych” oraz 47 tytułów „elektronicznych” w Internecie; wydawcą 60% tytułów jest administracja instytucji szkolnictwa. Są to, jak nam powiedziano, na ogół „biuletyny dworskie”, których cechą charakterystyczną jest brak swady. A tymczasem funkcje tych wydawnictw są podobne do prasy lokalnej i powinny one:

- informować o swoim środowisku;
- kontrolować władze zwierzchnie;
- promować inicjatywy środowiskowe;
- pełnić rolę trybuny społeczności akademickiej;

- integrować środowisko;
- kształtować opinię społeczną;
- promować kulturę;
- promować osiągnięcia naukowo-techniczne;
- edukować w zakresie ekonomiczno-gospodarczym;
- dostarczać rozrywki.

Niechże teraz Szanowny Czytelnik będzie uprzejmy ocenić po swojemu, czy PISMO PG funkcje te spełnia? Ale i też grzecznie prosimy, aby swoją w tym względzie rolę uwzględnić raczył. Gdzież te porywczyste polemiki, owe felietony z perlistą puentą, czy reportaże pulsujące emocjami? Owszem, rozumiemy: – że może jeszcze nie dziś, że może jutro. Azaliż czasami chciałoby się powiedzieć – jak postać w Kantorowskim „Wielopole” – Wychodzę. Wychodzę!

Strong bezalkoholowy – to byłby ideał pism akademickich, bo z pewnością owa groteskowa statystyka, według której 70% widzów nie rozumie treści podawanych w dziennikach TV, nie dotyczy środowiska, w którym i dla którego one powstają. Ale Zespół Redakcyjny PISMA PG jeszcze nie redaguje przekazów medialnych (jak nas pouczono w Krakowie, medium to pozagraficzne przedstawienie treści, czyli telewizja, radio, telewizja kablowa, Internet), chociaż na 24 stronie niniejszego numeru nasz redakcyjny beniaminek ujawnia błyskotliwą inicjatywę swojego pokolenia: RADIO INTERNETOWE! Bardzo chcielibyśmy ulżyć rektorskim cierpieniom, o których mówił ze swadą prof. Ryszard Tadeusiewicz, rektor AGH. Otóż ci na szczytach władzy nie zawsze są informowani szczerze i do końca o pewnych sprawach, a grono potakiwaczy skrupulatnie podtrzymuje „syndrom pawia”, co sprawia, iż władza może trwać i grzęznąć w błędach.

Bądźcie nie tylko tubą, ale i sumieniem uczelni – zaapelował do zebranych JM Rektor AGH. Poruszeni i niewątpliwie dowartościowani tym redaktorzy prasy akademickiej już spolegliwie dali się uwieść urokom i przerazić zasadzkami e-społeczeństwa, po którym oprowadził prof. R. Tadeusiewicz podczas nadzwyczajnego wykładu „Prasa papierowa versus publikacje w Internecie – konkurencja czy obustronnie wzmacniająca się synergia”. Otóż na terenie AGH powstało Miasteczko Internetowe, dzięki zainstalowaniu w każdym pokoju studenckim dwóch przyłączy. Na nowo powstałym Wydziale Nauk Społecznych Stosowanych AGH, pierwszym tego rodzaju na uczelni technicznej w Europie Środkowowschodniej, realizowany jest wieloletni program badawczy mikrospołeczności informacyjnej, którego pierwsza faza pilotażowa objęła ok. tysiąca respondentów. Wśród nich można wyróżnić trzy grupy:

- internariat – intensywnie korzysta z Internetu, także w celach zarobkowych;
- digitariat – biernie użytkuje Internet, np. zamiast uczęszczania do biblioteki;
- proletariat – nie korzysta z dostępu do Internetu i alienuje się spośród pozostałych grup.

Już wstępne wyniki badań i obserwacji potwierdzają występowanie zjawisk znanych w społeczeństwach informacyjnych: specyficzna hierarchia wartości, patologiczne uzależnienie od Internetu, wyznaczenie wiary elektronicznej: „nie istnieje to, czego nie ma w Internecie”; smog informacyjny niosący informacje toksyczne. Aksjologia Internetu została zbadana według słów sztandarowych odpowiadających obrazowi aksjofery w świadomości zbadanej grupy 718 studentów i 190 pracowników AGH. Listę 63 haseł utworzono na podstawie słów wartości najczęściej występujących w prasie w II poł. 2000 r. Hierarchia siedmiu wartości od najwyższej według mirand gru-

py studenckiej wygląda następująco: miłość, zdrowie, rodzina, przyjaźń, szczerłość, wykształcenie, prawdomówność. Najwyżej więc uplasowały się wartości indywidualne, natomiast znakiem czasu jest umiejscowienie słów wartości społecznych na znacznie niższych pozycjach: demokracja – 24, naród – 32, społeczeństwo – 44, prezydent – 47, samorząd – 58, rząd – 63. Internet znalazł się na 23 miejscu. Wspomnieć wypada o antymirandach, wśród których na czele pojawiły się: korupcja, sekta, mafia, przemoc, a Internet zajął 19 miejsce. Można zatem stwierdzić, iż Internet jest tzw. disputandum i posiada zarówno zwolenników (umiarkowanie), jak i przeciwników (umiarkowanie). Pozytywnym zjawiskiem jest dodatnie skorelowanie stopnia kontaktu z Internetem i zainteresowania książką papierową. Z wielu badań wynika, iż większość internautów poświęca średnio 30 sek. na ogląd strony wyświetlonej na monitorze, co nie oznacza jej przeczytania, gdyż naturalne tempo przyswajania informacji odpowiada prędkości mówienia. Zatem Internet jest medium niespójnym z biologicznymi predyspozycjami człowieka, a ponadto informacja pobierana za jego pośrednictwem może być „przemycana” do umysłu poza kontrolą świadomości. Tak więc, póki co, prasa guttenbergowska ma rację bytu, ale w przyszłości...



E-SPOŁECZEŃSTWO (Z notatek uczestnika konferencji)

Społeczeństwo informacyjne wymyślił przez 40 laty Japończyk Tadao Umesao. Globalną wioskę, według McLuhana, miała tworzyć ogólnosiwiatowa sieć telewizyjna (medium informacyjne), a tymczasem pojawiła się sieć Internetu (medium komunikacyjne). Po zbudowaniu infrastruktury technicznej, umożliwiającej upowszechnienie do niej dostępu, nadszedł czas, a może najwyższy to już czas, aby zająć się nietechnicznymi aspektami formowania społeczeństwa informacyjnego. Ku czemu zmierza transformacja cywilizacji? Jeśli technika i nauka, czyli technologia, będą decydowały o kształcie przyszłości, to można przewidywać złe tego skutki. Zło, które przyniosła technologia, ona sama powinna naprawić. Ale czy jest w stanie uczynić to samodzielnie? Z pewnością nie! Sprzymierzeńców należy poszukiwać pośród nauk humanistycznych, gdyż technika jest sprawą zbyt poważną, aby zostawić ją w rękach samych techników. Politycy oczekują gotowych recept i nieustannie „pochylają się ze zrozumieniem nad problemem”, tymczasem e-społeczeństwo i e-Europa to nowe jakości *in statu nascendi*, wymykające się spod kontroli. Zmniejsza się rola państw narodowych i zanikają ich podstawowe wartości państwa dobrobytu i osłony socjalnej. Przed nauką stoją wyzwania pilnych badań, pozwalających rozdzielić zjawiska incydentalne od trendów generalnych i dających odpowiedź na wiele pytań, np.: co jest mierzalnym wyróżnikiem e-społeczeństwa, jak przeobraża się jego struktura, jak kształtują się więzi społeczne, co dzieje się z pracą, jacy są ci na pierwszej linii rewolucji informacyjnej i jakie

wartości wyznają? Czy społeczeństwo informacyjne może być podstawą kształtowania się społeczeństwa globalnego? Jak traktować „naturalne” eliminowanie grup etnicznych, wiekowych, niepełnosprawnych, ubogich itp. z e-społeczności? Czy e-społeczństwo odbierze człowiekowi intymność – indywidualne odczuwanie sekretnej przyjemności? Nie istnieje w Polsce przemysł *high-tech*, stąd nie odczuwamy jeszcze wspomnianych problemów, występujących już w USA i Japonii.

Peenty wypowiedzi referentów i dyskutantów

- Trzecia fala Tofflera podmyła mury AGH – o powołaniu wydziału humanistycznego na AGH
- Posiadanie kluczyków nie zastąpi samochodu – a propos wyznaczników e-społeczństwa
- P2C2BE – zakodowana informacja podana słuchaczom w formie SMS-a (*Process Too Complicated To Be Explained*)
- Pionierów poznaje się po tym, że mają strzały w plecach – o pionierskim przedsięwzięciu badawczym mikrospołeczności informacyjnej, podjętym na AGH
- Umiejętność słuchania jest najcenniejszym przymiotem menedżera – o komunikowaniu interpersonalnym w zarządzaniu wobec oferty technologii informacyjnej
- Technologia jest elementem kultury, wyrażając i odzwierciedlając możliwości społeczeństwa – o relacji: społeczeństwo – technologia – kultura
- Kultura danej społeczności wyraża się poprzez sposób bycia i zachowanie jej członków – o relacji: firma – społeczność – kultura
- Wartości kulturowe są czynnikiem decydującym o powodzeniu wdrożenia nowej technologii – o transferze technologii jako czynnika rozwoju gospodarczego
- Sukces gospodarczy zależy wyłącznie od technologii – o znaczeniu nakładów na badania naukowe i rozwój techniczny
- Powinnością uczonych jest opisywanie świata, ale ci, którzy opisują, powinni być w owym świecie obecni – o kompetencji w czasach supermarketyzacji wiedzy
- Uczelnia tak długo będzie uczelnią, dopóki będzie można w niej spotkać uczonych – o tradycyjnej uczelni „muruwanej” i „wirtualnej”, kształcącej na odległość
- Jak wliczyć Chopina w dochód narodowy? – paradoks globalnego kapitalizmu zamieniającego wszystko w towar

Referaty konferencyjne dostępne na stronie:
www.agh.edu.pl/agh/dep/INS/konferencja



Balet Form Nowoczesnych Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie (fot. z folderu promocyjnego Baletu)



Wawel jakim go widzi hejnalista z wieży Kościoła Mariackiego (u góry). Hejnalica Kościoła Mariackiego, 5 września 2001 r., godz. 16.00 (z lewej) (fot. W. Affelt)



Kultura i technika w jednym stoją domku... jak można by wnioskować z gościny w AGH, gdzie u góry, pod samym dachem ma siedzibę Balet Form Nowoczesnych, działający nieprzerwanie od 1969 r. Jego *spiritus movens* Jerzy Maria Birczyński czujnym okiem oglądał spektakl specjalnie dla nas przygotowany i brawurowo zatańczony wieczorową porą przez uroczę dziewczyny. Niestety, intensywny program obrad nie dał sposobności odwiedzenia innego „podniebego” ośrodka kultury – Muzeum Historii AGH z pogładową kolekcją eksponatów i dokumentów

ilustrujących dzieje hutnictwa i górnictwa na terenie Polski oraz wkład Uczelni do dziejów najnowszych tych działów gospodarki. Kulturalnie było od początku – wizyty u hejnalisty na Hejnalicy Kościoła Mariackiego, do pożegnalnego spotkania w średniowiecznych podziemiach przy ul. Kanoniczej, gdzie gospodarzem był prof. Kazimierz Flaga, rektor Politechniki Krakowskiej. Podkreślił on troskę o kulturę na swojej Uczelni, gdzie istnieją trzy galerie wystawiennicze, jeden teatr „Zależny” oraz chór i klub taneczny. Obaj rektorzy zaszczylicili swoją obecnością ostatnie wspólne chwile redaktorów prasy akademickiej w po staropolsku gościnnym Krakowie. Nie szczędzili nam stosownych życzeń i serdecznych słów podziękowania za pracę, której specyfikę znają jakże doskonale. To było bardzo miłe, chociaż tak nieczęste podczas codziennego trudu pełnienia misji sumiennej „tuby” społeczności akademickiej. Może warto podkreślić, iż jest ona pośród zagranicznego kapitału drukowanych mediów informacyjnych całkowicie polska i – aż dech zapiera – może jedna z ostatnich... Przyszłoroczne Spotkanie Redakcji Gazet Akademickich odbędzie się w Płocku. A może by tak zaprosić to towarzystwo na Politechnikę Gdańską? Wszak obchody Roku Jubileuszowego Politechniki Gdańskiej i tę imprezę mogłyby pomieścić w swoim programie...

Waldemar Affelt
 Wydział Inżynierii Łądowej

Mongolia i Chiny 2001

Jesteśmy studentami trójmiejskich uczelni. Podczas wakacji 2001 r. zorganizowaliśmy pod patronatem Jego Magnificencji Rektora Politechniki Gdańskiej dwumiesięczną, naukowo-krajoznawczą wyprawę do Mongolii i Chin.

Pokonaliśmy trasę około 25 tysięcy kilometrów, każdego dnia spotykało nas coś nowego. Nie sposób wszystko opisać. Postaramy się jednak przybliżyć Wam klimat wyprawy oraz nasze przygody. W listopadzie zorganizowaliśmy wystawę zdjęć (GG, hol na 3. piętrze) oraz pokaz slajdów z eskapady.

Wyjeżdżając, czułem się dosyć niepewnie. Idąc za radą bardziej doświadczonych, przygotowałem się na dawanie łapówek i trudności na granicach. Wiele rzeczy pozostawało dla mnie zagadką. Jednak okazało się, że nie było powodu do obaw. Nikt nas nie zaczepiał, a z pozoru beznadziejne sytuacje w konfrontacji z naszym optymizmem i inicjatywą szybko się rozwiązywały.

Zarys trasy: wyruszyliśmy z Gdańska siódmego lipca, przez Białoruś do Moskwy, skąd Koleją Transsyberyjską pojechaliśmy do Irkucka. Stamtąd wynajętym stateczkiem popłynęliśmy na Bajkał. Kolejne dwa dni trawersowaliśmy wzdłuż jego cudownego brzegu po stromych górach wyrastających z krystalicznie czystej i okropnie zimnej wody. Następnie, zdrowo spóźniwszy się na pociąg, wynajęliśmy na kilka godzin wagon techniczny (dźwig) wraz z lokomotywą, który podrzucił nas kolejne kilkadziesiąt kilometrów. Po kilku przesiadkach dotarliśmy do stolicy krainy Czyngis-chana. Tam wyszukaliśmy dzielny autobusik, którego nie zapomnimy chyba do końca życia. Nasza mazda była przez następne trzy tygodnie szesnastym członkiem wyprawy. Przejechaliśmy nią ponad trzy tysiące kilometrów, ze średnią prędkością 20 km/h. Jechaliśmy po bezkresnych stepach, wspinaliśmy się na ogromne przełęcze, smażyliśmy się na pustyni Gobi, mijaliśmy piękne pasma górskie z lodowatymi jeziorami, wulkanami i ośnieżonymi szczytami.

Po powrocie do Ułan Bator i upragnionej kąpieli wyruszyliśmy na południowy wschód, w kierunku Chin. Przed Pekinem zatrzymaliśmy się w Datongu, zwiedzając fantastyczne rzeźby sakralne w piaskowcu i robiący ogromne wrażenie klasztor przyklejony do pionowych skał. W Pekinie zatrzymaliśmy się na kilka dni. Dużo zwiedzaliśmy. Robiliśmy też zakupy, niezręcznie stargowując ceny ponad dziesięciokrotnie. Nie mogliśmy nie wybrać się na Mur Chiński, przebiegający tylko 30 km od stolicy. Nocowaliśmy w jednej z baszt tej widocznej z kosmosu konstrukcji. Mimo dachu nad głową, ogromna ulewa dała nam się we znaki.

Powrót do Polski zajął nam dwanaście dni. Nie chcąc wracać tą samą drogą, postanowiliśmy ominąć Mongolię szerokim łukiem. Przekroczywszy promem granicę chińsko-rosyjską (rzeka Amur), wylądowaliśmy na dwie noce na zapleczu jakiejś restauracji. Czekaliśmy tam na Kolej Transsyberyjską – o biletach z dnia na dzień można tylko pomarzyć. Następne siedem dni w pociągu nie zrobiło na nas wielkiego wrażenia. Jednak po przekroczeniu naszej granicy, ojczysty język i łyk zimnego polskiego piwa powodował pojawienie się łezki w oku. Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.

Ktoś może zapytać o cenę naszej eskapady. Otóż nie była ona zbyt wygórowana, nawet jak na studencką kieszeń. Zapłaciliśmy za wszystko około dwóch tysięcy złotych na osobę. Przecież więcej można „puścić” w ciągu wakacji, będąc na kilku biwakach!!!

Bardzo chciałbym podziękować **sponsorom**, którzy materialnie wsparli naszą wyprawę. Firma **Euroland**, przedstawiciel **Kodaka** na Polskę północną dostarczyła nam wiele materiałów fotograficznych i umożliwiła darmowe ich wywołanie. **IDEA** wsparła nas finansowo. **NATA** zaopatrzyła nas w napoje, jakże potrzebne każdego ranka w Kolei Transsyberyjskiej. Znaczącą część środków otrzymaliśmy także od **Rektora PG** i **Dziekana Wydziału ETI**.





Drogi

Patronem medialnym wyprawy było **Radio Gdańsk**. Również „Dziennik Bałtycki” podpisał z nami umowę o patronat, z której jednak w najmniejszym stopniu się nie wywiązał.

Współorganizatorami wyprawy, pomagającymi nam głównie w sprawach formalnych, były **Studenckie Koło Przewodników Turystycznych** i **Stowarzyszenie Inicjatyw Studenckich** przy Politechnice Gdańskiej.

Dziękuję.

Maciej Kurant

Student Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki

Autentyczny e-mail wysłany z Ulan Bator

Żyjemy!!!! Cześć rodzice, ciotki, wujki i znajomi!

Trudno w to uwierzyć, ale właśnie zamknęliśmy 3000 km pętlę po Mongolii!

Bawiliśmy się wspaniale. Wszyscy są cali i uśmiechnięci, choć brudni i padnięci.

Nareszcie powrót do „cywilizacji”! Ulan Bator, który przed trzema tygodniami był dla nas brudnym i chaotycznym miastem, przez ostatnie kilka dni podróży nazywaliśmy naszym domem. Dziś upragniony prysznic i noc w znajomym hotelu!!! Wracamy do siebie.

Mongolia to wprost niesamowite bogactwo przyrody – skaliste góry o ostrych graniach i szczytach pokrytych lodowcami, a wśród nich rozległe zielone doliny z wartkimi strumieniami,

pełnymi ryb (chłopacy raz nałowili ich tyle, że aż trudno było je zanieść do obozowiska, pycha!!!).

Mongolia to również rozległe stepy o krzaczastej, suchej roślinności. Pasą się tu ogromne stada krów, kóz, owiec, jaków i koni. Gdzieś tam trafia się na białe jurty ludzkich osad. W końcu Mongolia to też krajobraz półpustynny z niską, karłowatą roślinnością, uwielbianą przez wielbłądy oraz z cudownymi gorącymi wydmami.

A Mongołowie to spokojni i bardzo gościnni ludzie.

A oto kilka przydatnych uwag i rad dla podróżników (doświadczone na własnej skórze):

- dowolnej długości odcinek trasy Mongoł spokojnie określi: „niedaleko”;
- nie należy się martwić, gdy po złapanej gumie Mongoł wrzuci do samochodu zepsute koło i pojedzie dalej nie założywszy nowego;
- stacja benzynowa to rura od odkurzacza wyrastająca z ziemi;
- wielbłąd to skrzyżowanie żółwia z osłem (uparciuch i flegmatyk);
- wielbłąd nie reagujący na magiczne słówko „czu” (wio) udaje, że nie rozumie polskiego akcentu;
- zasięg wkurzonego plującego wielbłąda, to 2-3 m;
- mongolskie kozy nie robią „me” tylko „prrr”;
- sztuką jest znaleźć ustronne miejsce na załatwienie potrzeb fizjologicznych w stepie (średnia wysokość roślinności <10 cm), polecany przenośny parawanik;
- gdy Mongoł mówi „idzie wiatr” znaczy to, że za chwilę wszystko co masz zniknie w tumanach pyłu wzbijanych przez potężną burzę piaskową;
- polskie namioty słabo trzymają kształt w takich warunkach i absolutnie nie są pyłodporne;
- średnia wysokość nadproży to 1,5 m, chłopacy mają guzy na czołach;
- nigdy nie walcz nawet z najbardziej chuderlawym Mongołem w zapasach (25:0 dla Mongolii), ewentualnie spróbuj siłowania na rękę, w koszykówce wygrana jest murowana;



Nasza ekipa

- jeśli trafisz na narodowy festiwal Naadam, to jako „białas” będziesz na nim największą atrakcją;
- Mongoł potrafi z mleka dowolnego zwierzęcia (a do tego konie i jaki) przyrządzić każde danie (np. cukierki „łami-ząbki”);
- 99% Mongołów pod tradycyjnymi płaszczami nosi dresy, koniecznie z trzema paskami Adidasa;
- spotkany Mongoł w klapkach i podartych kalesonach może się okazać policjantem na służbie;
- typowy Mongoł od poniedziałku do soboty nie robi absolutnie nic, a w niedzielę odpoczywa.

*Marta Rybczyńska
Studentka Wydziału Architektury*

*Maciej Kurant
Student Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki*

„Zapasy”

„Potrzebny jest pasek” – powiedział na migi, na w pół rozebrany Mongoł stojący naprzeciwko mnie. Po chwili uzupełniłem strój i lekko pochylony, powoli zbliżyłem się do przeciwnika. Był mojego wzrostu, podobnej budowy. Miał na sobie wysokie skórzane buty i podniszczone, luźne spodnie. Tradycyjną, szpiczastą czapkę zdążył już zdjąć. Jego skośne oczy wwiercały się w moje. Wszelkie zamiary przeciwnika najwcześniej wyczytać można w jego oczach – musiałem wytrzymać ten wzrokowy pojedynek.

Nagle jego lewa ręka silnie chwyta mój bark. Odruchowo odrzucam ją zdecydowanym ruchem ciała. W odpowiedzi natychmiast rusza prawica przeciwnika. W połowie drogi spotyka się z moją. Siłujemy się na ręce. Napieram ze wszystkich sił. Początkowo bezskutecznie, po chwili chyba zaczynam wygrywać. Tak! Jego ręka powoli się cofa. Jestem silniejszy! Mogę to wygrać! Uratuję honor naszej ekipy! Teraz tylko szybki atak i jest mój! Błyskawicznie puszczam rękę przeciwnika i korzystając z jego chwilowego zachwiania mocno wychylony chwytam go za nogi. Mam go! Podnoszę... Mongoł coraz bardziej odchyła się od pionu... ten grymas na jego twarzy... on chyba już



Wieras w locie

wie, że przegrał... ja też to wiem, a mimo to czuję się dziwnie... to pewnie smak zwycięstwa... tylko dlaczego krajobraz tak szybko się przewija... i co robią moje nogi na tle nieba? Dopiero gdy z hukiem gruchnąłem o ziemię, zrozumiałem, co się stało. To ja leciałem, a mój przeciwnik, twardo stojąc na ziemi, bardzo mi w tym locie pomagał. Ach, ta względnosc ruchu...

Maciej Kurant

Student Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki

Kartka z Dziennika wyprawy: 4.08.2001

Już drugi dzień na pustyni. Wyczerpujące brnięcie przez rozgrzane piaski pustyni i karłowatą roślinność. Na horyzoncie pojawia się studnia, do której zmierza karawana. Wielbłądy pędzą jak oszalałe, pewnie już słyszą dźwięk obracanego kieratu, teraz nic nie jest w stanie ich zatrzymać. Zeskakujemy z dwugarbów, wylewamy naszą starą rozpaloną słońcem wodę, napełniamy na nowo butelki zimną, upragnioną wodę i ... rozczarowanie – woda jest słona! Fuj!



Po pewnym czasie w obozowisku pojawiają się pierwsze namioty. Siedzimy zmęczeni i leniwie przygotowujemy wieczorny posiłek. Podchodzi jeden z towarzyszących nam Mongołów i spokojnie mówi „idzie wiatr”. W chwilę później robi się zupełnie ciemno, w tumanach piasku giną karimaty, menażki i plecaki, a silne podmuchy wiatru miotają namiotami we wszystkie strony. My walczyliśmy o przetrwanie. Wielbłądy w zbitej gromadzie, z zamkniętymi oczami cierpliwie czekają na koniec burzy. Mongołowie spokojnie przenoszą swoje dzieci do autobusu. „Czasami wieje dwie godziny, czasami dwa dni” – mówią. Rano jest pogodnie i słoneczne. Wyczerpani przemnywamy pył z oczu i uszu. Nieopodal niewzruszone wielbłądy budzą się pełne sił do nowej podróży.

Wielbłądy to najśmieszniejsze zwierzęta na świecie, skrzyżowanie zółwia (flegmatyka) z osłem (uparciuchem). O tym, że gromadzą wodę w garbach w postaci tłuszczu, przez co są w stanie przemierzać pustynne tereny, wszyscy wiedzą. Dziwne natomiast są niektóre zwyczaje tych zwierząt, np. rozdrażnione strzykają przez zęby niestrawionym, zielonym pokarmem, a siusiac potrafią niemal przez trzy miuty non stop. Garby wielbłądziej przedstawiane są na rysunkach z dużą przesadą. W rzeczywistości bywają one często oklapłe lub w ogóle w zaniku. Niby nie powinno dziwić, że wielbłąd przemierzający pustynię odżywia się suchymi, karłowatymi i kolczastymi krzewami, jednak gdy wśród wielu łagodniejszych roślin schyla się właśnie po kaktusy, jest to szokujące.

Jak się okazało, ten pustynny środek transportu nie należy do najwygodniejszych, a „białasom” może przysporzyć wielu problemów. Świadczy o tym fakt, że już następnego dnia wyprawy, z powodu obolałych tylnych części ciała, połowa grupy zrezygnowała z ujeżdżania garbatych.

Mnie się dostało najpiękniejsze stworzonko – duży, biały, puszysty albinos, o pełnych garbach. Pyszczek uśmiechnięty, włochate uszka, i wytrzeszczone oczy... To niewińnięto zrzuciło mnie przy pierwszej okazji. Są to bardzo płochliwe zwierzęta. Gdy niespodziewanie spadła Magdzie butelka z wodą, całe stadko rozpieczęło się i pognęło we wszystkie strony pustyni. Spadł Moduł, Tata i ja. Jankowi i Okraszowi natomiast udało się nawet przygalopować na swoich dwugarbach.

Manual wielbłądzi. Wielbłąd raczy zniżyć się aby przyjąć pasażera, usłyszawszy magiczne słowo „zug” (siad u wielbłąda jest czteroetapowy), natomiast ruszyć z miejsca na komendę „czu”. Jednak zwierzęta często udawały, że nie rozumieją polskiego akcentu.

Jeszcze szmat drogi przed nami, garbate już gotowe. Ruszamy!

Marta Rybczyńska

Studentka Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki

Słowo o Pekinie

„...najtaniej można zjeść w małych domowych barach. Lepiej jednak uzgodnić cenę każdego dania przed konsumpcją. My tego raz nie zrobiliśmy (faktycznie to nie uzgodniliśmy ceny piwa i ryżu, gdyż ceny ich były wszędzie takie same – przynajmniej tak nam się wydawało) i byliśmy więzieni w knajpie przez ponad godzinę gdyż odmówiliśmy zapłacenia astronomicznego rachunku. Na szczęście Chińczycy są bardzo mali..., karate też nie znają...”

„...targować trzeba się wszędzie. Na bazarze z tanią chińszczyzną i w sklepie spożywczym. Gdy pierwszy raz wszedłem do pekińskiego sklepiku, sprzedawca z uśmiechem od ucha do ucha chciał mi wcisnąć dwie butelki wody mineralnej za mniej więcej 10 Pln. Ostatecznie kupiłem za trzy razy mniej... Na bazarach, gdzie można kupić wszystko, ceny zjeżdżały nawet 10-krotnie. Tylko uczciwość sprzedawców pozostawia wiele do życzenia. Razem z kumplem uczestniczyliśmy w niezłym cyrku: chcemy kupić obrazki z chińskimi motywami, targujemy się ponad pół godziny i udaje się uzgodnić sensowną cenę. Pani nie ściąga obrazków z wystawy, tylko przynosi z zaplecza ładnie zwinięte – rzecz normalna. Jednak coś mi mówi, że trzeba je sprawdzić. Każę rozwinąć i oczom nie wierzę! Dwa



Pekin nocą



Rowery na placu Tianan men w Pekinie

zupełnie inne obrazy. Protestuję, a pani sprzedawczyni przeprosza i jako zadośćuczynienie oferuje nam darmowe tuby. Godzimy się, ale tym razem obrazki wędrują z wystawy do tub. Jeszcze trzy sprawne ruchy sprzedawczyni i „arcydzieła” mamy w ręku. Dla przekory sprawdzamy zawartość i...obrazków nie kupiliśmy. Już nam się nie chciało.”

„...jesteśmy na Murze. Śpimy w baszcie. Od trzech godzin nie przestaje padać. Jestem obiektem wielu żartów, bo jako jedyny leżę w kałuży. Żartom nie ma końca, dopóki komuś nie odpływa kłapek. Woda z mojej komnaty przelewa się do innych. Czuję się usatysfakcjonowany – nie jestem sam w walce z żywiołem... W walce z przeziębieniem też nie byłem sam – chorowało pół ekipy. Na szczęście mieliśmy na pokładzie młodych medyków...”



Marcin Omernik

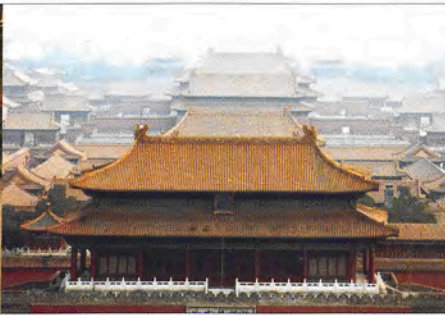
Student Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki

Uczestnicy wyprawy: Magdalena Skopek (PG), Anna Ostrowska (PG), Marta Rybczyńska (PG), Marta Skalska (UG), Jarosław Sączewski (AMG), Piotr Rusin (PG), Marcin Pawłowski (PG), Łukasz Plichta (AMG), Kamil Stadnicki (PG), Olgierd Mazur (PG), Marek Wieruszewski (PG), Marcin Okraszewski (PG), Jan Kozicki (PG), Marcin Omernik (organizator, PG), Maciej Kurant (organizator, PG).

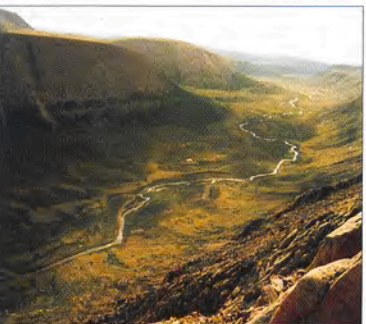
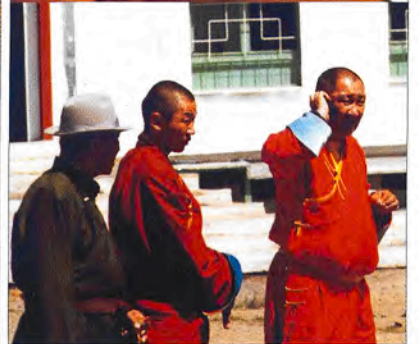
Oficjalna strona internetowa wyprawy:

www.mongolia2001.prv.pl

Autorzy zdjęć: Anna Ostrowska, Marta Rybczyńska, Jan Kozicki, Maciej Kurant, Marcin Okraszewski



Studencka wyprawa – Mongolia i Chiny 2001
Wystawa w holu GG, listopad 2001 r.

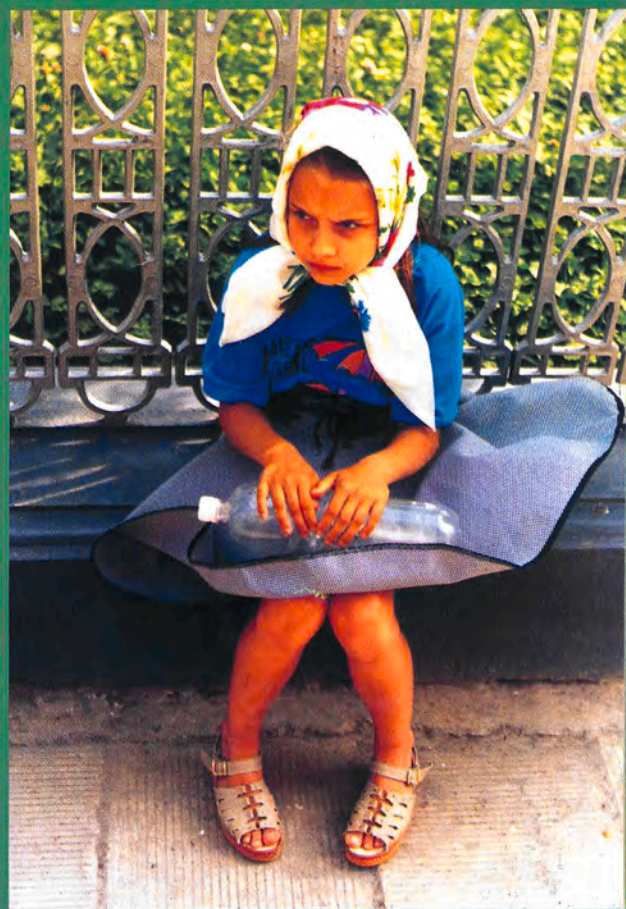




ILUSTROWANY MAGAZYN STUDENTÓW POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ

KRONIKA STUDENCKA

GDAŃSK, UL. SIEDLICKA 4, TEL. 347 23 46 ★ ROK ZAŁOŻENIA 1958



„Duch zatrzymanego czasu”;
wypad turystyczno-naukowego Klubu
Studentów Architektury TXA na Ukrainę
fot. Grzegorz Wojtkowski